

Harry i piraci

Brian Lumley

Tłumaczenie: **Stefan Baranowski**

vis-à-vis

etiuda

Kraków 2009



Tytuł oryginału: *Harry and the Pirates*

Copyright © by Brian Lumley, 1999

*Dla Dave'a,
Keitha i Sarah,
Sharon i Joanne,
Johna i Paula
oraz pozostałych członków paczki KeoghCon*

Spis treści

Przedstawiamy Harry'ego Keogha, czyli Nekroskopa
Bo zmarli poruszają się powoli
Harry i piraci
Starzec z kosą

Przedstawiamy Harry'ego Keogha, czyli Nekroskopa

Namówiłem mego wydawcę, aby na pierwszej stronie pierwszego brytyjskiego wydania *Nekroskopa* z 1986 roku - stronie, którą zawsze nazywałem „stroną reklamową”, gdzie umieszczano pochodzący z tekstu jakiś pikantny, pełen wrażeń lub szczególnie porywający ustęp, będący zachętą dla szperającego w księgarni potencjalnego czytelnika - zamieścił swego rodzaju melanz, którego nie było nigdzie w książce, a który zarówno wówczas, jak i obecnie uważam nie tylko za istotną charakterystykę samego Nekroskopa, lecz także jako swoisty „haczyk”. Wygląda to tak:

DEFINICJE

Tele - (z greckiego *tele* = daleko)

Teleskop to instrument astronomiczny, który powiększa obrazy dalekich obiektów. Na przykład powierzchnię Księżyca można oglądać, jakby była oddalona zaledwie o kilkaset mil.

Mikro - (z greckiego *mikros* = mały)

Mikroskop to instrument optyczny, dzięki któremu ludzkie oko może zobaczyć nawet bardzo małe obiekty. Pod mikroskopem widać, że kropla czystej wody zawiera miliony mikroorganizmów.

Nekro - (z greckiego *nekros* = trup)

Nekroskop to ludzki „instrument”, który ma dostęp do umysłów zmarłych. Harry Keogh jest Nekroskopem - zna myśli zmarłych spoczywających w grobach.

Główna różnica między tymi instrumentami polega na tym, że pierwsze dwa spełniają jedynie funkcje czysto fizyczne i są niezdolne do przeprowadzenia jakichkolwiek zmian: Księżyc nie może zajrzeć do teleskopu, a ameba nie wie, że jest oglądana pod mikroskopem.

Na tym właśnie polega problem Harry'ego Keogha: jego zdolności wydają się działać w obie strony. ZMARLI WIEDZĄ O NIM - I NIE DAJĄ MU SPOKOJU!

Taka więc była moja notka reklamowa, mój haczyk sprzed dwudziestu dwóch lat i nadal jestem z niego zadowolony, mimo że nie przedstawia całego czy nawet prawdziwego obrazu. Można bowiem odnieść wrażenie, że niezliczeni zmarli koniecznie chcą się zemścić! Co w wypadku Nekroskopa w żadnym razie nie może być prawdą, ponieważ zmarli go kochają! (Może wyrażmy to w ten sposób: kocha go „Ogromna Większość”).

Ale oprócz żywych i martwych są jeszcze niemartwi, jednak to już zupełnie inna historia. Faktycznie jest to historia, której napisanie zajęło większą część ostatnich dwudziestu lat, podczas których powstało siedem opasłych powieści oraz zbiór opowiadań, plus niezależna powieść i dwie trylogie, w których Harry Keogh odgrywa rolę epizodyczną na tle wyczynów kilku nowych i zupełnie innych nekroskopów.

Jeśli chodzi o pierwotnego Nekroskopa, człowiek ten - a czasami jego awatar lub wcielenie stawał naprzeciw różnego rodzaju wrogów ludzkości: szpiegów, wampirów, zombi, wilkołaków i kosmitów, często werbując ich do udziału w zadaniach, które niejednokrotnie kosztowały go życie! Ale... czy to znaczy, że jest martwy? Czy nawet w dwójnasób martwy? Nie, ponieważ przez cały czas gdzieś tam jest...

Beletrystyka zaowocowała całym legionem Harrych. Był więc Harry Lime grany przez Orsona Wellesa, Brudny Harry grany przez Clintę Eastwooda, a ponadto kilka „Kłopotów z Harrym”! Był superspieg Harry Palmer grany przez Michaela Caine'a, a ostatnio pojawił się odnoszący fenomenalne sukcesy Harry Potter i jego cudowne przygody w szkole czarodziejów, bohater bestsellerowych książek i fantastycznych

filmów, które pozostawiły daleko w tyle dzieła wszystkich autorów podążających śladem J.K. Rowling.

Ja sam jestem zachwycony Harry Potterem. Nie tylko zabawia miliony ludzi na całym świecie - głównie młodych, do których jest adresowany, ale także dorosłych - lecz także wprowadza ich po raz pierwszy w pełen dziwów świat fantazji. A dzieci, jak wiadomo, dorastają i ich gust zmienia się. Teraz mają prawdziwą obsesję na punkcie tego młodzieńca, *ich* Harry'ego, i zupełnie słusznie. Ale jutro i pojutrze?

No cóż, ponieważ przyszłość jest pokretna, uważam, że trzeba się zgodzić z tym, iż istnieje mroczniejsza wersja Harry'ego i że czeka nań znacznie bardziej tajemnicza magia. Już teraz i z każdym dniem coraz częściej dostaję listy od młodych czytelników, których starsi koledzy zapoznali ich z *moim* Harrym, z Harrym Keoghiem, Nekroskopem.

Dlatego, gdy zbliża się kres mojej pisarskiej drogi i ponieważ wiem, że nigdy nie doścignę pani Rowling, jestem daleki od tego, by brnąć jej śladem, i cieszę się na nadchodzącą przyszłość. Rzecz w tym, że jeszcze kilka lat i czytelnicy Harry'ego Pottera wydorosną...

W tym ostatnim, szesnastym, tomie znajdziecie dwie nowele oraz coś w rodzaju obrazka. W końcowym fragmencie ukazemy Nekroskopa w okresie jego życia, który poprzednio nosił nazwę „stracone lata”. Dla tych, których to może zainteresować, dołączam kompletną listę tytułów cyklu o Nekroskopie wraz z datami ich powstania, w nadziei, że spotka się z życzliwym przyjęciem.

<i>Nekroskop</i>	Marzec - wrzesień 1984
<i>Nekroskop II. Wampiry</i>	luty - sierpień 1986
<i>Nekroskop III. Źródło</i>	kwiecień - sierpień 1987
<i>Nekroskop IV. Mowa umarłych</i>	listopad 1988 - marzec 1989
<i>Nekroskop V. Roznosiciele!</i>	marzec 1989 - marzec 1990
<i>Bracia krwi</i>	maj 1990 - kwiecień 1991
<i>Ostatnie zamczysko</i>	czerwiec 1991 - lipiec 1992
<i>Krwawe wojny</i>	sierpień 1992 - sierpień 1993
<i>Nekroskop. Stracone lata</i>	styczeń 1994 - marzec 1995
<i>Nekroskop. Odrodzenie</i>	maj 1995 - marzec 1996
<i>Nekroskop. Najeźdźcy</i>	czerwiec 1997 - czerwiec 1998
<i>Nekroskop. Piętno</i>	czerwiec 1998 - czerwiec 1999
<i>Nekroskop. Obrońcy</i>	czerwiec 1999 - czerwiec 2000
<i>Harry Keogh i inni dziwni bohaterowie</i>	czerwiec - sierpień 2002
<i>Nekroskop. Dotyk</i>	listopad 2003 - listopad 2004
<i>Harry i piraci</i>	styczeń - lipiec 2007

Brian Lumley

Torquay, sierpień 2007 roku

Bo zmarli poruszają się powoli

W leśnym mroku coś poruszyło się, powoli, a mimo to jak na tę Istotę paradoksalnie szybko i celowo. Była to pradawna Istota, a las ten stanowił jej siedlisko od tysięcy lat. Przed wieloma wiekami garstka jej długowiecznych pobratymców zamieszkiwała ten sam las, dopóki wszystkie oprócz jej jednej nie zginęły w mściwym pożarze.

Ostatni przedstawiciel swego gatunku, Istota - była tak dziwaczna jak to możliwe, ale w końcu słodkie deszcze i ciemne plazmy ziemi - oraz od czasu do czasu słone soki i substancje odżywcze różne od zimnego gruntu - żywiły niezliczone dziwaczne gatunki w ciągu trwających trzy miliardy lat meandrów ewolucji, a pożary, zazwyczaj, choć nie zawsze spowodowane przyczynami naturalnymi, zniszczyły ogromną większość z nich.

Istota posiadała inteligencję, która miała charakter raczej instynktowny, była „wrażliwa” na sposób zupełnie obcy ludziom, nie posiadała niczego w rodzaju prawdziwych uczuć, może poza frustracją, której źródłem była samotność i - w razie konieczności oraz wskutek innych nieopanowanych pragnień, gdy wyszukiwała i pożądliwie pożerała substancje alternatywne wobec mdłej ziemi i humusu z liści - jakaś chorobliwa przyjemność płynąca z zaspokajania własnych potrzeb.

Ponieważ ocalała Istota była bezpłciowa, ostatnio zdała sobie sprawę z ważnego faktu, tego mianowicie, że po upływie wielu wieków wkrótce nadejdzie czas rozmnażania, gdy utrzymywanie się przy życiu wyłącznie w oparciu o soki i minerały zawarte w ziemi będzie niewystarczające dla zaspokojenia jej potrzeb. Ale było lato, a podczas lata na skraju lasu pojawiały się rozmaite stworzenia, nie jakieś małe istoty jak te, które szeleściły wśród opadłych liści, czy takie, które śpiewały i gnieździły się na najwyższych gałęziach drzew, ale inne, większe, które szukały ukrytych, zacienionych miejsc, gdzie mogły się obejmować.

Aktywność seksualna... nie żeby pradawna Istota rozumiała z tego zbyt wiele, ale rozumiała zmęczenie i chwilową utratę przytomności, które często były wynikiem tego zachowania; rozumiała to i przyjmowała z zadowoleniem, dysponowała nawet środkami do wywoływania takiego zmęczenia. Pamiętała bowiem jak przez mgłę, jak w przeszłości, przed niezliczonymi latami, kochankowie obejmowali się w tajemnicy, w tym ciemnym lesie, wtedy, w dawnych czasach, w których żyła.

...I będzie żyć znowu!

Wydarzyło się to podczas owych straconych lat, tego pełnego chaosu, długo ciągnącego się okresu w życiu Harry'ego Keogha, Nekroskopa, z którego - jak mu się potem wydawało - zapamiętał dużo, podczas gdy faktycznie nie pamiętał niczego naprawdę istotnego, jasno i w sposób trwały. I chociaż wiedział, że wykorzystywał matematyczny (a w istocie metafizyczny) i jedyny w swoim rodzaju wzór, za pomocą którego uruchamiał sposób teleportacji, która umożliwiła drobiazgowo, zakrojone na szeroką skalę poszukiwania jego żony i małego syna, nigdy nie udało mu się skupić pamięci na więcej niż kilku miejscach, które ponoć w ten sposób odwiedził. Niewyraźne, zmieniające się krajobrazy, jak zapomniane wyrażenia, które zda się, miał na końcu języka, tworzyły widmowe, a mimo to niepokojąco znajome sceny w najciemniejszych zakamarkach umysłu Harry'ego, rozwiewając się w dym, gdy próbował je utrwalić w pamięci. Dlatego właśnie ilekroć nakłaniano go, aby zastanowił się nad tym wciąż niejasnym okresem życia, jego myśli, które zazwyczaj

były niezamierzone, albo przynajmniej niechętnie, zawsze krążyły wokół faktu straconego czasu. Czy raczej straconych lat.

Tak, straconych lat...

Wszystko to jednak, ten rozziw spowodowany jakąś blokadą w umyśle Harry'ego nie przeszkadzał, a ponieważ w głębi duszy wiedział lub podejrzewał, że tak jest, pilnował się, żeby zbyt dokładnie nie zgłębiać tej tajemnicy. Z pewnością makabryczne wydarzenia tych lat nie należały do takich, które jakikolwiek normalny człowiek powinien badać, stwierdzenie to nie oznacza, że Harry był całkowicie normalny czy „naturalny”. Nie, w żadnym razie. Na pewno był człowiekiem całkowicie normalnym fizycznie, ale psychicznie, intelektualnie? - nigdy! Był tak różny od innych ludzi, jak oni sami są różni od Ogromnej Większości. Albowiem pomimo tego, że Harry Keogh był w stu procentach żywy, jako Nekroskop wcale się nie różnił od zmarłych!

„Nekroskop” to słowo złożone, utworzone przez samego Harry'ego Keogha, jedyne słowo, które dokładnie opisuje jego, czy raczej jego zdolności. Bo tak jak teleskop gromadzi informacje dotyczące odległych obiektów, a mikroskop pokazuje to, co niewiarygodnie małe, Nekroskop słucha myśli zmarłych i może nawet rozmawiać z trupami! Ale Harry Keogh nie jest żadnym oszustem, nie ma w tym żadnego matactwa, żadnego spirytyzmu; są to prawdziwe zdolności, a Harry jest w tej dziedzinie jedynym na świecie prawdziwym mistrzem, odziedziczywszy je po ludziach mających autentyczne zdolności parapsychologiczne: przodkach tych, którzy dysponowali wielką mocą i których zdolności odziedziczył ktoś, w kim stopniowo rozwinęły się, może niecałkiem „naturalnie”, zdolności jeszcze dziwniejsze, niż można sobie wyobrazić.

To właśnie podczas tych będących źródłem dezorientacji straconych lat - w czasie gdy Harry opuścił swój pusty stary dom koło Edynburga i powrócił do pól, wiosek i wąskich dróg w hrabstwie Durham, na opadającym północno-wschodnim wybrzeżu Anglii, gdzie dorastał, zalecał się do Brendy i po raz pierwszy badał swe niesamowite umiejętności - miały miejsce opisane tutaj wydarzenia. Działo się to w znajomej scenerii, gdzie jednak nie udało mu się odkryć choćby jednego tropu prowadzącego do miejsca pobytu jego żony i synka, za to natknął się na coś zupełnie innego...

Było lato i Harry czuł się zmęczony, a może nie tyle zmęczony, co senny; jego twarz, jego ramiona, jego klatka piersiowa w rozpiętej pod szyją koszuli, oświetlone gorącymi promieniami letniego słońca, były opalone tak mocno, jak mu się normalnie nie zdarzało. Nawet lekka opalenizna tworzyła ostry kontrast z jego jasną karnacją kogoś, kto nie był z natury wyznawcą kultu słońca. I to, Harry Keogh miałby być wyznawcą kultu słońca? Nie, znacznie bardziej prawdopodobne było, że Nekroskop jest dzieckiem nocy: istotą z księżycą i gwiazd, duchem z królestwa cieni i mroku... z miejsca najmroczniejszego ze wszystkich, chociaż to ostatnie było raczej sprawą wygody niż preferencji. Bo właśnie w mroku ostatniej i najdłuższej nocy spoczywała większość przyjaciół Harry'ego, teraz członków Ogromnej Większości.

Nie zawsze tak było. Wcześniej, w nie tak burzliwych i skomplikowanych czasach, kiedy był z żoną sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Brenda kochała plażę, morską bryzę, urwiste ścieżki i leśne drogi, na których słońce przeświecało przez liście; lubiła pokryte kępami trawy piaszczyste wydmy pod Crimdon Dene, długie mile jasnego piasku pod Seaton Carew, salony gier i smażalnie ryb w nadmorskich kurortach. Właśnie dlatego Nekroskop przemierzał je wciąż od nowa - plaże, salony gier, smażalnie ryb - w poszukiwaniu zaginionej Brendy. Dlatego też miał teraz objawy lekkiego, lecz dokuczliwego oparzenia słonecznego.

Dzisiaj, dostawszy tę nauczkę, Harry założył kapelusz z szerokim, opadającym rondem, który na jego młodej głowie wyglądał nienaturalnie, tym bardziej że w dawnej wiosce górniczej na wybrzeżu, gdzie się zatrzymał, tradycyjnym nakryciem głowy była nadal płaska górnicza czapka, pomimo że miejscowe kopalnie węgla zamknięto wiele lat temu. Bo choć liczne majątki w takich wioskach jak Easingham, Blackhill Rocks, Morton czy Harden ucierpiały z powodu upadku kopalni, jakoś udało im się zachować charakter i zwyczaje mieszkańców, którzy byli solą tej ziemi; zwyczaje, które będą żyły jeszcze przez pewien czas, tak długo jak ostatni weterani, którzy niegdyś rąbali węgiel w tych kopalniach. Ale kapelusz Harry'ego - chociaż wydawał się nie pasować do otoczenia - spełniał dwie, a nawet trzy ważne funkcje. Chronił przed słońcem jego głowę (a także oczy) i Harry, ukryty pod jego rondem, mógł mamrotać - *pozornie* do siebie - niezauważony przez nikogo, kto mógłby mieć powody, aby uznać go za idiotę.

Jednak w tym momencie - odprężywszy się na tyle, na ile pozwalała jego niespokojna natura, siedząc na leżaku, w zaciszu ogrodu przyjaciela, którego znał jeszcze z czasów szkoły średniej, zanim rozpoczął studia techniczne i oddał się zajęciom dosyć ezoterycznym - takiej obawy nie było.

Jego przyjacielem z czasów dzieciństwa był James „Jimmy” Collins, który kiedyś był kapitanem szkolnej drużyny futbolowej, a później został najlepszym napastnikiem, jakiego kiedykolwiek miał Harden Colliery Football Club, dopóki zaledwie w wieku siedemnastu lat nie skręcił prawego kolana, którego stan już nigdy się nie poprawił. Wtedy został elektrykiem, jak jego ojciec, co było o wiele lepsze niż praca na dole, w szybie, gdyby trwał przy niej dłużej. Mimo rzekomej awersji Jimmy'ego do dziewcząt jeszcze kiedy był chłopcem (kiedyś przysiągł, że raczej „powiesi się na słupku bramki”, niż da się złapać na tym, że obejmuje dziewczynę, kiedy w miejscowym kinie zapalą się światła), zrobił jednej z nich dziecko, po czym zachował się jak trzeba i ożenił się z nią a zaledwie w siedem miesięcy później dowiedział się, że dziecko nie jest jego. Jego ojcem był mianowicie młodzieniec, z którym złapał swoją żonę, gdy pewnego ranka wcześniej wrócił do domu z pracy. No cóż, nie był pierwszym młodym człowiekiem, który dał się w ten sposób nabrać, i na pewno nie ostatnim. Na szczęście mały dom, który rodzice podarowali mu w prezencie ślubnym, był na jego nazwisko; „pani” opuściła dom oraz okolicę, a Jimmy znowu wyrzekł się dziewcząt.

- Wciąż te twoje dziwne zajęcia, Harry? - Głos Jimmy'ego przerwał słoneczną popołudniową ciszę i zakłócił myśli Harry'ego. W rzeczywistości zbudził go z przypominającego sen stanu, swego rodzaju półomdlenia. Śnił, że... ktoś woła? Woła o pomoc? Daleki, zrozpaczony i być może martwy głos? SOS spoza granic istnienia? Może. Ale znacznie bardziej prawdopodobne było, że pogrążył się w marzeniach, które teraz znikły w otchłani, w której podobno rodzą się wszystkie sny. Jakkolwiek było, nie był szczególnie zaniepokojony; niedawno „słyszał” albo miał wrażenie, że odbierał szereg niewyraźnych niezwykłych dźwięków albo myśli, zwłaszcza wtedy, gdy odkrył, że nawet skamieniałości z prehistorycznych epok mają swego rodzaju „głos”.

Uniósłszy głowę, Harry zamrugał jak sowa, gdy Jimmy wyszedł z domu do ogrodu. Niósł schłodzony sok owocowy w wysokich szklankach, po jednej w każdej dłoni, a kiedy się zbliżył, Harry wymruczał:

- Co? Mówiłeś coś?

Jimmy kiwnął głową i odparł: Tak, ciągle jesteś dziwny! Nawet gdybym nie rozpoznał fizycznie Harry'ego Keogha - to znaczy twojej twarzy, co jest raczej niemożliwe - myślę, że wyczułbym tę twoją „dziwność” i wiedziałbym, że to ty. Któż inny mógłby to być? Wiesz co? Mimo że wyglądasz inaczej, im dłużej tu jesteś i im częściej cię widuję - chociaż jesteś tu dopiero od tygodnia - niech to licho, jeśli nie

zaczęłeś wyglądać bardziej jak... no, jak ty sam! Jak Harry! To znaczy jak Harry, jakim byłeś! Psiakrew!

Harry, teraz już całkiem rozbudzony, zrozumiał dokładnie, co tamten ma na myśli. Uśmiechając się do swego starego przyjaciela spod ronda kapelusza i sięgając po napój, który podawał mu Jimmy, powiedział:

- Tak? Po tym, jak tak mi naurągałeś, jeszcze masz czelność nazywać mnie dziwnym?

- Ha! - powiedział przyjaciel, robiąc minę. - Och, na pewno jesteś dziwny, Harry! Ale czy to jeszcze jedna dziwna rzecz, że słowa mi się płaczą? Chodzi mi o to, że po tym wszystkim zjawiasz się tutaj jak... jak gdyby nigdy nic? Któż inny by uwierzył w tę historię, którą mi opowiedziałeś, jeśli nie ktoś, kto potrafi rozpoznać wyjątkowość Harry'ego Keogha, prawda? Mogło upłynąć dużo czasu, ale twoje szczególne cechy nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

- Właśnie dlatego przyszedłem się z tobą zobaczyć! - powiedział Harry z oschłym skinieniem głowy. - Bo wiedziałem, że poznasz, że to ja. Ale także po to, aby się dowiedzieć, czy nie słyszałeś o Brendzie, i aby się zorientować, jak ci się powodzi, ponieważ słyszałem, że miałaś kłopoty. Tak, wiedziałem, że mi uwierzysz, Jimmy... i masz rację, minęło dużo czasu, odkąd opuściłem tutejszą szkołę i zacząłem uczęszczać do technicznego college'u w Hartpool. Potem chyba straciliśmy kontakt.

Kiwnąwszy głową Jimmy usiadł na leżaku obok Nekroskopa.

- Tak było - powiedział - dopóki znów się nie zjawiłeś i nie poprosiłeś, abym został twoim drużbą. Ty i Brenda Cowell, zakochani od pierwszego wejrzenia, albo prawie od pierwszego wejrzenia, ale co to za różnica? - Wyciągnąwszy rękę, uniósł opadające rondo kapelusza Harry'ego, żeby zajrzeć mu głęboko w oczy, po czym powiedział: - Obaj się ożeniliśmy, Harry. Tak się złożyło, że obaj byliśmy o wiele za młodzi i teraz obaj żałujemy. Moja żona odeszła - krzyżyk na drogę! - a twoja prysnęła, zostawiając cię, i teraz się zastanawiasz, dlaczego odeszła, i nie przestajesz jej oplakiwać.

- Nie - powiedział Harry - myślę, że już jej nie oplakuję.

I wiem dlaczego, a przynajmniej tak mi się zdaje. To ta moja nowa twarz. Moja twarz i moje... moje... - Przerwał na chwilę, po czym pośpiesznie ciągnął dalej: - Tak czy owak, Jimmy, jak zauważyłeś, byliśmy o wiele za młodzi... - W ostatniej chwili złapał się na tym, że omal nie powiedział: - moja twarz i *moje ciało!* - Pociągnęłoby to za sobą mnóstwo dalszych pytań.

Albowiem ciało, które „nosił” - mimo że było dobre, zdrowe - nie było jego pierwotnym ciałem, tym, z którym się urodził. Ani ciało, ani twarz. Ponieważ niedawno Nekroskop przeszedł zdumiewającą mimowolną przemianę: obecnie on, jego umysł i dusza zamieszkiwały ciało kogoś innego. Na szczęście ten ktoś był w stanie śmierci mózgowej, gdy Harry zawładnął jego pustą skorupą, nie było więc żadnych sporów co do praw własności, jeśli można tak powiedzieć. Ale istniała niewielka nadzieja, że żona zaakceptuje jego nową tożsamość, i to był jeden z wielu powodów, dla których uciekła, zabierając dziecko ze sobą choć właściwie należałoby powiedzieć, że to dziecko umożliwiło jej ucieczkę... ale to już zupełnie inna i może nawet jeszcze dziwniejsza historia...

Jakby czytając w jego myślach, Jimmy zmarszczył brwi, uważniej przyglądając się swemu gościowi, zagryzając wargi i patrząc przez zmrużone oczy na Nekroskopa. W końcu, potrząsając głową powiedział:

- Nawet teraz - to znaczy, wiesz, co mam na myśli, prawda? nawet teraz nie jestem zupełnie pewien...

- Nie jesteś pewien, Jimmy? - przerwał mu Harry. - Czy to len sam facet, który stał koło mnie na plaży, kiedy kopnąłem lego łobuza Stanleya Greena w tyłek? Och, wtedy byłeś zupełnie pewien! Była tam cała grupa naszych kolegów z klasy. Sprawili temu Greenowi lanie, po czym zaproponowałem to samo wszystkim tym, którzy mieli na to ochotę. Powiedziałem im: „To, co powiedziałem temu dupkowi, dotyczy pozostałych”. Czy coś w tym guście. Potem powiedziałem: „A gdyby któryś z was był zbyt pewny swego”... I wtedy...

- ...Wtedy wystąpiłem i stanąłem obok ciebie - podjął Jimmy - i powiedziałem: „A może dwóch naraz?”. Ale nie było chętnych. Ha! To nie byli tchórze, tylko banda zwykłych uczniów. A po tym gdy zobaczyli, jak ten łobuz Green leży na ziemi z rozkwaszonym nosem, becząc i czołgając się, poczuli ulgę, że to się skończyło, to wszystko...

Harry przytaknął skinieniem głowy.

- Tak, właśnie tak było. Więc czy to ja, czy nie?

- No, lepiej, żebyś to był ty - tamten uśmiechnął się żałośnie. - Zwłaszcza że przez tydzień spałeś w moim pokoju gościnnym! Ale mimo wszystko twoja historia jest cholernie dziwna. Jak pracowałeś dla rządu, realizując tajne zadanie, kiedy dosięgła cię eksplozja, która porozrywała ci twarz, więc musieli cię doprowadzić do porządku przy pomocy chirurgii plastycznej. Czy to nie dziwne?

Nekroskop wzruszył ramionami. Nie bardzo lubił kłamać

- a już na pewno nie przyjacielowi - ale wiedział, że prawda jest jeszcze dziwniejsza. Jimmy naprawdę nie byłby w stanie zaakceptować prawdy, która wszystko podawałaby w wątpliwość, prowadząc do rozlicznych komplikacji. Harry mógł wynająć pokój gdzie indziej albo każdej nocy wracać szlakiem Möbiusa do swego mieszkania na peryferiach Edynburga, ale to nie był dobry pomysł. W rzeczywistości był bardzo zadowolony, że jest z dala od tamtego starego domu, w towarzystwie jednego z niewielu *żyjących* przyjaciół z czasów szkolnych, a problemy związane z nieuzasadnionym wykorzystywaniem Kontinuum Möbiusa mogłyby sprawić, że ktoś by zauważył, jak pojawia się znikąd, gdy pewnego ranka wraca do Harden. Życie było i tak wystarczająco skomplikowane, a Harry wyznawał zasadę, że plan najłatwiejszy jest zwykle najlepszy.

- Chodzi mi o to - ciągnął Jimmy w ten swój dociekliwy sposób - dlaczego ci tajni rządowi specjaliści nie mogli cię wyposażyć w młodszą twarz? Nie żebyś był szpetny, pojmujesz, ale czy to było wszystko, co mogli dla ciebie uczynić?

Na szczęście Harry obmyślił wcześniej odpowiedź na podobne pytanie.

- Nie mogli za bardzo przebierać, Jimmy! - powiedział. - Ja także. Tak wyszło, i już. A zresztą to pełni określoną funkcję: mając ten nowy wygląd, mogę nadal działać potajemnie, rozumiesz?

Jimmy podrapał się w głowę.

- Mój stary kumpel stał się kimś w rodzaju tajnego agenta! - powiedział. - Harry Keogh, alias 008! Więc dlaczego nie działasz „potajemnie” teraz, a może tak? Ale tu, w Harden? No nie! Nie ma mowy! Niemożliwe, chyba że jakiś oszalały terrorysta buduje bombę jądrową w jednym ze starych kopalnianych szybów! Jednak musiałby być naprawdę szalony, bo nie ma tutaj nic, co warto byłoby rozwalić w drobny mak!

- Cha, cha, cha - zaśmiał się Harry niewesoło. - No przecież wiesz, że szukam Brendy. Słuchaj, wciąż jestem trochę, hm, w szoku po tej eksplozji - to jedno z niebezpieczeństw, kiedy się jest tajnym agentem - i w ten sposób wykorzystuję jedną z przerw na odpoczynek między kolejnymi operacjami. - Starał się nie wyglądać czy czuć zbyt winnym i wiedział, że faktycznie nie był winny, bo mimo tego, że teraz kłamał, niedawno rzeczywiście brał udział - w swój szczególny sposób i mimo woli - w

pewnej niezwykle ważnej operacji na rzecz wydziału specjalnego Tajnych Służb Jej Królewskiej Mości.

Jimmy westchnął, pokręcił głową i rzekł:

- Ciągłe nie potrafię powiedzieć, czy mówisz poważnie, czy nie! Ale jesteś dziwny, to pewne! Co tam mrucałeś do siebie, kiedy wychodziłem z domu? Spałeś, albo prawie spałeś. Byłeś zupełnie nieruchomy i wyglądało, że wstrzymujesz oddech, jak gdybyś wyteżał słuch, żeby usłyszeć kogoś lub coś. Potem zacząłeś do siebie mamrotać i chyba słyszałem, jak mówisz: „Co? Kto? Gdzie?”. W każdym razie były to jakieś pytania. O co w tym wszystkim chodziło? Może to był koszmar nocny? Czy raczej dzienny?

Harry wzruszył ramionami i odparł:

- Zły sen? Przypuszczam, że tak. - W zamyśleniu pociągnął łyk i mówił dalej: - W takim razie chyba powinienem być ci wdzięczny, że mnie obudziłeś, prawda? Ale cokolwiek to było, a ponieważ nic nie pamiętam, nie mogło to być nic ważnego. Nie, to był po prostu zwykły sen, to wszystko. Nic takiego.

I może rzeczywiście to nie było nic takiego, ale teraz gdy Jimmy sprawił, że zaczął o tym myśleć - zastanawiając się, co to było, czego tak nasłuchiwał - nagle Harry nie był już tego taki pewien...

Faktem było, że Nekroskop coś słyszał - czy raczej wyczuwał - już od pewnego czasu. Zdolności, które odziedziczył po swych żeńskich przodkach (a które niektórzy, w tym i sam Harry, niekiedy uważali za przekleństwo), stopniowo zaczynały go coraz bardziej dręczyć. Gdyby miały charakter czysto fizyczny, jak w wypadku uszkodzonego słuchu, można by je zdiagnozować jako szum uszny lub podobne zaburzenie słuchu. Ale jak zdiagnozować stan metafizyczny - a w istocie parapsychologiczny - równie groteskowy jak ten, w którym Harry „słyszał” nie za pośrednictwem uszu, lecz umysłu? W przyszłości, jeszcze nie objętej wyobraźnią, nazwie ten wątpliwy talent „mową umarłych”, za pomocą której będzie się porozumiewał ze zmarłymi ludźmi. Jednak to, czego teraz doświadczał...

...gdy niektóre istoty, które do niego „mówiły” lub „informowały” go, były niewątpliwie martwe, ale nie zawsze były to istoty ludzkie...

Oprócz tego były zupełnie normalne, mechaniczne dźwięki, które Harry słyszał, naturalnie za pośrednictwem uszu. Na przykład w zaciszu otoczonego murem ogrodu Jimmy'ego brzęczenie pszczół wśród kwiatów nie było jedynym dźwiękiem; czasami słyhać było także warkot silnika lecącego wysoko samolotu, odgłosy ruchu ulicznego, dochodzące z głównej nadbrzeżnej drogi, a nawet ni to bliski, ni to daleki stukot stalowych kół pociągu, niosący się w ciepłym letnim powietrzu przez senną wioskę od strony starego wiaduktu kolejowego.

Oczywiście były to dźwięki, które Harry odbierał jako biały szum - dźwięki, które spodziewał się usłyszeć - i które w żadnym wypadku nie nosiły znamion niezwykłości...

Jednak w tym samym ogrodzie, pod okapem nachylonych do wewnątrz terakotowych dachówek, które zdobiły wierzchołek wysokiego muru, kilka pajaków utkało sieci, odległe od siebie na tyle, aby wykluczyć możliwe spory terytorialne. W spiżarniach tych pajaków maleńkie truchła latających - przynajmniej kiedyś - owadów tkwiły w starannie wykonanych kokonach, wisząc jak dojrzewająca zwierzyna. Gdyby Harry skupił uwagę na tych małych martwych stworzeniach, faktycznie zdałby sobie sprawę z pewnego doznania, świadomości czy intuicji: słabiutkiego migotania, tak delikatnego jak dźwięk opadającego na ziemię płatka śniegu. Dźwięk ten przypisywał spoczywającym pod dachówkami szczątkom owadów.

Ale mimo wszystko było to coś więcej niż sama intuicja, ponieważ Harry wyczuwał zaskoczenie, zdumienie, nawet *oburzenie* wyschłych muszek. W pewnym sensie była to swoista „wrażliwość”, jakiej nie posiadały normalne istoty ludzkie. Ale jego umysł odbierał to jako pytanie - czy może dokładniej: jako maleńkie „dlaczego?” - na które nigdy nie będzie odpowiedzi, którą mogłyby zrozumieć owady, które takie pytanie formułowały.

Pojmowały one jedynie, że są teraz pozbawione swobody, jaką dysponowały niegdyś, że ich zawieszono w powietrzu truchła i przenoszony przez feromony kontakt z innymi przedstawicielami ich gatunku - naturalne rozkosze jedzenia i kojarzenia się - zostały zatrzymane, zastąpione przez raptowny zakaz latania. Przedtem była walka, która wstrząsała siecią i nagły przypływ przerażenia, gdy te delikatne vibracje tak szybko doprowadziły do paraliżującego ukąszenia, które je unieruchomiło, pogrążając w wiecznej ciemności.

A kiedy znikło wszystko, co znały - jak osoby pozbawione życia, które dotąd nie znały pojęcia śmierci - te otoczone kokonem pajęczyny owady mogły jedynie zapytać: „dlaczego?”.

I to właśnie pytanie usłyszał Nekroskop.

Osoby pozbawione życia, tak. Ale...

...Trzy cale pod ziemią, na piaszczystym skraju ścieżki, gdzie bruk był popękany, spoczywały ciała prawdziwej społeczności, niemal całej kolonii jednego z najmniejszych ziemskich gatunków - owadów o rozmiarach zaledwie kilku milimetrów - które podjęły ostatnią rozpaczliwą próbę budowy ochronnego muru wokół kupki maleńkich lśniących białych jaj. Kolonia została wytępiona przez Jimmy'ego Collinsa po tym, jak zauważył wzmożoną aktywność mrówek oraz szkody, jakie poczyniły w strukturze ścieżki. Było to naprawdę zadziwiające, że istoty tak niewielkie mogą w ogóle na świecie odcisnąć jakikolwiek ślad, ale małe kupki ziemi i rozdrobniona zaprawa murarska były wystarczającym dowodem, jak skuteczne były mrówki w niszczeniu ogrodowej ścieżki.

Wyczuwalne były także (przynajmniej dla Nekroskopa) liczne okrzyki bólu i paniki, które Harry „słyszał”, a które płynęły ze zniszczonego roju. Choć te krzyki much były słabe, miały jednak zupełnie inny charakter, ponieważ te niezliczone głosy przenikała wspólna obawa, jak gdyby została wyartykułowana przez jedną istotę. „Przeżyć!”, krzyczał ów zbiorowy głos, mimo że Jimmy i jego środki owadobójcze skutecznie zajęły się tym, aby nikt nie przeżył. „Przeżyć!... Ocalić jaja!... Ochronić młode królowe!”. Oczywiście dla nich oznaczało to przyszłość setek rojów!

W umyśle Nekroskopa nie odezwał się nawet szept - to była tylko intuicja - wiedział jednak, że martwe istoty znów protestują przeciw niemożności poruszania się i nieznanemu mrokowi śmierci. Ale tak jak w wypadku uwięzionych w pajęczynie much było to coś, co mógł zignorować, co musiał zignorować, ponieważ i tak nic nie mógł uczynić. Świat wydawał się pełen martwych istot; nawet ziemia pod stopami składała się z martwych szczątków! A gdyby Nekroskop rzeczywiście próbował wczuć się w każdą myśl, wiadomość, wrażenie - związane z każdym okrzykiem bólu - oznaczałoby to z pewnością jego koniec.

Tak więc Harry musiał się nauczyć zapominać o tym efekcie ubocznym - tym dodatkowym elemencie swoich zdolności - i traktować to jak biały szum, tak jak czynił to z większością tego, co słyszał za pośrednictwem uszu, jak każda istota ludzka, której słuch nie został upośledzony. I to mu się udawało, tylko że...

- Hej, dobrze się czujesz? - Zaniepokojone pytanie Jimmy'ego Collinsa, dobiegające z cienia w pobliżu drzwi, w końcu dotarło do Nekroskopa. Jimmy'ego nie było zaledwie przez kilka minut, ponieważ przygotowywał w kuchni następne drinki i Harry znów zapadł w drzemkę, a przynajmniej tak sądził Jimmy. Chyba nie można go

winić za to, że tak myślał, bo kiedy wrócił do ogrodu, stwierdził, że jego gość ma ręce złożone na piersi, opuszczoną głowę, a kapelusz nasunięty nisko na oczy i jest zupełnie nieruchomy, jak człowiek pogrążony w głębokim śnie. Ale Harry w istocie był skupiony... słuchając... słuchając... słuchając! Chociaż nie uszami.

Słuchając bezcielesnych istot, ale niczego równie błahego (choć niezwykłego) jak szepty mrówek i much, nie teraz, gdy jego uwagę przykuło jeszcze bardziej niezwykle zjawisko, które rozpoznał jako coś bardzo odmiennego i bardzo osobliwego.

- Co? - Harry poderwał się, sprawiając wrażenie kogoś, kto się właśnie gwałtownie obudził i prostując się na leżaku. - Musiałem... musiałem znowu zasnąć! Więc teraz rozumiesz, jak ze mną jest. Jak ci mówiłem, wciąż jestem w szoku po tym wypadku. Nie potrafię opierać się senności dłużej niż przez kilka minut. - Wzruszył ramionami. - A może po prostu jest mi tutaj ciepło i wygodnie, bo to miejsce jest takie spokojne i w ogóle...

Jimmy był zaniepokojony, a Nekroskop miał wyrzuty sumienia, że tak oszukuje starego przyjaciela. Ale to było częścią tego, co teraz zamierzał uczynić.

- Myślę, że po prostu... - zaczął, ale Jimmy przerwał mu, mówiąc:

- A ja myślę, że lepiej będzie, jak utniesz sobie drzemkę w domu! Jeśli zaśniesz tutaj z otwartymi ustami, możesz wywinąć orła. Jeszcze nie minęły dwa tygodnie, jak osa ukąsiła mnie w wargę, kiedy tak jak ty zasnąłem w ogrodzie. Wciąż czuję ból, nawet kiedy o tym mówię!

- Nie, chyba nie - powiedział Harry, wstając i biorąc drink podany przez Jimmy'ego. - Wypiję to, a potem, myślę, że pójdę się przejść, może w stronę Hazeldene? Przewietrzę się, zobaczę, czy uda mi się otrząsnąć z tego lenistwa, letargu czy czymkolwiek to jest. - Pociągnął długi łyk, prawie opróżniając szklankę jednym haustem.

- No cóż, sam wiesz najlepiej, czego ci potrzeba. - Jimmy wzruszył ramionami. - Ale będziesz musiał pójść sam. Jest tutaj w domu parę rzeczy, którymi chciałbym się zająć.

- W takim razie zobaczymy się później - powiedział Harry, wręczając przyjacielowi prawie pustą szklankę, po czym przeciągnął się, skrzywił i na koniec skierował się do furtki.

Kiedy ją otworzył, Jimmy zmarszczył brwi, okazując rosnący niepokój.

- Jesteś pewien, że wszystko w porządku?

- Zdecydowanie - odparł tamten. - Zobaczysz. Do wieczora odzyskam swoje dawne ja i znów będę tryskał energią.

W końcu Jimmy roześmiał się i powiedział:

- Tryskał energią? OK, ale nie przesadz, to może później wieczorem wybierzemy się do pubu! To znaczy jeśli masz na to ochotę.

- Może - powiedział Harry. - Zobaczymy. - Po czym wyszedł przez furtkę na dróżkę otoczoną po obu stronach żywopłotem i ruszył w stronę przejścia, po przekroczeniu którego dotarł do wąskiej ścieżki. Ścieżka prowadziła przez wysoką do kolan trawę, a dalej przez pagórkowaty teren. W odległości około dwóch mil leżała porośnięta lasem dolina Hazeldene, gdzie znajdowało się to coś, ale właściwie co? Może owo metafizyczne lub mentalne zakłócenie, w każdym razie ten „dźwięk” tam właśnie wydawał się mieć swe źródło. Ale było bardzo trudno ustalić jego położenie, był taki słaby!

Nienaturalnie słaby, zważywszy jego ludzkie pochodzenie! Tak słaby, a nawet słabszy niż histeryczne głosy martwych mrówek czy zawodzenia wyschłych much. Ale jaka to może być wiadomość? To właśnie Nekroskop zamierzał odkryć, i to możliwie jak najszybciej. Zwłaszcza że instynktownie wiedział, że jakkolwiek odległe i

przytłumione jest źródło tego dźwięku, był to zbiorowy krzyk przerażenia, który dla niego brzmiał jak SOS, wołanie o pomoc.

Ale wołanie o pomoc zza grobu? Czego mogli się bać zmarli? Było to pytanie, na które tylko Nekroskop mógł odpowiedzieć. I rzeczywiście wiedział, że naprawdę istnieją rzeczy, których powinni się obawiać zmarli, bo z niektórymi z nich spotkał się już wcześniej...

Słońce paliło i nawet pod szerokim rondem swego opadającego kapelusza Harry czuł jego ciepło. Chusteczką wytarł pot z karku i poszukał wytchnienia na ławce, w cieniu kwitnącego dzikiego bzu. Minąwszy pola, znalazł się na głównej drodze i mógł teraz spojrzeć w stronę Harden, na charakterystyczny wiadukt i rozciągające się dalej Morze Północne. Morze, kiedyś szare od pyłu węglowego, było bardziej niebieskie, niż Harry pamiętał, ale w końcu nie szedł tędy od... od jak dawna? Może od zeszłego lata? Albo od tego przed nim? Tak czy owak wiedział, że niebieski kolor morza to po prostu odbicie bezchmurnego nieba.

Na zachodnim horyzoncie niebieskie niebo zlewało się z pasem zieleni: był to brzeg gęsto zalesionej doliny Hazeldene, dokąd zmierzał Nekroskop i gdzie znajdowało się źródło tych niezwykle słabych szeptów, które wciąż brzmiały w jego umyśle. Na razie próbował nie zwracać uwagi na widoczną rozpacz, przytłumione przerażenie, które było słychać w tych szepciach. Po co słuchać nieznanymi zmarłych, skoro nie może z nimi rozmawiać? Już próbował, ale wydawali się go nie słyszeć. Harry wyczuwał - „wiedział”, z racji swych fantastycznych zdolności - że są blisko, tylko o kilka mil stąd, a mimo to ich głosy brzmiały, jakby byli bardzo daleko. Było to bardzo dziwne i nie mieściło się w jego dotychczasowych doświadczeniach...

Skraj drogi, wąskiej i otoczonej żywopłotem, porastała trawa. Oprócz samochodu policyjnego, zaparkowanego jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, gdzie ogrodzenie ze sztachet przerywało monotonię żywopłotu, w polu widzenia nie było żadnych innych pojazdów. Harry przypuszczał, że policjant patrolujący drogę zrobił sobie przerwę gdzieś w pobliżu, być może załatwiał się za żywopłotem. Cóż innego mógłby robić policjant tutaj, na otwartej przestrzeni, gdzie nie było czego pilnować?

Idąc w stronę kopalni Blackhill, Nekroskopa wolnym krokiem minęli, trzymając się za ręce, młody chłopak i dziewczyna. Z przeciwnej strony zbliżało się dwóch młodych robotników; szli niedbale skrajem trawy, na głowach mieli sterczące czapki, a dłonie wepchnęli głęboko w kieszenie spodni. Harry, który siedział w cieniu dzikiego bzu, owiewany delikatnym słonym wiatrem wiejącym od strony morza, stopniowo zdał sobie sprawę z ordynarnych chichotów dwóch robotników, kiedy ci zrównali się z parą młodych ludzi, i nagle zaczął słuchać uważniej, już nie zwracając uwagi na słabe i tajemnicze szepty zmarłych, lecz na ordynarne, obleśne uwagi żywych - owych dwóch prostaków.

Zaledwie przed chwilą większy i szpetniejszy z tej dwójki zdjął czapkę i zwrócił się do młodych ludzi tymi słowami:

- O, cześć! Piękny dzień na przechadzkę, co? I na niezłe rżnięcie w wysokiej trawie, no nie? Dobrze mówię?

A jego mniejszy, bardziej przysadzisty towarzysz wyszczerzył zęby w uśmiechu i dodał:

- Możemy popatrzeć? Może moglibyśmy pomóc, gdybyście, hm, mieli problem czy coś w tym rodzaju.

- Ty podła świniol!... - Oburzony młodzieniec puścił dłoń towarzyski, zasłonił ją swoim ciałem i stanął naprzeciw dwóch żuli. Jednak od razu widać było, że nie będzie dla nich żadnym przeciwnikiem. Był wysoki, ale patykowaty, a jego reakcje -

zaczerwieniona twarz i niezgrabne ruchy - świadczyły, że nie ma charakteru wojownika.

A zbiry, otrzymawszy odpowiedź, jakiej oczekiwały, wyjęły ręce z kieszeni, zaciskając pięści. Większy z nich rzucił się do przodu i złapał potencjalną ofiarę za koszulę.

- Coś ty powiedział? - warknął. - Nazwałeś nas świniami, ty palancie? *Mnie nazwałeś świnia?* Słuchaj, chcieliśmy się po prostu trochę zabawić, ty *pierdolcu!* Nie chcemy pieprzyć twojej głupiej dziwki. Osobiście wolałbym wypieprzyć ciebie, tylko że wtedy pewnie rozjebałbym cię na dwoje! Co ty na to? No?

Wtedy Nekroskop zerwał się na nogi i po chwili był już w połowie drogi do miejsca całkowicie nieoczekiwanego, choć nieuchronnego starcia. Kiedy się zbliżał, przemówił do swego przyjaciela z cmentarza koło swojej starej, wiejskiej szkoły:

- *Sierzancie, widzisz, co się dzieje?*

- *Doskonale, Harry, za pośrednictwem twoich oczu!* - odparł Sierżant, a Nekroskop wyczuł ponure, choć bezcielesne skinienie głową. - *Może mógłbyś im pomóc sam, ale sądząc z wyglądu tych dwóch łobuzów, raczej niewiele. A przy okazji: dzień dobry!*

- *Miałem zamiar cię odwiedzić* - powiedział Harry szczerze, choć trochę poniewczasie. - *Faktycznie w pobliżu jest paru starych przyjaciół, z którymi jeszcze nie rozmawiałem.*

- *OK, nie ma sprawy* - powiedział Sierżant i Nekroskop wyczuł uśmiech, który by rozjaśnił twarz tamtego, gdyby jeszcze miał twarz. - *Słuchaj, chcesz, żebym się tym zajął? Jeżeli tak, wpuść mnie.*

Harry otworzył swój umysł szeroko i natychmiast wyczuł jego obecność, jak lekki wstrząs elektryczny, który przebiegł całe ciało. W międzyczasie prawie dotarł do czterech osób, które stały naprzeciwko siebie.

Mniejszy z dwóch zbirów zdał sobie sprawę z jego obecności i powiedział:

- Hej, Jim, popatrz no, kogo tutaj mamy. Jakiś ciul w kapelindrze! - Obaj wybuchnęli głośnym śmiechem i przytupując wykonali mały taniec. - Spójrz tylko na tego gościa, jego płonące oczy i grymas twardziela! Boże, zaraz umrę ze śmiechu! Dzielny obrońca przychodzi z pomocą? Ale to zwykły ciul w kapelindrze!

- Co? - powiedział większy oprych, puszczając koszulę młodzieńca i odwracając się, żeby ogarnąć Harry'ego mętnym spojrzeniem swych wąskich oczu. - Co mówiłeś, Kev? - Jim, który najwyraźniej nie był tak bystry jak Kevin, przez kilka sekund przyglądał się Harry'emu, po czym wybuchnął gardłowym śmiechem jak jego mniejszy towarzysz. - Tak, tak, załapałem! - powiedział. - Ciul w kapelindrze, tak?

Teraz Nekroskop był już w pobliżu całej grupy. Zatrzymał się i bez żadnych wstępów powiedział:

- Wy dwaj, macie do wyboru: albo pójdziecie swoją drogą albo dostaniecie za swoje, jak chcecie. To jak będzie?

- Co? - powiedział Jim - była to wyraźnie jego ulubiona odzywka, gdy pełna niedowierzania zmarszczka przecięła jego czoło.

- Jesteście tępi od urodzenia, chłopcy? - powiedział Harry, uśmiechając się zjadliwym uśmiechem, który miał w rezerwie na podobne okazje. - Czy też to wynik długiej praktyki? A może nauczyliście się tego w szkole, co?

Jednak tak się złożyło, że nie byli aż tak tępi, i patrząc, jak opadła im szczeka, Nekroskop wiedział, że pobił obu napastników ich własną bronią szyderstwem doprowadził ich do ostateczności.

Jim i Kevin spojrzeli na siebie ukradkiem, choć w sposób dobrze im znany, spotykali się bowiem z podobnymi sytuacjami już przedtem. I kiedy porozumieli się bez słów, jak jeden mąż odwrócili się do Harry'ego i rzucili się nań z zaciśniętymi

pięściami - co miało się za chwilę okazać ogromnym błędem. Bo oczywiście częścią ciała i umysłu Harry'ego był teraz „Sierżant” Graham Lane.

Martwy przyjaciel Nekroskopa, były instruktor wychowania fizycznego w wojsku i swego czasu niezwykle twardy facet - człowiek, który wcześniej opuścił armię, aby zostać trenerem w szkole i który zginął w wypadku, gdy Harry był jeszcze uczniem - już dawniej kilkakrotnie używał Harry'emu swojej znajomości sztuk walki i z radością uczynił to znowu. Ponieważ Nekroskop stanowił jego jedyny kontakt ze światem żywych, nie było to specjalnie zaskakujące i teraz Sierżant tkwił w umyśle Harry'ego i na odwrót.

- *Sierżancie!* - przestrzegł Harry martwego przyjaciela. - *Zadaj im ból, ale postaraj się nie połamać kości. Pamiętaj, że to ja będę musiał się tłumaczyć, jeśli to zrobisz...* - Ojej!

Harry zdał sobie sprawę, że Sierżant go nie słucha.

Uchylając się przed młocącymi powietrze ramionami pary łobuzów, Harry zwinnie obrócił się bokiem i pochylił, unikając uderzeń napastników. Równocześnie oderwał prawą stopę od ziemi i usztywniwszy nogę niby pałkę, zadał piętą cios w genitalia większego mężczyzny.

- Auu! - jęknął tamten, obu dłońmi ściskając krocze, opadł na kolana i powoli osunął się bokiem na trawę. I jeszcze raz jęknął: - Au! - zwinawszy się w kłębek.

- *Sierżancie!* - powiedział Harry. Ale było już za późno, bo jego ciało - jakby z jego własnej woli, ale faktycznie za sprawą Sierżanta - obróciło się jak bąk o całe trzysta sześćdziesiąt stopni, a prawa noga wyprostowała się i uniosła w górę. I jego pięta znów zetknęła się z ciałem, którym tym razem był nos Kevina.

Buchnęła krew zmieszana ze smarkami, a zaskoczony oprych, wywijając rękami w powietrzu, wylądował tyłkiem w rowie pod żywoplotem.

Obaj mężczyźni leżeli unieruchomieni, szlochając z bólu, i wydawało się, że wszystko skończyło się tak szybko, jak się zaczęło. Ale nagle...

- Co tu się dzieje?! - rozległ się z tyłu spokojny, nieznan, lecz wyraźnie zdecydowany głos, kiedy Nekroskop już poczuł się rozluźniony. - Co my tutaj mamy?

Harry odwrócił się, stając twarzą w twarz z umundurowanym policjantem bez marynarki. Pomimo że sprawiał wrażenie, iż ma pod czterdziestkę, starannie przystrzyżone baki wystające spod czapki przedwcześnie posiwiały; miał szare oczy o nieco cynicznym spojrzeniu i wąskie, zaciśnięte usta. Jednak paradoksalnie, w sposób trudny do określenia, aura, jaką roztaczał wokół, wydawała się znacznie mniej cyniczna niż jego zmęczona życiem twarz. Ponadto - co wyglądało dziwnie nie na miejscu, podobnie jak i on sam - na zawieszonym na szyi skórzanym pasku kołysała się lornetka.

- Ja tylko... - zaczął Harry, ale przerwała mu dziewczyna, którą przed chwilą uratował z kłopotliwej, a nawet groźnej sytuacji.

- Ten człowiek przyszedł nam z pomocą gdy sprawy zaczęły wyglądać naprawdę źle - wyjaśniła. - A ta dwójka... - wskazała dwóch mężczyzn, którzy wciąż leżeli na ziemi - ...oni byli jak... jak *zwierzęta!* Zasłużyli na to, co ich spotkało!

Jej towarzysz dodał:

- Zostałem... no, zaskoczony, w przeciwnym razie może mógłbym jakoś pomóc. Ale...

- Ale tak się złożyło - przerwał mu policjant - że widziałem całe zdarzenie i ten dzentelmen... - tu wskazał Harry'ego chyba nie potrzebował żadnej pomocy, prawda?

- Wyjawszy notes, zwrócił się do Harry'ego: - Mogę zapytać, kim pan jest, proszę pana?

- Nazywam się Keogh - Harry Keogh - odparł Nekroskop. - Mieszkam w Edynburgu, a zatrzymałem się u mego przyjaciela w Harden.

Policjant uczynił ruch, jakby chciał to zapisać, ale zmienił zdanie i schował notes do kieszeni, w której tkwił jego gwizdek.

- Nie ma pan specjalnie szkockiego akcentu - powiedział.

- Wychowałem się w tych stronach - powiedział Harry. - Chodziłem do szkoły w Harden. - I po chwili dodał: - Przykro mi, jeśli zawiniłem, ale usłyszałem ordynarny język tych dwóch chamów i odniosłem wrażenie, że ci młodzi ludzie mają kłopoty. A kiedy się zbliżyłem, ja też usłyszałem groźby! Więc wydaje mi się, że lepiej by było, gdyby pan porozmawiał raczej z tymi dwoma oprychami niż z tymi, których znieważyli.

Policjant uśmiechnął się cierpko.

- Nie ma potrzeby - powiedział. - Znam ich wystarczająco dobrze. To nieroby i chuligani, bardzo lubią sprawiać kłopoty porządnym ludziom. - Popatrzył gniewnie na obu zbirów, którzy właśnie zaczęli się odczołgiwać po trawie, po czym zapytał:

- Czy ktoś z was chce wnieść oskarżenie?

Czując ulgę, Harry potrząsnął głową.

- Nie jestem pewien, czy to konieczne. Myślę, że dostali nauczki.

A młody człowiek zapytał:

- Co pan proponuje, panie posterunkowy?

Policjant przygryzł wargę, chwilę pomyślał i w końcu powiedział:

- Myślę, że powinniśmy dać spokój. Dwadzieścia lat temu prawdopodobnie zawiózłbym ich na komisariat, gdzie spędziliby noc w celi. Następnego dnia wyszliby z podbitymi oczami, opuchniętymi wargami, paroma siniakami i na tym by się skończyło. Jednak dzisiaj to nie byłoby takie proste. Ci, którzy pragną uszczęśliwić innych na siłę, zaczęliby krzyczeć o brutalności policji i opowiadać rozmaite bzdury, a ja znalazłbym się na ławie oskarżonych. I - tu zwrócił się do Harry'ego - pan także, panie Keogh.

Zbiry z trudem podniosły się i kulejąc odeszły. Posterunkowy zawołał za nimi:

- Wy dwaj, znam was, Jim Carter i Kevin Quillern, i widziałem, co się tutaj stało. Jakieś nieprzemyślane słowa, oskarżenia, skargi, a odpowiecie za to przed sądem, możecie mi wierzyć. Powinniście się uważać za szczęściarzy, a teraz spieprzajcie stąd, i to szybko! - Po czym zwracając się do Harry'ego i dwojga młodych ludzi, znacznie łagodniejszym tonem powiedział: - Proszę mi wybaczyć ordynarne słownictwo, chociaż nie aż tak ordynarne jak ich!

- Możemy już iść? - spytał młodzieniec.

- Musicie mi jeszcze podać nazwiska - powiedział policjant. - Na wypadek gdyby się okazało, że będę ich potrzebował.

- Alex Munro - odparł tamten. - Mieszkam w Easingham. A to jest moja narzeczona, Gloria Stafford, także zamieszkała w Easingham.

- To mi wystarczy - policjant kiwnął głową. - Możecie iść. Przykro mi z powodu tego, co was spotkało.

Dziewczyna zwróciła się do Harry'ego:

- Jest pan bardzo miły i dzielny, panie Keogh, że wkroczył pan w taki sposób. Bardzo dziękujemy.

- Bardzo proszę - powiedział Nekroskop. - Ale tak naprawdę to nie było nic takiego. To znaczy nie musiałem wiele robić.

- *Faktycznie prawie nic* - powiedział Sierżant, opuszczając umysł i ciało Harry'ego.

Kiedy młodzi ludzie odeszli, posterunkowy powiedział:

- Mógłby pan mi powiedzieć, gdzie pan się tego nauczył, tego karate czy cokolwiek to jest?

Harry musiał szybko myśleć, ale właściwie po co miał kłamać?

- Mój trener był byłym instruktorem wychowania fizycznego w wojsku - powiedział. - Zmarł w wypadku jakiś czas temu. - I aby oddać Sierżantowi sprawiedliwość, dodał: - Miał czarny pas w kilku dyscyplinach i był wybitnie uzdolniony. A jeśli chodzi o moje umiejętności, no cóż, wszystko zawdzięczam jemu.

- Najwyraźniej dobrze pana wyszkolił - powiedział tamten. - Chciałbym być choć w połowie tak dobry jak pan! Co pan tu robił?

- Po prostu byłem na spacerze - odparł Harry, wzruszając ramionami. - Szedłem w stronę Hazeldene. Chyba z powodów trochę nostalgicznych. Bawiłem się tam, kiedy byłem dzieckiem.

Kiedy ruszyli w stronę zaparkowanego samochodu, posterunkowy powiedział niepytany:

- Nazywam się Jack Forester - niższy rangą funkcjonariusz organu ochrony porządku publicznego. Tym wyższym rangą jest starszy oficer, z którym się dzielę obowiązkami. Faktycznie dzisiaj mam wolny dzień, ale nie mam nic lepszego do roboty.

Harry pomyślał:

- *Żadnego życia domowego? Nic, tylko praca? To się nazywa poświęcenie! A może to coś innego?* - Ale kiwnął głową i głośno powiedział: - Pamiętam, że komisariat policji był niedaleko mojej szkoły - szkoły średniej dla chłopców - tam, koło wiaduktu.

- Tak, tam nadal jest szkoła - powiedział Forester. - Ale komisariat policji to teraz tylko posterunek. Wciąż odnotowujemy drobne przestępstwa - czasami nie takie drobne - ale kiedy wydarzy się coś poważnego, przybywają tu detektywi albo posiłki z Hartlepool lub Sunderland. To w istocie kwestia łączności. Widzi pan, w takich wioskach jak Harden inwazja komputerów spowodowała, że wielu z nas znalazło się bez pracy i chyba mam szczęście, że wciąż mam pracę!... Mogę zwracać się do pana po imieniu, Harry?

- Ależ tak - powiedział Nekroskop. I dodał zuchwale: - Mogę spytać, dlaczego tu byłeś, Jack? To znaczy z lornetką i w ogóle.

Zerknąwszy nań przez zmrużone oczy, Forester powiedział:

- Och, po prostu się rozglądałem, rozumiesz... - I szybko zmienił temat: - Słuchaj, akurat jadę starą wiejską drogą koło Hazeldene, więc jeśli chcesz, mogę cię podrzucić...

Harry potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję. Myślę, że jeszcze się przespaceruję. - W rzeczywistości gdyby chciał, mógłby dotrzeć do celu grubo przed policjantem, ale było to coś, o czym wolał nie wspominać.

- Rób, jak uważasz - powiedział Forester, wsiadając do samochodu. - Miejmy nadzieję, że nie będziesz miał więcej kłopotów z powodu miejscowych oprychów. Ale powinienem cię ostrzec, że teraz jest ich tu sporo. I mnóstwo wariatów!

Harry patrzył, jak odjeżdża, ale na zakręcie, jakieś dwieście metrów dalej, samochód zatrzymał się i Forester wysiadł. Nekroskop zastanawiał się, czy posterunkowy przypadkiem nie zamierza zamienić kilka słów z oprychami, jednak nie widząc śladu Jima ani Kevina, coś ostrzegło Harry'ego, aby ukrył się w dziurze w żywopłocie, skąd mógł obserwować Forestera, sam nie będąc widziany.

A kiedy wyjrzał na drogę, zobaczył, że posterunkowy stoi na najwyższym stopniu przełazu w żywopłocie, patrząc uważnie przez lornetkę w stronę Hazeldene. Harry mógł tylko pokręcić głową ze zdumieniem.

Jeszcze jedna tajemnica? Na to wyglądało...

W większości wypadków Nekroskop nie miał kłopotów z wykorzystywaniem dość egzotycznego środka transportu - czyli teleportacji - za pośrednictwem tak zwanego Kontinuum Möbiusa, czegoś, do czego uzyskał dostęp dzięki innemu przyjacielowi i mentorowi, dawno zmarłemu niemieckiemu astronomowi i błyskotliwemu matematykowi imieniem August Ferdinand Möbius z Lipska. Jednak w niektórych, na szczęście rzadkich, sytuacjach, cierpiąc na łagodną postać paranoi, Harry korzystał z Kontinuum oszczędnie; głównym powodem była obawa, że zostanie zauważony w trakcie „operacji”. Bo nie byłoby dobrze, gdyby ktoś zobaczył, jak dosłownie znika z tego świata albo pojawia się ponownie całkiem znikąd!

Dzisiaj, aż do tej chwili, miała miejsce taka właśnie sytuacja; Harry unikał natychmiastowej zmiany miejsca częściowo wskutek wspomnianej paranoi, a częściowo z powodu autentycznej nostalgii. Bo rzeczywiście się bawił na tych polach i na tych leśnych drogach jako dziecko i spacer po tym terenie przywoływał miłe wspomnienia z czasów, kiedy był chłopcem. Przeszłość, gdy wiedział niewiele o prawdziwych okropnościach tego świata - okropnościach, w obliczu których już stawał i miał stanąć znowu - wydawała się znacznie mniej groźna niż znana teraźniejszość i nieznana przyszłość...

Ale teraz pojawiły się sprawy, które Nekroskop musiał zbadać, zadania, które jak wiedział, można znacznie sprawniej zrealizować za pomocą Kontinuum Möbiusa. Najpierw chciał się dowiedzieć, co tak zafascynowało tego policjanta, że śledził coś potajemnie, i wiedział, że przedmiot tej fascynacji - czymkolwiek miał się okazać - leży na zachodzie, w stronę doliny Hazeldene.

Wszystko to pięknie, ale Harry był pewien, że źródło tych tak słabych głosów - tak bardzo słabych, że można by sądzić, że pochodzą z gwiazd - leży gdzieś pośród tego samego rozległego obszaru ponurego, nietkniętego ręką drwała lasu, poprzecinanego wąskimi ścieżkami, znanymi tylko leśniczemu... ponieważ ten stary las był teraz własnością prywatną i należał do właściciela ziemskiego.

I któż mógł to wiedzieć? Pomimo na pozór niewielkich szans, że te tajemnice mają jakiś związek, może Nekroskopowi jakoś się uda ustrzelić za jednym zamachem dwa wróble. *Tylko że* — cierpko pomyślał Harry - *kiedy mowa o strzelaniu i zabijaniu, wiem, że posiadacze tych głosów są od dawna martwi...*

Tymczasem Forester patrzył nie tylko w stronę Hazeldene, lecz także w kierunku grupy zrujnowanych stodół i domów, które Nekroskop pamiętał z czasów młodości jako farmę Bellinghama. Teraz, gdy po krótkiej serii skoków Möbiusa Harry znalazł się tak blisko tych ruin jak to możliwe, choćby po to, aby zaspokoić własną ciekawość, spróbował umiejscowić obiekt będący źródłem zainteresowania Forestera. Niezależnie od tego, czy mu się to uda, czy nie, wykorzysta następnie rozpadającą się farmę jako pierwszą z trzech współrzędnych Möbiusa, po czym zastosuje triangulację, aby określić możliwie jak najdokładniej miejsce... miejsce...

...Właściwie czego? Harry przypuszczał, że najlepiej uważać je za grób wielu - możliwe, że bardzo wielu - przerażonych *zmarłych*. Bo jak na razie nie miał dla nich innego imienia...

Ten, którego pradawna Istota знаła jako Poszukiwacza, był blisko. Istota wyczuła charakterystyczną aurę wroga, istoty owładniętej pragnieniem zemsty!

Byli też inni, rozproszeni po samotnych stuleciach; w miarę upływu czasu wszyscy oni znużyli się poszukiwaniem Istoty, albo po prostu zestarzelili się i umarli. W końcu ich życie trwało bardzo krótko. Ten jednak był bardzo wytrwały. Wiosną czy latem, jesienią czy zimą, był gdzieś w pobliżu, czasami na skraju lasu, innym razem głęboko wewnątrz, jego zapach rozchodził się wokół, jak wtedy, owego ciepłego letniego dnia, gdy zasnął na skraju lasu, objąwszy swoją towarzyszkę, a

Istota mu ją wykradła. Potem, po krótkiej przerwie - przerwie, która w każdym razie była krótka dla Istoty - powrócił jako Poszukiwacz, a jego aura uległa zmianie z ciepłej i dobrotliwej, nieróżniącej się od cielesnych zapachów i emanacji pomniejszych stworzeń, na przejmująco zimny strumień nieprzejednanej nienawiści. Jednak jego podstawowy zapach - który był niezmiennym zapachem krwi - można było natychmiast rozpoznać.

I tak zaczęła się zabawa w kotka i myszkę...

Porwanie towarzyski Poszukiwacza było tylko najświeższym przykładem realizacji sporadycznej potrzeby, jaką żywiła Istota: zdobycia pożywienia. I miało to miejsce wiele lat temu, niezbyt dawno temu wobec niezliczonych lat, jakie żyła Istota, dla której samo pojęcie czasu prawie nie miało znaczenia, dla której ziemskie pory roku przychodziły i mijały jak dni i noce.

Ale jeśli chodzi o pojawiające się okresowo pragnienie Istoty, aby zaspokoić w ten sposób niektóre ze swoich potrzeb, była to tylko potrzeba „sporadyczna”, bo jeżeli mogła mieć ochotę, aby dogadzać sobie, ilekroć pojawi się okazja, pewne wydarzenie, które pamiętała z przeszłości, uświadomiło jej potencjalne śmiertelne ryzyko podobnego ucztowania, jeżeli chwilowo spokojne stworzenia ogarnie gniew i przybędą, aby w głębi lasu odszukać pradawną Istotę i zniszczyć.

I dlatego, ponieważ nawet jeden Poszukiwacz był niepożądany, Istota zrozumiała, że musi się ukryć. Trudności, w obliczu których by stanęła, gdyby było ich więcej - i zemsta, jaką mogliby wyrzucić, gdyby jej głód wymknął się spod kontroli - po prostu przekraczały jej wyobrażenie. Albowiem pradawna Istota pamiętała straszliwe gorąco i okropny smród, a także trzaskanie ognia, który pochłonął wszystkich bez wyjątku członków jej gatunku, złożonych w ofierze, zamienionych w unoszący się ku gwiazdom dym i popiół!

Tak nie miało być!

Ach! Ale Istota pamiętała także, jakie to było słodkie uczucie, gdy ulegała swym potrzebom i pragnieniom i pielęgnowała te wspomnienia, więząc dusze zmarłych ofiar, aby mogła słuchać ich niemilknących krzyków oburzenia i przerażenia! Co przy sposobie myślenia Istoty - przy całej jej wiedzy - wcale nie było aktem potwornego okrucieństwa. Będąc bowiem pozbawiona uczuć, poza wyżej wspomnianymi „przyjemnościami”, prawdopodobnie nawet nie rozumiałaby pojęcia złych zamiarów. Czy ośmiornica uważa pochłanianie żywych mięczaków za okrutne? Nie, traktuje je zwyczajnie jako pożywienie. To po prostu wynik ewolucji ośmiornicy: potrzeba przetrwania gatunku.

I dlatego w niedalekiej przyszłości, kiedy Istota się rozmnoży i doprowadzi do odnowienia swego gatunku, niezależnie od istnienia jakiegoś Poszukiwacza - odsuwając na bok wszelkie możliwe obawy - jej potrzeby muszą zostać zaspokojone i musi zostać wykorzystana kolejna żywa istota.

Jakże to będzie słodkie, a kiedy już będzie po wszystkim... w chórze głosów umarłych pojawi się jeszcze jeden głos, wołający w pustkę rozciągającą się poza kresem życia. I tylko pradawna Istota będzie mogła słyszeć i cieszyć się tym chórem i wspomnieniami, jakie się z tym wiążą...

Tak myślała Istota...

Z najwyższego stopnia przełazu, skąd Jack Forester niedawno patrzył przez lornetkę w stronę ruin farmy Bellinghama, Harry zlustrował horyzont we wszystkich kierunkach, aby się upewnić, czy jest zupełnie sam. Następnie, wycofawszy się na pole po drugiej stronie ogrodzenia, stanął za żywopłotem.

Minęło sporo czasu od chwili, gdy młodzi ludzie, których uratował z niezręcznej, a nawet groźnej sytuacji, ruszyli dalej, ale Harry odczekał jeszcze jakiś

czas po odjeździe samochodu policyjnego Foreстера. W końcu zadowolony, że nikt go nie śledzi, zamknął oczy i wywołał niesamowite metafizyczne wzory Möbiusa, które zaczęły się przewijać i przeobrażać na ekranie jego umysłu.

W chwilę potem pojawiły się przed nim, niewidzialne dla innych, drzwi do Kontinuum Möbiusa. Były jak płat całkowitej ciemności, czarna dziura, otoczona rzeczywistym, fizycznym wszechświatem, z tą różnicą że te niematerialne drzwi - wrota prowadzące do obszaru, położonego równoległe do czasu i przestrzeni, który Harry nazywał Kontinuum Möbiusa - były zarazem bardzo rzeczywiste, a on wiedział, jak wykorzystywać dziwne wymiary, których strzegły.

Harry spojrzął ponad polami na żywopłot, którego miał zamiar użyć jako układu odniesienia. Przekroczył drzwi i zobaczył, że wewnątrz Kontinuum jest tak jak zawsze: Nicość, która jednak obejmowała tajemnice wszystkiego, pierwotną Całość, która istniała, jeszcze zanim Bóg rozkazał: „Niech się stanie światłość!”. Było to „miejsce”, które można najprościej opisać w ten sposób, że było całkowicie pozbawione wszelkiej fizyczności, gdzie myśli były obdarzone ciężarem, a czas w ogóle nie istniał i dlatego nie minęła nawet chwila czasu własnego Nekroskopa między jego wejściem i wyjściem z Kontinuum.

Stał teraz koło żywopłotu, który jeszcze przed chwilą był oddalony o jedną trzecią mili! A ruiny starej farmy znajdowały się oczywiście znacznie bliżej...

Harry, wciąż niewidoczny, ponownie wywołał drzwi do Kontinuum Möbiusa i jeszcze raz, aż dotarł do celu. Tylko że ostatnim razem, gdy pojawił się jak zwykle znikąd, zorientował się, jakie miał szczęście, że nie zauważono jego przybycia.

Zaparkowany samochód policyjny posterunkowego Jacka Foreстера z otwartymi drzwiami był pierwszą rzeczą, która świadczyła o obecności innych ludzi; po chwili Harry usłyszał wołania i dzikie okrzyki bólu. Pośpiesznie okrążywszy róg zwalonej ściany domu, gdzie kamienny komin wystawał z ruin w obscenicznym geście, wyszedł na otwartą przestrzeń. Jego nagłe pojawienie się pozostało jednak niezauważone przez dwóch znajdujących się tam ludzi, pochłoniętych tym, co robili: pochylony Jack Forester najwyraźniej bił leżącego na ziemi krzyczącego, szamoczącego się nędznie ubranego młodego człowieka, który odpierał ciosy policjanta, jednocześnie zasłaniając rękami twarz i oczy.

- Hej! - zawołał Harry, ruszając do przodu. - Co tu, u licha, się dzieje? To ty, Jack Forester? - Oczywiście wiedział doskonale, że to posterunkowy, ale czuł, że naprawdę powinien interweniować w bardzo nierównej walce, w której młody włóczęga - kimkolwiek był - z pewnością znalazł się w prawdziwych opałach. Poza tym w jego mniemaniu i na podstawie tego, co wiedział o Foresterze, był zupełnie pewien, że policjant wcale nie jest człowiekiem brutalnym, i dlatego wydawało się, że należy mu się jakieś wytłumaczenie. Kiedy jednak zbliżył się do obu mężczyzn, stało się jasne, że Forester nie tyle bije tamtego, co chce go spoliczkować. A poza tym policjant naprawdę płakał!

Zatrzymawszy się na pokrytym pyłem, zasłanym gruzem podwórzu, Nekroskop powiedział tylko: „och!”, ponieważ po prostu nie wiedział, co powiedzieć. A Forester przestał atakować leżącego na ziemi człowieka, powoli się podniósł i otrzepał drżącymi rękami. Spojrzawszy na Harry'ego, zobaczył, że Nekroskop też na niego patrzy, na jego policzki pokryte pyłem i spływającymi łzami.

- Pył... dostał mi się do oczu - skłamał policjant łamiącym się głosem.

- Widzę - powiedział Harry, nie dostrzegając niczego podobnego. - Ale nadal nie rozumiem, co się tu dzieje.

Zanim Forester odpowiedział, pochylił się, podniósł kapelusz i starannie osadził go na głowie. Następnie, patrząc gniewnie na Harry'ego, warknął:

- Kim pan jest, do kurwy nędzy, żeby mi zadawać takie pytania, panie Keogh? Nie jestem jednym z tych oprychów z kopalni, na których mógłby pan wypróbować to swoje karate. Jestem przedstawicielem prawa i nikt nie będzie mówił do mnie w taki sposób!

- Nie - powiedziała jego ofiara, opierając się na łokciu - jak również nikt cię nie nauczy rozumu, to pewne!

- Ty parszywy, popieprzony, kłamliwy... - Forester znów odwrócił się do niego i Harry przez chwilę myślał, że ma zamiar go kopnąć. Ale wtedy policjant obrócił się na pięcie i bez słowa ruszył w stronę samochodu. Nekroskop patrzył w milczeniu, jak tamten znika za rogiem zrujnowanego domu, i po chwili usłyszał warkot odjeżdżającego pojazdu. Dopiero wtedy podszedł do leżącego na ziemi mężczyzny, podał mu rękę i pomógł się podnieść.

- Co tu się stało? - zapytał. - Co się dzieje? Co on ma przeciwko tobie? A jeśli jest to coś poważnego, dlaczego cię nie aresztował?

- Aresztował? - powiedział tamten z goryczą, kiedy się otrzepał z kurzu. - Och, chciałby to uczynić, jestem pewien. Ale nie może. To byłoby powtórne pociągnięcie do odpowiedzialności za to samo przestępstwo, rozumie pan? A zresztą w stanie umysłu, w jakim się teraz znajduje - to nie jego wina. Ja... ja nie mogę go winić. - I pokręcił głową.

Harry pomyślał: *Ten człowiek jest najwyraźniej inteligentny. Może i wygląda jak włóczęga: nieogolony, odziany w stare, używane ubranie, ale to zaledwie fragment układanki. Jeszcze jeden fragment, który nie pasuje do całości.*

Przyjrzał się mężczyźnie uważniej, aczkolwiek możliwie dyskretnie. Miał około 180 cm wzrostu, był chudy, miał włosy mysiego koloru, kościste kończyny i nieco pochyloną sylwetkę oraz długą bardzo smutną pokrytą zmarszczkami twarz, starą w raczej młodym ciele. Może więc wcale nie był taki młody? Jakkolwiek było, wydawało się, że zdaje sobie sprawę z badawczego spojrzenia Nekroskopa, i jakby czytając w jego umyśle, powiedział:

- Nie pasuję do tej sytuacji, prawda? Nie wyglądam na typa, którego prześladowają i biją policjanci.

- To prawda. - Potrząsając głową, Harry podał mu rękę. - Nazywam się Harry Keogh. Mieszkałem i dorastałem w Harden, ale teraz jestem tu tylko gościem.

- Greg Miller. - Mężczyzna ujął jego dłoń i uścisnął. - Ja wciąż tutaj mieszkam i niektórzy mają mi to za złe, na przykład posterunkowy Forester. Ale jak już chyba wspomniałem, bez powodu. Tak czy owak jestem panu wdzięczny za interwencję. Nie żeby zrobił mi wielką krzywdę. Nigdy tak nie jest.

- Naprawdę? - powiedział Harry wielce zdumiony. - Słuchaj, hm, Greg. - (Greg Miller? To nazwisko wydało mu się znajome. Jakieś wspomnienie z przeszłości? Zupełnie możliwe). - Chociaż wiem, że to nie moja sprawa, czy miałbyś coś przeciwko temu, żeby... to znaczy czy mógłbyś mi coś niecoś wyjaśnić? Wspomniałeś o powtórnym pociągnięciu do odpowiedzialności za to samo przestępstwo, co wskazuje na jakiś konflikt z prawem, tak?

- Masz zupełną rację, Harry - odparł tamten. - To nie twoja sprawa. A jeśli chodzi o popełnione przeze mnie „przestępstwo”, tak, mam coś przeciwko temu! Więc wybacz, ale jeśli jeszcze nie znasz tej historii, nie mam zamiaru cię oświecić. To było dawno temu i... słuchaj, zbyt często uważano mnie za szaleńca! Ale tylko poczekaj, a przekonasz się. W końcu to się wydarzy znowu, a kiedy to się stanie, oni wszyscy... - Przerwawszy nagle, Miller gwałtownie podskoczył i spojrzał z niepokojem na zieloną ścianę Hazeldene, oddaloną o jakieś sto pięćdziesiąt metrów. A kiedy na tarczę słońca powoli nasunęła się mała kłębiasta chmura i cienie zalegające podwórze wydłużyły się, twarz mu pobladła jak kreda i wyraźnie zadygotał.

- Greg? - powiedział Nekroskop, nagle zdając sobie sprawę ze złowieszczonego mroku - nie tylko pociemniałego nieba, ale i panującej wokół atmosfery - oraz wrażenia przytłaczającej niesamowitości. - Co, na miły Bóg...?

Ale kiedy chmura odsłoniła słońce i światło znów zalało podwórze, tamten popatrzył na niego, potrząsnął głową i chropawym głosem powiedział:

- Harry, nie pytaj, ponieważ po prostu nie zrozumiesz. Musisz umieć to *poczuć*, *poznać*, żeby zrozumieć. I dlatego nikt inny tego nie rozumie ani mi nie wierzy. To jest zbyt... zbyt...

Przerwał, potrząsnął głową, jakby zabrakło mu słów, odwrócił się i zdecydowanym, choć nieco chwiejnym krokiem ruszył w stronę pobliskiego Hazeldene.

Ale chociaż Miller nie mógł tego wiedzieć, był w błędzie, ponieważ Harry zdecydowanie coś poczuł. Z drugiej strony miał także rację, mówiąc, że Harry tego nie zrozumie... przynajmniej na razie. Ale nazwisko Millera na pewno odbiło się echem w pamięci Nekroskopa, co tylko zwiększyło jego ciekawość.

- Myślisz, że nie zrozumie? - powiedział Harry, idąc kilka kroków za tamtym.
- Może się założymy? Fantastyczne historie są mi nieobce, Greg. W swoim czasie słyszałem - i robiłem - dość dziwne rzeczy i umiem słuchać. - (Wszystko to było oczywistym niedomówieniem).

Ale jeśli chodzi o Grega Millera, w ogóle nie słuchał. I kiedy Harry się zatrzymał, szedł dalej ze wzrokiem utkwionym w nieprzerwaną zieloną linię Hazeldene rysującą się po drugiej stronie pola, które od wielu lat leżało odłogiem.

Nekroskop obserwował go, dopóki jego postać nie znikła na skraju lasu, po czym otrząsnął się i pomyślał, żeby powrócić do swego pierwotnego planu, czyli spróbować określić położenie owych upiornych głosów. Ale kiedy się skupił, kiedy spróbował się do nich dostroić, wykorzystując swoje ezoteryczne zdolności, już ich nie było. Wydawało się, jak gdyby... jak gdyby celowo się wyłączyły. Faktycznie mógł nawet pójść o krok dalej i powiedzieć, że *zostały wyłączone* i że cokolwiek poprzednio regulowało czy ograniczało ich natężenie - sprawiając, że były tak słabe - że ta sama siła teraz je całkowicie stłumiła...

Kiedy Harry znów znalazł się w ruinach farmy, ukrył się w pokoju pozbawionym dachu, wywołał drzwi do Kontinuum Möbiusa i za jego pomocą powrócił do ogrodu Jimmy'ego Collinsa, materializując się tuż koło furtki. Ogród otoczony wysokim murem wyglądał dokładnie tak samo, jak kiedy go opuścił: dwa leżaki stojące naprzeciw siebie, na starannie przystrzyżonej trawie. Gdzieś wewnątrz domu Jimmy pogwizdywał, pracując, od czasu do czasu przerywając, kiedy próbował sobie przypomnieć słowa rozmaitych piosenek Elvisa Presleya. Nieźle go naśladował, pomyślał Harry, zastanawiając się, jakie piosenki śpiewa teraz sam Elvis. Martwy już od jakiegoś czasu Król Rock-and-Rolla powinien już się zaaklimatyzować wśród wielu jemu podobnych, muzyków, którzy odeszli przed nim. Jedno wydawało się pewne: bez względu na to, co grali i śpiewali, nie były to pieśni żałobne!

- Hej! - zawołał Harry i pogwizdywanie i podśpiewywanie natychmiast ustało. - Jimmy, wróciłem.

W kilka chwil później Jimmy wyszedł z domu.

- Już? Nie mogłeś zająć zbyt daleko. Nie było cię zaledwie parę godzin. Więc gdzie byłeś?

- Och, poszedłem w stronę starej farmy. - Nekroskop celowo wyrażał się ogólnikowo. - Ale było za gorąco. Kiedy znalazłem się na drodze, byłem już cały lepki i postanowiłem wracać. Ale coś się tam wydarzyło. Spotkałem takiego niechlujnie ubranego mężczyznę nazwiskiem Greg Miller i... no, nie jestem pewien, ale wydaje mi

się, że pamiętam to nazwisko w związku z czymś - czymś ponurym, jak sędzę - kiedy byliśmy jeszcze w szkole. - Teraz to nazwisko wydało mu się naprawdę znajome i rzeczywiście przypomniał sobie niejasno zdarzenie, którego bohaterem był człowiek nazwiskiem Greg Miller. Miller, jakaś dziewczyna i — jeśli pamięć Harry'ego nie myliła — zdarzenie, które wywołało oburzenie na całym północnym wschodzie.

Jimmy układał kafelki w swojej łazience i teraz, wytarłszy dłonie szmatką wyszedł i usiadł na leżaku. Usiadłszy na drugim leżaku, Nekroskop powiedział:

- Pamiętasz coś z tego?

Jimmy zmrużył oczy, zmarszczył brwi i kiwnął głową.

- Tak, coś niecoś pamiętam. Mówiło o tym całe miasto. Słyszałem nawet, jak szeptali o tym moi starzy. Czy Miller był szaleńcem, który zamordował swoją dziewczynę i ukrył jej ciało gdzieś w dolinie Hazeldene? I jakby tego było mało, ta dziewczyna była córką miejscowego policjanta!

- Ach! - powiedział Harry, czując, jak włosy jeżą mu się na karku. - Tak, oczywiście. A jak się nazywał ten policjant? Czy może Jack Forester?

- Forester? - Jimmy wciąż marszczył brwi. Ale teraz potrząsnął głową. - Nie, nie sędzę. Chyba pamiętam nazwisko: Symonds. Arnold Symonds. Faktycznie jestem pewien, że to był on, tak.

- Jesteś pewien? - Teraz Harry zmarszczył brwi. - Ale byliśmy wtedy tylko dziećmi i to się działo dawno temu, jakieś czternaście czy nawet piętnaście lat temu. Więc skąd możesz być pewien?

Jimmy mrugnął porozumiewawczo i podrapał się w nos. Zawsze było przyjemnie mieć przewagę nad Harrym.

- Ponieważ było o tym w *Northern Echo* zaledwie parę dni temu - powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu.

Nekroskop westchnął i powiedział:

- OK, Jimmy, mów dalej. Co dokładnie było w tej gazecie?

- Lista osób, które rzuciły się z wiaduktu w Harden, od kiedy go zbudowano, jeszcze w czasach wiktoriańskich - odparł Jimmy. - Podczas depresji było to miejsce samobójstw. Widzę, że się zastanawiasz: dlaczego właśnie teraz ukazuje się w gazecie artykuł na ten temat? Ponieważ ktoś zostawił list, że zamierza skoczyć, oto dlaczego.

- I skoczył?

- Nie, ten głupiec poszedł nad morze i utopił się! Ale to było samobójstwo, więc i tak zamieścili ten artykuł o wiadukcie.

- A ten Arnold Symonds? - zapytał Harry. - Mówisz, że był ojcem dziewczyny, którą jakoby zabił Greg Miller?

- To była podwójna tragedia - powiedział Jimmy. - Ten wariat, Miller, zabija córkę Symonds'a, a Symonds, miejscowy policjant - któremu zaledwie rok wcześniej żona umarła na raka - nie wytrzymuje i rzuca się z wiaduktu. *Echo* zamieściło krótkie relacje na temat wszystkich samobójstw, w tym i jego.

- A Miller?

- Jak mówiłem, to był wariat - odparł Jimmy. - Miał nie po kolei w głowie. Umieścili go w pilnie strzeżonym zakładzie dla obłąkanych, a kilka lat temu przenieśli do szpitala psychiatrycznego w Sedgefield. Dopóki mi nie powiedziałeś, że go spotkałeś, myślałem, że nadal tam jest. - Wzruszył ramionami. - Może został wyleczony albo odsiedział wyrok czy coś w tym rodzaju. Osobiście uważam, że nigdy nie powinniśmy byli znosić kary śmierci przez powieszenie.

- Nie, Jimmy, nie masz racji! - skrzywił się Harry, potrząsając głową. - To przerażająca, paskudna śmierć zostać powieszonym. Zastanów się nad myślami, jakie wtedy przelatują ci przez głowę: żalu, potwornym strachu, gdy stryczek zaciska ci się wokół szyi, nagła, niezaprzeczalna świadomość, że oto wszystko się kończy... aż

rzeczywiście się skończy, gdy wszystko się „wyłącza” i pozostaje tylko chłód i pełzająca ciemność...

Kiedy Harry mówił, czoło Jimmy'ego pokryło się zmarszczkami i opadła mu szczęka. Patrząc na Nekroskopa ze zdziwieniem - może nawet pytająco - bardzo cicho powiedział:

- Harry, przekonałeś mnie! Do diabła, sposób, w jaki o tym mówisz, sugeruje, jakbyś już tam był! Jakbyś był bliskim krewnym Śmierci, jej najlepszym przyjacielem czy coś w tym rodzaju!

Czy coś w tym rodzaju, tak. Albo nawet wszystko!

Zerknąwszy na przyjaciela, Harry pomyślał: *Wiem bardzo dużo o Śmierci, Jimmy. Och, naprawdę bardzo dużo!* - Pragnął, aby mógł to powiedzieć na głos, wyjaśnić szczegółowo, ale któż by mu uwierzył? Nie, nawet Jimmy by nie uwierzył. A może by uwierzył, i to byłoby jeszcze gorsze! Nie mówiąc nic, zatrzymywał tę niesamowitą prawdę dla siebie - oraz dla Ogromnej Większości - tak jak zawsze.

Kiedy jednak odniósł wrażenie, że Jimmy chce jeszcze o coś zapytać, szybko wstał i powiedział:

- James, mój najlepszy przyjacielu, właśnie przypomniałem sobie, że coś wspominałeś o piwie. To jak? Myślisz, że puby są już otwarte? - Wydawało się to dobrym sposobem zmiany tematu, który nagle stał się makabryczny: wybiegiem, na który Jimmy z ochotą dał się nabrać, dzięki czemu niepokojące myśli wywołane sugestywnym obrazem śmierci rozplynęły się w mentalne miazmaty, mgłę, która odpłynęła w nicość...

Następnego dnia wczesnym rankiem Harry pojechał autobusem z Harden do Hartlepool, gdzie w pokrytych kurzem archiwach gazety *Northern Echo* znalazł prawie wszystko, co chciał wiedzieć, na temat sprawy Grega Millera. Wiele z tego, czego się dowiedział, potwierdzało wersję Jimmy'ego Collinsa, ale co najważniejsze, w końcu ujawnił się związek Jacka Foreстера ze sprawą, dzięki wywiadowi, którego udzielił posterunkowy po samobójstwie swego przyjaciela i mentora, Arnolda Symondsa. W końcu Nekroskop zrozumiał jego niechęć do Grega Millera.

Historia przedstawiała się następująco.

Latem 1966 roku, czyli piętnaście lat temu, Greg Miller, robotnik w koksowni przy kopalni węgla, który miał wtedy dziewiętnaście lat, zalecał się do Janet Symonds, siedemnastoletniej córki sierżanta Arnolda Symondsa, który był starszym oficerem policji w komisariacie w Harden. Janet była powszechnie lubianą młodą dziewczyną, a jej ujmująca osobowość sprawiała, że była prawdziwą ulubienicą pracowników fabryki wyrobów elektrycznych w Hartlepool, w której pracowała. Jednak jeśli chodzi o Millera, Janet zadarła z ojcem, który uważał, że wybierając „czarnego” człowieka - pracownika koksowni - dokonała kiepskiego wyboru, ponieważ sierżant Symonds oczywiście planował dla niej coś lepszego.

Może Symonds - którego żona umarła na raka nieco ponad rok wcześniej, czyli latem 1965 roku - był po prostu nadopiekuńczy w stosunku do córki, albo biorąc pod uwagę to, co miało stać się potem, może i nie. Jakkolwiek było, zniknięcie Janet i przypuszczalna śmierć w wyniku morderstwa stanowiła tragedię, która nadszarpnęła wolę życia jej ojca, zwłaszcza po tym, jak Greg Miller opowiedział swoją wersję historii, wersję, która ewidentnie stanowiła „wyznanie” wariata. Wkrótce po tym, jak Millera zamknięto w zakładzie, Arnold Symonds odebrał sobie życie, rzuciwszy się ze środkowego przesła wiaduktu.

Jeśli chodzi o tak zwane wyznanie Millera, zostało ono spowodowane odkryciem na skraju Hazeldene porwanej i leżącej w nieładzie odzieży Janet Symonds - zwłaszcza jej bielizny - która miała na sobie ślady nasienia Millera. Potem... musiało

być dla niego oczywiste, że musi przedstawić jakieś alibi lub wyjaśnienie, ponieważ w przeciwnym razie poniesie konsekwencje odnalezienia tak niezbitych, aczkolwiek poszlakowych dowodów swego czynu.

Jeśli chodzi o powód milczenia Millera, był nim fakt, iż uważał, że nikt mu nie uwierzy, co się zgadzało z tym, co zaledwie wczoraj powiedział Nekroskopowi, po upływie wielu lat od tego zdarzenia.

Natomiast co się tyczy samego „wyznania”, przyznał, że on i Janet Symonds byli kochankami i że kochali się na skraju lasu w dniu, w którym dziewczyna zniknęła. Miller upierał się, że nie jest winny jej morderstwa. Tak, *to było morderstwo...* albo ściśle mówiąc, niewiarygodne, rytualne porwanie i brutalne zmasakrowanie ciała młodej dziewczyny, jakiego nie zanotowano nigdy dotąd.

A stroną winną był prawdziwy potwór, koszmar w postaci...

...samego lasu! Jego fragment okazał się mięsożerny, zdarłszy z Janet odzież, a potem pozbawiwszy ją ciała, rozerwał na strzępy dokładnie tam, gdzie się kochali!

Do tego momentu śledczy pozwolili Millerowi ciągnąć jego odrażające seksualne fantazje i wyjaśnienia, które oczywiście były niczym więcej, jak zupełnie groteskowym wyznaniem, a Nekroskop, zapoznawszy się obecnie z faktami, mógł sobie bez trudu wyobrazić, z jakim przyjęciem spotkała się ta historia w tych stronach piętnaście lat temu, oraz jak potraktowano jej autora.

I na pewno niektóre sprawozdania dokumentujące nieuzasadnioną brutalność policji, przypuszczalnie ujawnione przez adwokata Millera, zostały szybko wykorzystane przez miejscową prasę. I równie szybko obalone. Nie żeby znacznie zwiększyły szanse podejrzanego; przedstawiając czy próbując przedstawić swe „absurdalne alibi”, opinia publiczna i nastawienie sądu obróciły się teraz zdecydowanie przeciwko Gregowi Millerowi...

W końcu, wskutek postępującego pogarszania się stanu umysłowego i emocjonalnego rozchwiania Millera, przygotowano szereg raportów psychiatrycznych. Według jednego z nich Miller cierpiał na „zwyrodnieniową schizofrenię o podłożu psychoseksualnym”, co jak uważał Nekroskop, musiało się przyczynić do uratowania tego człowieka przed karą dożywotniego więzienia. Bo z wyjątkiem skrajnych i niebezpiecznych przypadków społeczeństwo jest na ogół przeciwne długoletniemu uwięzieniu umysłowo chorych, opowiadając się zdecydowanie za ich hospitalizacją i opieką psychiatryczną, okazało się więc, że pod tym względem Jimmy Collins miał rację, zakładając, że Greg Miller „został wyleczony albo odsiedział wyrok czy coś w tym rodzaju”...

Jeśli chodzi o oświadczenie złożone przez posterunkowego Foreстера po samobójstwie sierżanta Symonds, było w nim więcej, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Choć było ono swego rodzaju mową pogrzebową ku czci zmarłego, gorycz Jacka Foreстера była widoczna; najwyraźniej opłakiwał utratę Janet Symonds równie mocno, o ile nie mocniej, niż utratę swego przyjaciela i mentora, jej ojca! A poznawszy Foreстера - i będąc naocznym świadkiem wybuchu jego dzikiej nienawiści do Millera - a teraz, czytając między wierszami, Nekroskop zaczął rozumieć, kogo sierżant Symonds wolałby jako towarzysza życia swojej córki, a ponadto uderzył go fakt, że człowiek ten, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, pragnął nim zostać. Mógł nim być tylko sam Jack Forester: protegowany Arnolda Symonds i autor owego oświadczenia.

Harry, jeszcze bardziej zaciekawiony i zdecydowany rozgryźć historię Millera/Foreстера do końca - i nawet bardziej zdecydowany rozwiązać tajemnicę tych uwięzionych i przerażonych, upiornych głosów spoza granic życia - zakończył swoje badania w siedzibie *Northern Echo* i popołudniowym autobusem powrócił do Harden...

Jednak podczas półgodzinnej jazdy, siedząc na górnym piętrze autobusu i zerkając od czasu do czasu na Morze Północne po prawej albo na wiejski krajobraz po lewej, chyba że droga wiodła przez niegdyś dumne wioski zamieszkałe przez górników, a teraz wyraźnie zaniedbane, Nekroskop zdał sobie sprawę, że jego myśli krążą wokół czegoś, co Greg Miller powiedział pod koniec ich krótkiej rozmowy na terenie farmy Bellinghama. Jego dziwnie enigmatyczna uwaga, że „w końcu to się wydarzy znowu”, rozbrzmiewała echem w umyśle Harry'ego. A może nie było to echo, tylko cichnące słowa Millera, które wydawały się coraz bardziej zrozumiałe i jeszcze bardziej natarczywe.

„W końcu to się wydarzy znowu”, powiedział ten człowiek, nie precyzując, co mianowicie jest tym czymś, jakby to było oczywiste. „A kiedy to się stanie, oni wszyscy...”. I wtedy nagle przerwał, gdy zarówno on sam, jak i Nekroskop poczuli owo wrażenie przytłaczającej obecności oraz towarzyszącej jej mrocznej psychicznej aurze.

Potem Greg Miller, jakby przyciągany jakąś hipnotyczną czy magnetyczną siłą, zdecydowanym, choć nieco chwiejnym krokiem ruszył w stronę pobliskiego Hazeldene, w stronę wielkiego, ponurego lasu, w tym samym kierunku, gdzie znajdowało się jak dotąd nieodkryte źródło owych licznych, stłumionych głosów, dochodzących z mroku poza granicami życia, albo też w pobliże tego źródła, co zresztą nie miało większego znaczenia.

Zakładając, że Miller nie był już chory psychicznie - o ile w ogóle kiedyś był - i że faktycznie nie zamordował Janet Symonds, to coś musiało mieć związek z tym, co jak sądził, jej się przytrafiło. Jednak jego twierdzenie, że ów śmiertelny atak maniakalnego leśnego żywiołu się powtórzy, wydawał się wskazywać na możliwą znajomość niedawnej historii ataków tego rodzaju. Oznaczałoby to, że człowiek ten jest rzeczywiście zabójcą i że daje do zrozumienia - może nawet bezwiednie czy podświadomie ostrzega - że wkrótce będzie znów gotów zabić! Albo też z drugiej strony...

...Czy to możliwe, zastanawiał się Nekroskop, że to, co przytrafiło się Janet Symonds, wydarzyło się już kiedyś, dawno temu, i że Greg Miller jakimś cudem o tym wiedział? Jeżeli tak, jak często to się zdarzało i skąd Miller się o tym dowiedział?

Może istniał sposób, dzięki któremu Harry się dowie...

Jimmy Collins dał Harry'emu zapasowy klucz do domu. Wszedłszy do środka, Nekroskop znalazł w kuchni liścik od swego gospodarza. W niewielkiej fabryce, w starej części wioski, pilnie potrzebowano wymiany instalacji elektrycznej, w związku z czym wezwano Jimmy'ego, który ocenił, że prawdopodobnie będzie musiał nad tym popracować do końca dnia, a może i jeszcze jutro. Ale nie było się czym przejmować: w spiżarni było jedzenie i Harry powinien po prostu wziąć to, czego potrzebował.

Zastanowiwszy się chwilę, Nekroskop zdecydował, że w zupełności wystarczy mu posiłek składający się z chleba, sera i marynowanych warzyw oraz duże piwo w miłym pubie, niekoniecznie wiejskim, ale w miasteczku Sunderland, odległym o około dwadzieścia mil na północ od Harden. Nie żeby miał coś przeciwko miejscowym pubom, ale Sunderland miało coś, czego nie miało Harden: stare muzeum z małym podręcznym księgozbiorem, poświęconym przede wszystkim północno-wschodnim obszarom kraju...

Kiedy Harry miał kilkanaście lat, często odwiedzał to muzeum; wnętrze jego rozbrzmiewających echem zakurzonych pokojów nigdy nie przestało go fascynować. Ale w tym okresie kształtowania się osobowości, gdy jego dziwne zdolności były jeszcze niedojrzałe, niewykształcone, relikty znajdujące się w muzeum - martwe stworzenia, skamieniałości, wypchane ptaki i zwierzęta - nie wywierały na nim

specjalnego wrażenia. Jednak teraz, gdy potrafił wyczuwać, słyszeć, a od czasu do czasu nawet odbierać ich bezcielesne emanacje, było zupełnie inaczej. Ale teraz także nauczył się zamykać swój metafizyczny umysł przed nic nieznaczącym bełkotem mowy umarłych, tak jak to czynił w wypadku owych żalonych owadzych szeptów w ogrodzie Jimmy'ego Collinsa. Instynktownie wiedział, które myśli płyną z aktywnych - aczkolwiek martwych - inteligencji, które zdawały sobie sprawę z jego obecności i próbowały nawiązać kontakt, w przeciwieństwie do abstrakcyjnych ech i bezkształtnych obrazów niegdyś żyjących istot, których zdolności poznawcze były jeszcze bardziej ograniczone po śmierci aniżeli za życia, i zależnie od tego reagował lub nie.

Niedaleko muzeum znajdowało się nieużywane podziemne przejście, którego płytkie, łukowate wnęki były istnym darem niebios dla par kochanków w piątkowe i sobotnie wieczory, gdy zamykano miejscową salę taneczną. Kiedy Harry nie miał jeszcze dwudziestu lat, sam odwiedzał to miejsce z Brendą gdy szli z tańców na przystanek autobusowy, żeby złapać nocny autobus do Harden, i wciąż pamiętał współrzędne tego miejsca. Podziemny tunel wcale nie był najbardziej higienicznym miejscem schadzek, ale jeśli nie liczyć jakiegoś przypadkowego włóczęgi czy śpiącego pijaka, normalnie za dnia był pusty, nadawał się więc idealnie dla potrzeb Harry'ego.

I tego wczesnego popołudnia był rzeczywiście pusty, gdy Nekroskop opuścił Kontinuum Möbiusa i pogrążone w cieniu podziemne przejście, wychodząc na słońce, i ruszył w stronę pobliskiego pubu. Kiedy zjadł lunch, był gotów do wizyty w muzeum, które w godzinach popołudniowych było otwarte od drugiej do szóstej. Kilka minut przed otwarciem wszedł po marmurowych schodach i koło masywnych dębowych drzwi ujrzał wysokiego, szczupłego, pochylonego starszego mężczyznę - którego trupi wygląd wskazywał na kustosza bądź przedsiębiorcę pogrzebowego - który ciężkimi, mosiężnymi kluczami właśnie otwierał drzwi.

Kiedy Harry był tu ostatnim razem, muzeum było zamknięte... ale nie dla niego, z jego ezoterycznymi umiejętnościami. Przypomniawszy sobie teraz tę wizytę i widząc kustosza po raz pierwszy, poczuł się trochę winny. Jednak to uczucie wkrótce minęło...

Widząc, że Harry jest jedynym odwiedzającym, jedyną osobą, która czeka na wejście do środka, starszy człowiek westchnął i powiedział:

- No cóż, pan przynajmniej wygląda na zainteresowanego wiedzą bo w przeciwnym razie nie byłby pan tak niecierpliwy... nie byłby pan tutaj tak punktualnie. - Gadając tyleż do siebie, co do Harry'ego, w końcu otworzył wielkie drzwi i ciągnął: - No dobrze, proszę bardzo, teraz możemy wejść.

Harry powiedział:

- Przychodziłem tutaj dość regularnie jako chłopiec, ale nawet wtedy chyba niezbyt wielu ludzi korzystało z tego miejsca.

- Korzystało? - powtórzył kustosz, dodając po namyśle, kiedy znaleźli się w środku: - To interesujące. Oczywiście muzeum jest po to, żeby z niego *korzystać*, ale zawarte w nim eksponaty są głównie *ogłądane*... to ciekawość w przeciwieństwie do żądzy wiedzy. Widzi pan, mikrokomputery wypierają małe muzea, tak jak telewizja wyparła radio.

Więc na tym polegał problem tego człowieka, prawda? Czuł, że muzeum już nie jest potrzebne - a wraz z nim i on sam - i bardzo prawdopodobne, że miał rację.

- Prawdopodobnie ma pan rację - powiedział Harry. - Ale przynajmniej jak dotąd nie pojawiło się nic, co mogłoby zastąpić książki.

- Ach, książki! - powiedział tamten. - Ale to nie jest biblioteka, młody przyjacielu. A nawet gdyby była, myślę, że nie pomyliłbym się, mówiąc, że także i książki zaczynają to odczuwać, to znaczą ich ceny. Oczywiście mamy kilka bardzo

starych rękopisów, ale obawiam się, że wszystkie są pod szkłem. Czego dokładnie pan szuka? - Nie czekając na odpowiedź Harry'ego, skierował się w stronę biura, nowoczesnego pomieszczenia ze szkła i aluminium w kształcie sześcianu, które zupełnie nie pasowało do otoczenia, stojąc pod ścianą tego wysokiego przedpokoju z dębową podłogą.

Idąc zaraz za nim, Nekroskop w odpowiedzi na pytanie kustosa, sam zadał pytanie:

- Ale macie tutaj jakiś podręczny księgozbiór, prawda? Nawet jeśli jest poświęcony głównie tej północno-wschodniej części kraju. Wydaje mi się, że pamiętam, jak szukałem informacji na temat Muru Hadriana; to była praca domowa, którą mi zadał nauczyciel historii, kiedy miałem jedenaście czy dwanaście lat. W rzeczywistości... to była nie tyle praca domowa, co kara; nienawidziłem jej!

W połowie drogi do biura starszy człowiek zatrzymał się i odwrócił, stając przed Harrym.

- Pamięć pana nie zawodzi - powiedział. - Rzeczywiście mamy niewielki podręczny księgozbiór poświęcony hrabstwu Durham i Northumberland; znajduje się na drugim piętrze. Jest jednak pod kluczem ze względu na kilka rzadkich rękopisów. Widzi pan, mieliśmy tutaj ładnych paru złodziei. Więc przykro mi, ale będę musiał pana tam zamknąć podczas pracy... ale tym razem nie będzie się pan zajmował Murem Hadriana, co? - I na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu, ale w następnej chwili znów spoważniał i niemal przepaszająco ciągnął: - Proszę poczekać chwilę, aż znajdę klucze, a z przyjemnością zaprowadzę pana na górę...

W starym budynku nie było windy; kiedy wspinali się po szerokich, mahoniowych schodach, a potem szli rozbrzmiewającym echem korytarzem, biegnącym przez całą długość budynku, nie przestali rozmawiać.

- No więc - powiedział kustosz - mogę zapytać, czego pan szuka? Może będę mógł panu pomóc. Dział, do którego pan zmierza to nie jest najbardziej zadbane miejsce w muzeum. Nigdy nie miałem dość czasu, żeby wszystko należycie poukładać, nie odważyłbym się zaufać sprzątacowi, który mógłby coś uszkodzić. Rękopis to dla niego po prostu plik starych papierów, i gdyby się tam znalazł, wiem, że zapaliłby papierosa. O tak, jestem tego zupełnie pewien! Dlaczego nie, skoro pali wszędzie indziej? Nawet w toalecie, gdzie powietrze i bez tego jest, jakby to rzec, na tyle *aromatyczne*, że wcale nie trzeba tam jeszcze i dymu tytoniowego!

- Mnie nie musi się pan obawiać - powiedział Harry. - Od czasu do czasu zapalę papierosa, ale przy sobie ich nie mam. A jeśli chodzi o to, czego poszukuję: kilka mil na południe stąd znajduje się gęsto zalesione miejsce. Nazywa się Hazeldene. Jakiś czas temu zaginęła tam pewna dziewczyna, przypuszczalnie została zamordowana. Chcę się dowiedzieć, czy był to odosobniony przypadek, czy też...

- ...czy też - przerwał kustosz - były inne, podobne przypadki, tak? - Otwierając drzwi pokoju przy końcu korytarza, obejrzał się przez ramię. - Co za dziwny zbieg okoliczności! I co więcej, wygląda na to, że naprawdę mogę panu pomóc!

- Zbieg okoliczności? - Harry wszedł za nim do pokoju i natychmiast zrozumiał, co mężczyzna miał na myśli, mówiąc, że nie jest to najbardziej zadbane w miejsce w muzeum. Faktycznie wyglądało na niezwykle zagracone: otwarte książki leżały porozrzucane na pokrytym skórą stole, liczne albumy z wycinkami z gazet spoczywały na siedzeniu krzesła, magazyny i broszury sprzed lat zaścielały podłogę, a na półkach i w przegródkach spoczywały połówki zwoje i inne wyraźnie kruche dokumenty, którym groziło niebezpieczeństwo, że niebawem rozpadną się w pył.

Widząc zaniepokojoną minę Harry'ego, kustosz westchnął, wzruszył ramionami i powiedział:

- Teraz rozumie pan, co miałem na myśli. Jak mam znaleźć na to czas? Uporządkowanie tego wszystkiego zabrałoby kilka dni, a może nawet cały tydzień. Półki są należycie oznakowane, ale cała reszta to kompletny chaos, literacka łamigłówka, w której mógłbym grzebać godzinami, zanim znalazłbym to, czego szukam! Ale jeśli chodzi o to, czego pan szuka... tak, naprawdę myślę, że mogę panu pomóc.

- Zbieg okoliczności - powtórzył Nekroskop. - Tak pan powiedział? Czy mam to rozumieć w ten sposób, że ktoś inny badał już przedtem sprawę morderstw w Hazeldene? Czy to właśnie miał pan na myśli? A jeśli tak, kiedy to było? Wiele lat temu czy może niedawno? - Podejrzewał, że to ostatnie.

Kustosz odkurzył krzesło stojące przy stole i usiadł, wskazując gestem, aby Harry uczynił to samo. Harry usunął stos książek z drugiego krzesła, położył je naprzeciwko starszego człowieka, usiadł i powiedział:

- No więc? Opowie mi pan o tym?

Stukając palcem w okładkę książki gości leżącej na stole bezpośrednio przed nim, kiwnął głową i powiedział:

- Tak, oczywiście. - I wskazując księgę, dodał: - To przynajmniej można będzie ustalić dość łatwo. - Po czym otworzył księgę na skórzanej zakładce.

- Księga gości? - Pochyliwszy się do przodu, Nekroskop próbował odczytać zapisy: sygnatury i daty, przypuszczalnie dotyczące dawnych gości. Ale kustosz znów postukał palcem w księgę, zakrywając częściowo zapisy czy może wskazując jeden z nich - ostatni - same gryzmoły u dołu kolumny

- Ach, tak! Jest tutaj! - powiedział.

- To on? - powiedział Harry, wpatrując się z uwagą. - To ten ktoś, kto był tu przede mną? Wpisał się'?

- Istotnie - potwierdził kustosz. - Tak! Pan też musi. Ale niestety przez roztargnienie nie zapytałem go o pełne imię i nazwisko. Podpisał się tylko inicjałami G.M.

Harry natychmiast pomyślał:

- *Greg Miller!* - I zaczął się zastanawiać: - *Więc jeśli to jest rzeczywiście mój G M., co tutaj odkrył?* - A na głos zapytał: - Jaka to data? Mógłby pan go opisać?

To było rok i trzy miesiące temu, krótko po wypisaniu Grega Millera ze znajdującego się w pobliżu szpitala psychiatrycznego w Sedgefield; tak, kustosz był w stanie opisać tego człowieka, a jego opis odpowiadał dokładnie wyglądowi Millera...

- Za pierwszym razem, kiedy był tutaj - powiedział starszy mężczyzna - spędził tu dwie, może trzy godziny, po czym pośpiesznie wyszedł, wyraźnie podniecony. W następnym tygodniu spędził zamknięty w tym pokoju dwa kolejne dni. Od tego czasu nie widziałem go więcej, ale to on zostawił tu taki bałagan. Miał fioletową teczkę zawierającą luźne kartki oraz notes, w którym zapisywał jakieś szczegóły, na które się natknął podczas swoich badań. Wiem to na pewno, ponieważ od czasu do czasu tu zaglądałem i widziałem go przy pracy. Kiedy skończył, stwierdziłem, że zabrał ze sobą notes, ale zostawił teczkę. Wciąż jest tutaj; znalazłem ją zaledwie parę tygodni temu i schowałem w bezpieczne miejsce, na wypadek gdyby po nią wrócił. Jeśli mnie pamięć nie myli, teczka ta zawiera materiały związane z jego poszukiwaniami: głównie jakieś stare broszurki miejscowych autorów, kilka luźnych kartek zabazgranych notatkami i jakieś wycinki gazetowe z czasów Drugiej Wojny Światowej. Ale niech go licho, dlaczego po prostu nie odłożył wszystkiego na miejsce, tam, skąd wziął?! Bóg mi świadkiem, że nie mam czasu!

- Mówi pan, że ta teczka wciąż jest tutaj? - Nekroskop rozglądał się na wszystkie strony po zagraconym archiwum, próbując dostrzec coś fioletowego. - Nie pamięta pan, gdzie pan ją położył? To może być bardzo ważne, i to nie tylko dla mnie.

Myślę, że jest bardzo prawdopodobne, że kogoś spotkała wielka niesprawiedliwość, i uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby to naprawić.

Kustosz wpatrywał się w niego przez długą chwilę, po czym powiedział:

- W takim razie spróbuję zrobić, co w mojej mocy. Gdzie ja to mogłem położyć?
- Podniósł się sztywno i razem z Harrym zaczął rozglądać się po pokoju. W chwilę później, pstryknąwszy palcami, wykrzyknął: - Ach! Ależ oczywiście! Gdzież indziej mogłem to położyć, żeby nie zginęło w tym bałaganie? - I sięgnąwszy pod stół, otworzył szufladę. Faktycznie spoczywała tam gruba fioletowa tekturowa teczka - czy raczej aktówka - i starszy człowiek teraz ją wyjął.

Nekroskop ledwo zdołał się opanować; sięgnął przez stół... ale kustosz uniósł dłoń.

- Najpierw musi pan się wpisać do księgi gości - powiedział - a potem zostawię pana samego. A jeśli jest tu to, czego pan szuka, może później znajdzie pan chwilę czasu, żeby mi to wszystko wyjaśnić.

- Dobrze - powiedział Harry. - Może tak zrobię. - Ale kiedy mężczyzna podsunął mu księgę, nazwisko, które Harry wpisał, zanim wstawił tam datę, brzmiało John Smith. Było to małe, lecz zapewne roztropne oszustwo.

- Doskonale! - powiedział kustosz, nawet nie sprawdzając wpisu. - Teraz pana tu zamknę. Wciskając guzik pod włącznikiem światła, przywołał mnie pan z powrotem. Kiedy pan skończy, albo zanim zamknę tu na noc, wypuszczę pana. Zatem... powodzenia!

Po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi i Harry usłyszał, jak klucz obraca się w zamku.

Najpierw Nekroskop przejrzał kilka arkuszy papieru z niedbałymi, lecz w zasadzie czytelnymi bazgrołami Grega Millera i od razu stało się jasne, że ten nie ograniczył swoich poszukiwań do jednej biblioteki. W rzeczywistości dopiero w połowie pierwszej strony pokrytej pismem pełnym zawijasów znajdowała się notatka, która przykuła uwagę Harry'ego; notatka dotyczyła wizyty, jaką Miller złożył w dziale ksiązek rzadkich British Museum w poszukiwaniu tłumaczenia dzieła Lollius Urbicusa, zatytułowanego *Frontier Garrison*, mało znanego rękopisu pochodzącego z roku 138.

Nie pierwszy raz Harry natknął się za nazwisko Urbicus; pamiętał je z czasów, gdy niezadowolony nauczyciel historii nałożył na niego karę za jakieś drobne wykroczenie, każąc mu napisać wypracowanie na temat Muru Hadriana. Przy tej sposobności Harry wykorzystał fragmenty pochodzące z broszury Towarzystwa Historycznego opublikowanej w 1911 roku pod tytułem *North-East England under the Romans, AD 100 - 300* autorstwa Alana Henbury'ego. Henbury pisał o Urbicusie, że był to wykształcony rzymski arystokrata, który zadarłszy z władzami Rzymu, został zesłany na zachód, gdzie otrzymał stanowisko gubernatora najbardziej odległej spośród wielu rzymskich prowincji, faktycznie było to na północnym wschodzie Anglii. Jego *Frontier Garrison* była uważana za książkę fikcyjną, w istocie za całkowicie zmyśloną historię przygód centuriona - zabijaki w okolicy jednego z wielu fortów rozmieszczonych wzdłuż Muru Hadriana.

Kiedy Harry uprzątnął stół, aby rozłożyć pozostałe dokumenty wyjęte z aktówki, znowu natknął się na broszurę Henbury'ego. Chociaż była pożółkła i zniszczona, jej cienkie kartki nie były w gorszym stanie, niż kiedy ostatnio ślęczał nad nimi jako uczeń, co - jak go nagle uderzyło - musiało mieć miejsce mniej więcej w tym samym czasie, gdy zniknęła Janet Symonds! Chociaż Nekroskop był pewien, że był to po prostu klasyczny przypadek synchronii, niemniej jednak było to dziwnie niepokojące...

Powróciwszy do notatek Millera, Harry szybko się przekonał, że jak dotąd posuwa się jego śladem, tylko w przeciwnym kierunku. Okazało się, że Miller także czytał broszurę Henbury'ego tutaj, w tym muzeum, zanim wybrał się do Londynu; w rzeczywistości właśnie ta broszura musiała poddać mu myśl, aby odszukać tłumaczenie Urbicusa. A Harry był przekonany, że wie dlaczego.

Odpowiedź, mimo że Henbury wspomniał o niej jedynie pokrótce, mimochodem, spoczywała w jego traktacie.

Henbury, podobnie jak kilku jemu współczesnych, których prace były mu znane, uważał Lollius Urbicusa za fantastę, ale teraz wydawało się możliwe, że rzymski gubernator wcale nim nie był! Nekroskopa nagle ogarnęła pewność, dlaczego on sam, Harry Keogh, powrócił dzisiaj do tego ponurego, starego muzeum.

Nie tylko dlatego, by zgłębiać zdarzenia w okolicy lasu Hazeldene, jak uczynił to Greg Miller - choć z pewnością taki był główny powód - lecz także dlatego, że w głębi jego podświadomego umysłu spoczywały uśpione, pochodzące jeszcze z czasów dzieciństwa, mgliste wspomnienia, które teraz w końcu wypłynęły na powierzchnię w związku z czymś bardzo ważnym, na co się natknął w broszurze Henbury'ego... ale dotąd lekceważył! Teraz już nie.

Bo chociaż owe ustępy, które Harry przed wieloma laty tak niefrasobliwie opuścił, nie miały nic wspólnego z tym, czym się zajmował w owym czasie, teraz poczuł prawdziwy dreszcz podniecenia, kiedy znowu przewracał te kruche kartki.

I znalazł krótkie odsyłacze Henbury'ego do pewnych niewytłumaczalnych, dziwnych lub tajemniczych zdarzeń - nazywanych przez Lollius Urbicusa „czarami” - które rzymski gubernator i fantast wykorzystał jako elementy fabuły, za pomocą których jego fikcyjny bohater, centurion, a zarazem „narrator” w szeregu rozdziałów, przeżywał swoje niezwykle przygody.

Wśród tych fantastycznych urbicusowych „czarów” najbardziej godne uwagi były te, w których „Sabat piktyjskich czarownic wezwał Avernusa Yegg-ha, gigantycznego ducha pod postacią zwierzęcia, który zrobił wyłom w Murze Hadriana i używając samych kończyn, rogów i kłów wysłał na tamten świat połowę centurii, składającej się z najświetniejszych rzymskich żołnierzy, zanim garstka pozostałych przy życiu zdołała go powalić i zabić, a następnie poćwiartować i pogrzebać jego obrzydliwe krwawe szczątki”.

Czarownice i czarnoksiężnicy w czasach rzymskich? Oczywiście, bo Rzymianie byli znani z tego, że byli zabobonni, jak większość ludzi żyjących w owych czasach. A bezpodstawny, niepotrzebny lęk tych wczesnych metafizyków utrzymywał się nie tylko przez całe stulecia, ale co najmniej przez tysiąc pięćset lat, zwłaszcza na terenie Szkocji.

Mieszkając niedaleko Edynburga, Harry często odwiedzał słynny Zamek Na Skale, gdzie na żelaznym „wodotrysku” z wodą pitną i w basenie obok muru esplanady umieszczono dwie głowy - jedną szpetną a drugą piękną - oraz następujący napis:

... W pobliżu miejsca, w którym spalono na stosie wiele czarownic. Głowa złośliwa i głowa pogodna znaczą że niektórzy wykorzystują wiedzę do nikczemnych celów, podczas gdy inni byli niezrozumiani i pragnęli dla wszystkich tylko dobra...

Jednak jeżeli chodzi o tę rzekomą bitwę - baśniowego Yegg-ha z pięćdziesięcioma doskonale wyszkolonymi rzymskimi żołnierzami - Henbury uważał, że Urbicus dowiedział się o zniknięciu i przypuszczalnym unicestwieniu połowy centurii, ludzi, których wysłano, aby bronili obszaru wokół Muru Hadriana zaatakowanego przez Piktów. Następnie zbeletryzowana przez Urbicusa wersja tego upokarzającego zdarzenia została przyjęta jako wytłumaczenie niezwyklej klęski,

będącej najprawdopodobniej wynikiem zasadzki Piktów i masakry, jaka miała miejsce pewnej mglistej nocy.

Ale epizod ten nie był jedynym przykładem „czarów” wymienionych przez Urbicusa, a wśród kilku innych był jeden, który w głębi wyjątkowego umysłu Nekroskopa pozostał jako najbardziej niejasny i tajemniczy. Trudno się dziwić, że tyle czasu musiało minąć, zanim wypłynął na powierzchnię, bo podobnie jak w wypadku Yegg-ha i innych „fikcji” Urbicusa, Henbury wspomniał o tym tylko mimochodem i nie miało to nic wspólnego z ówczesnymi poszukiwaniami Harry'ego.

Kiedy Urbicusowi wyczerpały się pomysły krwawych bitew wokół Muru Hadriana i innych potyczek poza jego granicami, na ziemi Piktów, wysłał swego „znakomitego centuriona, niejakiego Kwintusa Brytanika” - najwyraźniej Bryta, rzymskiego najemnika, który w opowieści Urbicusa zaczynał jako szeregowy żołnierz, a dosłużył się stopnia centuriona - na rozmaite poszukiwania i eskapady na terenie północnej i środkowej Anglii.

Kiedy postać Brytanika, człowieka rozdartego między lojalnością wobec Rzymu a naturalnym umiłowaniem swych pobratymców, zyskiwała coraz to nowe cechy, Urbicus dostarczał swemu bohaterowi wiele możliwości pomagania swym często poniewieranym rodakom, jak na przykład w rozdziale, w którym złe „leśne demony” regularnie porywały i pożerały dziewczęta z osady odległej o jakieś trzydzieści mil na południe od Muru Hadriana.

Opracowawszy taki typowy scenariusz, Urbicus wysłał swego trochę nieokrzesanego bohatera, aby wywarł zemstę na tych nadnaturalnych okropnościach, puszczając z dymem ogromny pas lasu, w którym jakoby grasowały!

Można być niemal pewnym, że źródłem inspiracji dla tego rozdziału dzieła Urbicusa były prawdziwe pożary, których szczegóły sumienny badacz może odkryć w archiwach z tamtej epoki. Zgodnie z dostępnymi dokumentami taki prawdziwy pożar lasu miał miejsce podczas bardzo gorącego lata, a jego ofiarą padło kilka tysięcy akrów znacznie większego i gęstszego lasu niż wiele lasów istniejących współcześnie...

To było to.

„Leśne demony”, które porywały i pożerały młodych chłopców lub dziewczęta z osady odległej o około trzydzieści mil na południe od Muru Hadriana, czyli z miejsca leżącego w bezpośrednim sąsiedztwie współczesnego Harden i Hazeldene? To na pewno był jedynie mit albo miejscowa legenda, którą wykorzystał Urbicus. Tak z pewnością musiało się wydawać każdemu, poza Gregiem Millerem... a teraz i Nekroskopem.

Jeśli bowiem Miller odsiedział swój wyrok, został uznany za zdrowego na umyśle i zwolniony, a mimo to nadal ścigał jakąś potworną morderczą istotę w lesie Hazeldene, na pewno wciąż był obłąkany, cierpiał na urojenia i miał na tym punkcie prawdziwą obsesję. Albo też... spędził długie lata w więzieniu za zbrodnię, której nie popełnił, a której sprawca zamieszkiwał - i być może wciąż zamieszkuje - ponurą głąb lasu Hazeldene.

Jeżeli kiedykolwiek żył człowiek, który wiedział bez cienia wątpliwości, że naprawdę istnieją pradawne, koszmarnie istoty na tej ziemi i w jej głębinach, tym człowiekiem był właśnie Harry Keogh, Nekroskop...

Następnie Harry przejrzał cienki plik wycinków z gazet, głównie z okresu 1939-1945 (rozpoznawalny natychmiast jako czas trwania Drugiej Wojny Światowej) i potwierdziło się jego przekonanie, że wszystkie te wycinki dotyczyły zniknięć dziewcząt wokół Harden i w jego okolicy; co najmniej trzy z nich, które znikły bez śladu, zostały porwane z ramion swych kochanków, w ciemności, podczas niemieckich nalotów na terenie kopalni węgla i nadbrzeżnej linii kolejowej. Ale... skąd to prze-

konanie? Otóż to, co robił Miller, teraz wydawało mu się oczywiste: próbował mianowicie znaleźć sposób udowodnienia - choćby sobie samemu, bo nikt inny prawdopodobnie nigdy nie da wiary jego historii - że jest niewinny; próbował wykazać, że Janet Symonds nie była jedyną ofiarą tego czegoś, co czaiło się w Hazeldene, lecz jedną z kilku, a może nawet wielu ofiar, które przed nią spotkał ten sam los.

I pod tym względem, przynajmniej z punktu widzenia Nekroskopa, Miller odniósł sukces. Ponadto Harry podejrzewał, że zarówno leśny potwór Millera jak i coś, co on sam wyczuł w owym lesie, stanowią powiązane ze sobą rozmaite aspekty tego samego... ale właściwie czego? Tej samej *anomalni* Bo bez lepszego zrozumienia tego czegoś jak inaczej Harry mógłby to opisać? W ten sposób dotarł do punktu, w którym całkowicie - czy prawie całkowicie - uwierzył w wersję Millera. Tylko że...

...Zdawał sobie także sprawę, że może to być przypadek typu: „co było pierwsze, jajko czy kura”. Czy zniknięcie Janet Symonds zapoczątkowało poszukiwania dowodów, faktów historycznych, które mógłby wykorzystać, by się oczyścić? Czy też posiadał wcześniejszą wiedzę na temat dawnych przypadków, wiedzę, która być może zaburzyła jego równowagę umysłową sprawiając, że popełnił tę zbrodnię? Albo wreszcie czy to możliwe, że uległ jakimś dziwnym emanacjom, których źródłem był las, takim jak paranormalne - i osobliwie kuszące - szepty, które tak zaniepokoiły Nekroskopa?

Harry jeszcze raz popatrzył na wyblakłe, kruche wycinki i musiał się cierpko uśmiechnąć. Greg Miller może nie był mordercą ale z pewnością był złodziejem! Wycinki gazetowe były opatrzone pieczęcią archiwum gazety *Sunderland Times* oraz napisem: „Do wykorzystania wyłącznie na miejscu!”.

Wyglądało na to, że Miller prowadził poszukiwania dowodów bardzo gruntownie i teraz - dotarłszy tak daleko, jak zdołał, i przekonawszy się, że jest przy zdrowych zmysłach - rozpoczął poszukiwania prawdziwego złoźcyńcy na skraju ponurego Hazeldene; było to zadanie, w którym Nekroskop najprawdopodobniej mógł przyjść mu z pomocą.

Postanowiwszy to uczynić - a zarazem być może wyjaśnić ów drugi aspekt tej tajemnicy - Harry musiał wrócić do Harden, tylko że nie wiedział, jak najlepiej wyjaśnić to wszystko kustoszowi, skoro mu to obiecał, bo jak zawsze unikał kłamstw, o ile to tylko możliwe. Oczywiście można było obejść ten problem, ale co pomyśli ten starszy facet, kiedy przyjdzie, aby wypuścić Harry'ego z zamkniętego pokoju, i przekona się, że już go tam nie ma, a drzwi wciąż są zamknięte!...

No cóż, ponieważ wydawało się mało prawdopodobne, aby starszy człowiek spotkał jeszcze kiedyś „Johna Smitha”, Nekroskop mógł mieć tylko nadzieję, że może i on lubi od czasu do czasu poczuć dotknięcie tajemnicy...

Kiedy Harry ostrożnie wynurzył się z Kontinuum Möbiusa za krzakiem w ogrodzie Jimmy'ego Collinsa, miał wrażenie, że zbliża się wieczór, jak gdyby spędził w tym zakurzonym, starym muzeum cały dzień, a nie niespełna godzinę. Otrząsnąwszy się z tego wrażenia pod wpływem letniego, ciepłego światła słonecznego, przypisywał je połączeniu wpływu mrocznego muzeum i nieodłącznej ciemności, panującej w Kontinuum Möbiusa.

Wszedłszy do domu, zaparzył herbatę, zabrał filiżankę do ogrodu, usiadł na jednym z leżaków, a drugi wykorzystał, aby postawić na nim spodek i filiżankę. Następnie, próbując się odprężyć - czuł się bowiem dziwnie zdenerwowany - i powoli pijąc herbatę, stopniowo zapadł w niespokojną zadumę, gdy jego metafizyczny umysł przejął kontrolę i wypełniło go „tło” zmarłych głosów.

Nie były to na ogół ludzkie głosy, choć na skraju jego świadomości kołatały się echa kilku przerażonych dusz - ludzi, którzy zmarli dopiero niedawno i jeszcze nie potrafili zrozumieć, co się z nimi stało. Były to powracające odbicia, ale nie ludzi: zmasakrowanych mrówek albo much w stadium poczwarki czy też żabiego skrzeku w pobliskim rowie, gdzie niemiłosiernie słońce zmieniało miliony kijanek w stopniowo tężejącą galaretkę...

...I nagle, coś zupełnie innego!

Ponieważ Harry doświadczył tego już przedtem i wiedział, na czym się skupić, tym razem dostroił się natychmiast, niemal odruchowo, jeszcze zanim był gotów to odebrać, te upiorne westchnienia, te niezliczone błagalne krzyki spoza granic życia! To już nie były psychiczne szepty, „biały szum” martwych istot - ale z całą pewnością żalosne, telepatyczne błagania udręczonych ludzkich duchów, uwięzionych i niezdolnych do ucieczki - głosy te były, jak poprzednio, jeszcze słabsze niż głosy tamtych upiornych owadów, ale były to krzyki ludzi! I czymkolwiek było to, na co natknął się Nekroskop, był teraz zdecydowany bardziej niż kiedykolwiek, aby położyć temu kres.

Wczoraj (naprawdę to było wczoraj? - wydawało się, że minął tydzień!) Harry sądził, że zdoła odnaleźć źródło tych emanacji za pomocą triangulacji: wykorzystując szereg psychicznych odczytów z rozmaitych miejsc wokół lasu i określając dokładnie miejsce ich przecięcia. W realizacji tego planu najpierw przeszkodziło mu spotkanie Foreстера i Millera, którzy szamotali się w opuszczonej farmie, a następnie, gdy owe upiorne głosy same zamilkły, albo zostały... uciszone wbrew ich woli? W tym ostatnim wypadku było rzeczą możliwą że jakakolwiek siła je powstrzymała, uczyniła to, ponieważ wyczuła obecność Nekroskopa. Teraz Harry przypomniał sobie odpowiedź Grega Millera, kiedy zapytał go, co się dzieje.

- Nie pytaj, ponieważ po prostu nie zrozumiesz - powiedział tamten. - Musisz umieć to *poczuć, poznać*, żeby zrozumieć.

No więc Harry coś poczuł - w rzeczywistości wyczuwał to nawet teraz, gdy nagle zaświtało mu w głowie, że „to” może także wyczuwać jego! - więc natychmiast uniósł psychiczną tarczę, żeby się zabezpieczyć przed tą telepatyczną sondą. Za późno!

Poczuł nagły wstrząs, drgania psychicznego eteru - jak gdyby coś się nagle ocknęło - i w tej samej chwili szepty zmarłych ustały, jakby wciśnięto wyłącznik!

Harry drgnął, rozlał herbatę, która spłynęła mu na kolana i zerwał się na równe nogi. Stojąc w otoczonym murem ogrodzie, patrzył na zachód, w stronę lasu, próbując przebić wzrokiem wysoki mur ogrodowy, widząc oczyma duszy ponury, złowieszczy obszar Hazeldene. I pomimo że dzień był bezwietrzny i na ramionach czuł ciepło słońca, nagle owiał go zimny wiatr, napełniając chłodem jego duszę.

W chwilę później, kiedy się uspokoił i wierzchem dłoni starł ciepły płyn ze spodni, ostrożnie spróbował ponownie zlokalizować upiorne głosy, ale nadaremnie. Poza „zwykłym” szumem tła, nie wyczuwał absolutnie niczego; w istocie wydawało się, jakby atmosfera psychiczna była zupełnie martwa.

Pomimo że Harry miał się na baczności, miał ochotę znów nawiązać kontakt - i mimo że starał się skupić, dostroić swój umysł, kiedy cienie w ogrodzie zaczęły się wydłużać - tak już miało pozostać przez resztę tego pełnego frustracji, męczącego popołudnia.

Ale zaledwie trochę wcześniej, tego samego popołudnia...

Jak to dawniej często bywało, podczas tego długiego, gorącego lata pradauna leśna Istota wyczuła obecność kochanków, tym razem w odległości mniejszej niż ćwierć mili. I jak zawsze wypuściła najsilniejsze kuszące feromony, w nadziei, że część z nich popłynie we właściwym kierunku.

Feromony te stanowiły przynętę, przesłodzony, lecz nieodparty zapach przypominający kapryfolium, który podniecał kochanków, a po stosunku ich usypiał, tak działała owa przynęta, powoli, lecz pewnie. Pięć czy sześć tygodni temu, kiedy zapanowała ciepła pogoda, kochankowie zwykli dawać upust swym żądom w ulubionym, ukrytym miejscu schadzek, prawie o milę stąd, było to zacienione miejsce pod rozpostartymi gałęziami drzewa na skraju lasu, koło leżącego odłogiem pola porośniętego bujną trawą. A kiedy pradawna Istota zdała sobie sprawę, jak często kochankowie zaspokajali się w tym miejscu, postanowiła podjąć długą, mozolną wędrówkę w tym kierunku, równocześnie wykorzystując swe egzotyczne piżmo, aby ich zwabić. Albowiem zgodnie z jej postanowieniem, jej zamiarem w ten sposób spotka się z kochankami w pewnym punkcie... miejscu schadzek, zgubnym przynajmniej dla jednego z nich, człowieka, którego soki stanowiły substancję odżywczą konieczną, aby umożliwić uwolnienie zarodników tak samo pełnych życia jak słodko-słone pożywienie.

Ale na razie...

...Istota wyczuła po południu obecność kochanków, ich bliskość i zrozumiała, że podeszli znacznie bliżej, że jej afrodyzjak wabi ich coraz mocniej, kierując w stronę nieuchronnego przeznaczenia. I pradawna Istota poczuła zadowolenie, oczekiwała...

...Stworzenie znane Istocie jako Poszukiwacz też tam było. Oczywiście, zawsze tam było! Gorzki odór nieprzyjaciela, plazma Poszukiwacza była charakterystyczna, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, podobnie jak jego mentalna żółć - ostry strumień niemal namacalnej, nieprzejednanej nienawiści - którą żywił wobec pradawnej Istoty. I dzień po dniu zbliżał się coraz bardziej. Ale w końcu cóż mógł uczynić? Jak Poszukiwacz w ogóle mógłby mieć nadzieję, że uda mu się zlokalizować pradawną Istotę, która potrafiła zniknąć w rozległym gąszczu jeżyn, gdyby się znalazł zbyt blisko? Och, on na pewno był dziwny, inny, potrafił bowiem wyczuwać obecność pradawnej Istoty, jak nikt inny, należący do jego gatunku. Ale w końcu pradawna Istota zabrała mu tę, którą kochał. To musiało być właśnie to: zemsta! Jednak w ciągu tysięcy lat swego istnienia Istota nigdy nie doświadczyła tak silnego uczucia zemsty.

W ten sposób znalazła się tak blisko, jak to tylko możliwe, zrozumienia natury ludzkiej miłości...

Ale choć miłość nadal pozostawała tajemnicą, pradawna Istota rozumiała determinację: ten sam, pełen skupienia, wysiłek woli, który oświadczył Poszukiwaczem i który pradawna Istota wykorzystywała, wabiąc swe przyszłe ofiary. Rozumiała to nawet teraz, zwłaszcza teraz - w ciszy lasu, gdzie promienie słońca, przenikające przez gałęzie drzew, tworzyły jaśniejsze plamy na złotym listowiu - wyczuwała, jak się zbliża, aby objąć, zbadać... i zrozumieć?

I wyczuć? Czyżby ciekawość?

Pradawna Istota wyczuła to, tak, to było, jak wtargnięcie jakiejś zewnętrznej siły!

To był ktoś obcy, nie Poszukiwacz, ale ktoś zupełnie inny - ktoś czy coś - coś znacznie dziwniejszego, znacznie silniejszego. Jakaś wyjątkowa siła: istota, która słuchała, słyszała, którą przyciągały głosy tych, którzy odeszli dawno temu, a którzy teraz stanowili część samej pradawnej Istoty, aczkolwiek wymuszoną i metafizyczną. Był to wyjątkowy umysł, który przysysał się jak pijawka do tych szepczących głosów i słyszał je nie w postaci groteskowego „śpiewu” czy „chóru”, który tak rozbawiał pradawną Istotę, lecz jako krzyki protestu, oburzenia i przerażenia z miejsca spoza granic życia, z samego wnętrza umysłu Istoty. Naprawdę wyjątkowa istota...

...Inteligencja, która rozmawiała ze zmarłymi!

Kiedy ta zatrważająca prawda dotarła do pradawnej Istoty, ta opuściła mentalne bariery, chwilowo tłumiąc głosy, które zdradzały dziwnej nowej Potędze jej obecność. A potem, zamykając swój umysł na świat zewnętrzny - ukrywając najlepiej jak to możliwe swoją psychiczną aurę - przerwała swój mozolny marsz i znieruchomiła na tyle, na ile pozwalało jej nagle wywołane drżenie...

Około siódmej wieczorem, kiedy cień domu padał na ogród, Jimmy Collins wrócił do domu po całodziennej pracy i przekonał się, że Harry nadal tu jest.

Z zapadniętymi oczami, po trwającym wiele godzin skupieniu umysłu, przerywanym tylko krótkimi okresami odpoczynku, Nekroskop sprawiał wrażenie wycieńczonego. A ponieważ większość czasu spędził zwrócony na zachód, twarz mu poczerwieniała z powodu nadmiernej dawki promieniowania ultrafioletowego. Kiedy więc Jimmy ujrzał, jak bardzo Harry jest wyczerpany, jego pierwsze słowa brzmiały:

- Hej, Harry, dobrze się czujesz? Wyglądasz na zupełnie wykończonego!

Zwyczając go machnięciem ręki, Nekroskop odpowiedział: - Nie... nic mi nie jest. Znowu spałem, to wszystko. Mimo że mnie ostrzegałeś! - Wstał ociężale i skierował się do domu.

Jimmy deptał mu po piętach, a kiedy Harry klapnął na kuchenne krzesło, powiedział:

- Słuchaj, zanim pójde się odświeżyć, zrobię ci kawy. Po całym dniu pracy na zakurzonej poddaszu jestem wyschnięty na wiór. Miałem nadzieję, że może znowu pójdziemy do pubu. Nie chciałbyś strzelić sobie piwko?

W tym momencie Nekroskop zdał sobie sprawę, jak bardzo jest spragniony i jak bardzo nierozważny: doprowadził do tego, że był całkowicie odwodniony!

- No? - naciskał Jimmy. - Co ty na to? Stawiam pierwszą kolejkę.

- Myślę, że obaj powinniśmy się odświeżyć - powiedział Harry. - Dajmy więc sobie spokój z kawą i bierzmy się do roboty - a ja stawiam drugą kolejkę!

Pub był jednym z najstarszych budynków w Harden, miał okna z wypukłymi szybami, otwarty kominek, niski sufit i poczerniałe od dymu dębowe belki nośne, był więc bardzo nastrojowy. Było to ulubione miejsce spotkań weteranów, emerytowanych górników, których chwiejny krok i twarze pokryte pyłem węglowym świadczyły o wieloletniej ciężkiej pracy w kopalni. Drewniane krzesła, stoliki do kart pokryte zielonym suknem i powietrze wypełnione zapachem tytoniu wydały się obu przyjaciółom wyjątkowo sympatyczne, po tak zasadniczo odmiennych trudach pracowitego dnia.

Kiedy podeszli do baru, Harry zajrzał w ciemny kąt, za małym stołem, gdzie drewniana ława opierała się o ścianę. Siedzący tam człowiek przez chwilę odwzajemniał jego spojrzenie, po czym szybko usunął się w cień, jednak nie na tyle szybko, aby Nekroskop nie rozpoznał posterunkowego Jacka Foreстера. I pomyślał: *Co za szczęście! Bo jest coś, o co chcę cię zapytać, Jack.* Kiedy więc Jimmy zamawiał drinki, ruszył w stronę Foreстера.

- Dobry wieczór - powiedział zbliżając się. I zanim tamten zdążył odpowiedzieć, ciągnął: - Cieszę się, że zauważyłem pana w tym kącie. Dzięki temu nie będę musiał iść na posterunek policji.

- Tak? - powiedział Forester trochę bełkotliwie. - A dlaczego, jeśli mogę spytać, zamierzał pan wpaść na posterunek, panie Keogh? Może chodzi o... no, może chce pan o czymś zameldować?

Harry już chciał przytaknąć, ale zmienił zdanie, pokręcił głową i w końcu powiedział:

- Tak i nie, albo może jedno i drugie: chcę o coś zapytać i coś opowiedzieć. - Wyciągnął krzesło i usiadł.

- O coś zapytać? - powiedział Forester, przekrzywiając głowę na bok. - To jakieś śledztwo? W jakiej sprawie? Ale zanim pan mi to powie, nie sądzi pan, że mógł pan zapytać, czy może pan się do mnie przyłączyć, zanim pan usiadł? W końcu może tak być, że czekam na kogoś. A ponieważ jestem bez munduru, chyba mam pra... prawo do prywatności, odrobiny czasu tylko dla siebie.

- Nie chciałem panu przeszkadzać - odparł Harry - ale zdałem sobie sprawę, że jestem zamieszany w coś dziwnego i myślę...

- A ja myślę - przerwał mu tamten, wydychając w stronę Harry'ego opary alkoholu - że to, o czym pan mówi, o czym pan chce się dowiedzieć i co chce mi powiedzieć, ma coś wspólnego ze mną i Gregiem Millerem, mam rację? Jest zupełnie oczywiste, że tamtego dnia pan z nim rozmawiał, a on prawdopodobnie nagadał panu mnóstwo kłamstw i opowiedział kompletnie zwariowaną historię. Szczerze mówiąc, myślę, że ma pan niezły tupet, panie Harry Keogh, przychodząc i naprzykrzając mi się w jeden z moich nielicznych wolnych wieczorów!

Próbując się podnieść, Forester prawie wstał, ale zatoczył się i znów usiadł. Uderzył przedramionami w stół tak mocno, że stojące na nim szklanki zaczęły podskakiwać i brzęczeć, a z napełnionego piwem kufła wylało się trochę płynu. Unikając ochlapania, Harry gwałtownie odsunął krzesło od stołu. Dość już było podobnych wypadków jak na jeden dzień.

- Psiakrew! - powiedział Forester z głupim uśmiechem, w momencie gdy nadszedł Jimmy Collins z dwoma kufłami piwa w dłoniach.

- Ee... - wymamrotał Jimmy, przenosząc wzrok z Harry'ego na Forestera i z powrotem. - Czy ja... wam w czymś przeszkadzam?

- Daj nam jeszcze parę minut - powiedział Harry, biorąc piwo. - Posterunkowy doradza mi w pewnej sprawie. Kiedy skończymy, natychmiast się do ciebie przyłączę.

Jimmy, nic nie rozumiejąc, wzruszył ramionami i wrócił do baru. A Forester powiedział:

- Co takiego? Doradzam panu? Ha! Nie przypominam sobie, żebym mówił, że...

- To po prostu wykręt - powiedział Harry, przerywając mu. - Ale jeśli i ja mogę być szczerzy, wydaje mi się, że pan wciąż wymierza sobie karę; może za tę dziewczynę, córkę Symondsa? Najpierw odbił ją panu Greg Miller, a potem... utraciliście ją obaj? - Pociągnął łyk piwa, po czym ciągnął: - A nawiasem mówiąc, sądzę, że nie ma pan stuprocentowej pewności, że to on ją zabił. Na pewno nie.

Opierając się o ścianę, jakby trochę skurczony, Forester milczał przez długą chwilę, po czym powiedział:

- Gdybym był trzeźwy, myślę, że dałbym panu kolejną szansę zademonstrowania pańskich umiejętności w sztukach walki. A gdybym zdołał choć raz walnąć pana porządnie w nos, może nauczyłbym pana, żeby pan był trochę ostrożniejszy, grzebiąc w przeszłości!

- Proszę posłuchać - powiedział niezrażony niczym Nekroskop. - Widziałem niektóre dowody Grega Millera, które sugerują, że może nie jest tak szalony albo że nie jest z nim tak źle, jak pan sądzi. Na przykład wiedział pan, że podczas Drugiej Wojny Światowej zanotowano...

- ...Kilka przypadków zniknięcia młodych dziewcząt na obszarze wokół Harden i Hazeldene? - Forester zaczynał trzeźwieć. Usiadłszy prosto, odsunął niemal pełny kufel na bok i używając podstawek, zaczął wycierać plamy po rozlanym piwie. - Widzisz, Harry - ciągnął - to wszystko to stare sprawy, do których adwokat Millera dokopał się piętnaście lat temu. - Potrząsnął głową ze zmęczeniem. - Wtedy to nikogo nie przekonało i nie przekona teraz.

- Naprawdę? - powiedział Harry. - To pomogło przekonać mnie!

- Więc jesteś głupcem! - powiedział tamten. - A zresztą kim ty, u diabła, jesteś, żeby grzebać w tym... w tym gównie? Jakimś szukającym sensacji reporterem? Felietonistą *UFO Monthly* czy co? - Oddychając głęboko i potrząsając głową, posterunkowy uczynił kolejny wysiłek, żeby się podnieść. Wykorzystując okazję, Harry sięgnął przez stół i przycisnął ramię Foreстера, by zmusić go do pozostania na miejscu choćby przez chwilę. Oczywiście mężczyzna był funkcjonariuszem policji, ale Harry znał w Londynie ludzi mających znacznie większą władzę niż jakikolwiek lokalny policjant.

Zapewne w tej chwili - kiedy Forester poczuł na swoim ramieniu dłoń Nekroskopa - nagle, po raz pierwszy, naprawdę uznał autorytet Harry'ego. W każdym razie usiadł spokojnie, skupił spojrzenie na jego twarzy i powiedział:

- OK, spytam cię jeszcze tylko raz: kim ty, u diabła, jesteś?

- Powiem ci, kim nie jestem - powiedział Harry. - Nie jestem reporterem ani felietonistą jakiegoś żadnego sensacji magazynu. Ale mam znajomości wśród wysoko postawionych osób i zajmuję się badaniem niesprawiedliwości, kiedy się na nie natknę. Uważam, że w tej sprawie stała się wielka niesprawiedliwość. Ale w przeciwieństwie do ciebie wiem, że nie jestem nieomylny, i przyznaję, że cała ta historia mi się wymyka. Faktycznie wciąż nie znam nawet jej połowy i bardzo chętnie wysłucham wszystkich logicznych argumentów, rozważę każdy prawdziwy dowód winy Millera, który zechcesz przedstawić. Jeśli więc nadal palisz się, żeby mi przyłożyć, Jack, możesz zapomnieć o tym, że rozkwasisz mi nos, i po prostu udowodnij mi, że się myłę.

Kiedy Harry cofnął dłoń, Forester rozluźnił się i w końcu chropawym głosem powiedział:

- Dusilem to w sobie przez długi czas. Ja naprawdę kochałem tę dziewczynę, rozumiesz? Była naprawdę cudowna, to była moja pierwsza miłość i gdyby to ode mnie zależało, byłaby ostatnią i nadal by tu była. Och, kochałem Janet, ale dla niej to nie było to. Przez jakiś czas coś nas łączyło - tak przynajmniej sądziłem - ale dla niej to była dziecinada, tylko przelotny romans. Byłem bardziej przyjacielem niż kimś, z kim chciała zostać na całe życie. Więc kiedy pojawił się ten Miller... no cóż, pomyślała, że to poważna sprawa i szybko nastąpiła zmiana.

- Harry, ty nigdy nie zrozumiesz, czym to było dla mnie. Być tak mocno zakochanym - ja, młody policjant i przyjaciel jej ojca, musiałem patrzeć, jak cierpi, ponieważ po śmierci żony Janet była wszystkim, co mu pozostało i czuł, jak mu się wymyka - a ja musiałem go pocieszać, ale mnie nie pocieszał nikt, podczas gdy oni spacerowali, rozmawiali, trzymali się za ręce i... i robili Bóg jeden wie, co jeszcze, Janet i ten przekłety, szalony Greg Miller!

Harry kiwnął głową.

- Więc Miller zabrał ci tę dziewczynę. Przykro mi, że to zabrzmiało tak chłodno, ale to do tego się sprowadza. I nie czyni z niego zabójcy. A jeśli chodzi o jego szaleństwo, może był - może nawet ciągle jest - szaleńcem, więc dlaczego nie opowiesz mi całej tej historii, z twego punktu widzenia? Wtedy będę mógł wyrobić sobie własne zdanie.

- Calej tej historii? - powtórzył tamten za Harrym, zmarszczywszy czoło. - To znaczy, krok po kroku? - Jakby odmawiając, pokręcił głową.

- Jak chcesz - powiedział Harry.

- Czy aby nie czeka na ciebie przyjaciel? - Forester pokazał na Jimmy'ego siedzącego przy barze i popijającego piwo. - To młody Collins, elektryk, prawda?

Harry znów kiwnął głową.

- Nic mu się nie stanie. Nie będzie nas niepokoił. Forester osunął się na krzesło.

- Dobrze, ale zrobimy to po mojemu. Nie opowiem ci tej historii tak, jak opowiada ją Miller, ponieważ nie umiem tak fantazjować! Więc postąpimy następująco. Ty przedstawiś mi swoje dowody - albo to, co uważasz za dowody przemawiające za jego niewinnością - a ja przedstawię ci moje wnioski, jak próbowałem zracjonalizować to, co się wydarzyło. I wtedy się okaże, jak łatwo obalić twoją teorię!

- Zgoda - odparł Harry. Ale zastanowiwszy się chwilę, zaczął mówić: - Najpierw powinniśmy...

- Chwileczkę! - warknął Forester. - Najpierw to ty powinieneś wiedzieć, że... myślę, że to może mieć charakter - nie wiem, jak to nazywają - terapeutyczny? Coś w rodzaju katharsis? Chodzi mi oto, że... nie jestem pewien, co tam masz, czego nikt ze znanych mi osób nie miał, ale ponieważ tu siedzisz, zacząłem rozważać możliwość, że może z tobą porozmawiam. Nie jestem pewien, może po prostu muszę to z siebie wyrzucić. Ale nie zrozum mnie źle, nie ma sposobu, abyś mnie kiedykolwiek przekonał o niewinności Millera. Chcę po prostu pozbyć się tych wszystkich bzdur, które nazbierały mi się w głowie. Tak będzie lepiej, niż wciąż rozmyślać o Janet i jej ojcu, biednym starym Arnoldzie - nie potrafię wymazać z pamięci obrazu, jak skacze z wiaduktu - a ja siedzę w samochodzie zaparkowanym przy wale Ellisona, patrząc w stronę wioski... patrząc na... na ten... ten cholerny stary wiadukt! - Przerwał i wyraźnie zadrżał.

Rozumiejąc, co posterunkowy miał na myśli - że i on także zastanawiał się, czy nie skoczyć - Nekroskop wyczuł jego lęk. I spojrzawszy na niego twardo, zmuszając go, aby nań popatrzył, powiedział:

- Naprawdę? I myślisz, że Greg Miller jest szalony? Jack, to, jak się czujesz, co sugerujesz, to prawdziwe szaleństwo! Rozumiem, że kochałeś tę dziewczynę, i doskonale rozumiem, jak jej zniknięcie mogło zachwiać równowagą umysłową jej ojca, ale ty nie jesteś jej ojcem! I byłeś wtedy znacznie młodszy, silniejszy. Chcesz powiedzieć, że to cię dręczyło przez piętnaście lat?!

Forester znów wyprostował się. Pociągnął długi łyk piwa, wziął głęboki oddech i wydawało się, że ogarnia go gniew. Ale po chwili wypuścił powietrze z westchnieniem i powiedział:

- Nie przez cały czas. Ale niekiedy - na polach w pobliżu Hazeldene, kiedy obserwuję Millera - nie jestem pewien dlaczego, ale czasami czuję się, no wiesz, bardzo przygnębiony, zrozpaczony. Chodzi mi o to, że zaczynam się czuć tak podle, że naprawdę nie wiem, po co żyję, dlaczego jeszcze chcę żyć...

Przerwawszy, żeby potrząść oczyma, i potrząsając głową, jakby chciał się przebudzić, Forester ciągnął:

- Ale to nas zaprowadzi donikąd i nie powinienem być ci przerywać. Mówiłeś, że...? - Celowo zmienił temat i Nekroskop to wiedział. Ale wiedział także, że posterunkowy ma rację i że to prowadziło donikąd.

- OK - powiedział - więc zacznijmy od początku i powróćmy do Drugiej Wojny Światowej: te dziewczyny - a niekiedy młodzi chłopcy i dziewczęta - które zniknęły podczas zaciemnień w czasie nalotów. Mówiłeś, że adwokat Millera poruszył to podczas procesu, i wiem na pewno, że Greg Miller sam gromadził dossier dotyczące podobnych przypadków. Ale twierdziłeś, że to bezwartościowe, bezużyteczne jako dowód. Dlaczego tak uważasz?

Forester kiwnął głową i znacznie bardziej rozsądnie odparł:

- Doskonale, zastanówmy się nad tym. W czasie Drugiej Wojny Światowej ani ciebie, ani mnie, Harry, jeszcze nie było na świecie. Także przez długi czas po jej

zakończeniu. Może powinniśmy uważać się za szczęściarzy, ponieważ w owym czasie wielu mniej fartownych młodych ludzi, którzy skończyli osiemnaście lat, powoływano do służby, by walczyli z armią Fuhrera. Jeśli jednak pracowałeś w kopalni i byłeś doświadczonym górnikiem, miałeś wybór, albo nadal pracować tam, na dole, ponieważ górnictwo węglowe było niezbędne jako działanie ludności cywilnej dla potrzeb wojska. Jeśli nie liczyć tego i paru innych chronionych zawodów, pozostawały tylko...

- ... Siły zbrojne - dokończył Harry.

- Właśnie. Wojska lądowe, marynarka wojenna albo siły powietrzne. To był twój obowiązek. Ale jak w każdej wojnie byli tak zwani „przeciwnicy z powodów moralnych”, chociaż najczęściej ich głównym celem było nie stać się mięsem armatnim! Czy można ich za to winić? Ale byli także tacy, którzy - pomijając wszelkie usprawiedliwienia - po prostu brali nogi za pas. Może to nie zawsze było tchórzostwo; może sprzeciw niektórych z nich miał podłoże inne niż powody moralne. Na przykład ci, którzy mieli dziewczyny, przyszłe żony... kogoś, kogo nie chcieli opuścić, kto według nich wymagał opieki w tych niebezpiecznych czasach. I czy dla młodego człowieka mogła się nadarzyć lepsza okazja, aby uciec, zostać uznanym za zmarłego - często wraz ze swą kochanką - niż podczas jednego z tych niemieckich nalotów, co? Och, to okropne zostać rozerwanym na kawałki przez niemiecką bombę! Tak, ludzie rzeczywiście byli rozrywani na kawałki i ginęli, ale w Londynie! Jednak tutaj, na północnym wschodzie, w kopalni? Tutejsze ofiary, prawdziwe ofiary, można policzyć na palcach jednej ręki! OK, Miller ma to swoje dossier, obejmujące tak zwane „zniknięcia”, ale czy jest wśród nich choćby jedno, którym musiały się zająć Czerwone Berety?

- Czerwone Berety?

- Żołnierze żandarmerii wojskowej, Harry, którzy musieli nieustannie tropić wszystkich dezertorów. Działali ręka w rękę z miejscową policją i czytałem wiele ich notatek, raportów, relacji i starych ksiąg. Coś ci powiem. Jeszcze siedem czy osiem lat temu - po tylu latach - ludzie nadal się ujawniali! Faceci w średnim wieku, którzy zniknęli i zostali uznani za zmarłych w latach 1942-1943, w środkowym okresie działań wojennych. Czasami mieli żony, które „znikały” wraz z nimi! Jak im się to udawało tak długo - któż to wie? Zmieniali nazwiska, zmieniali pracę, sprowadzali rodziny... Chodzi mi o to, że dziewczyny, które uciekły z tymi dezertorami, wykorzystując niemieckie naloty czy też w innych okolicznościach, nie zostały uśmiercone przez jakiegoś żądnego krwi leśnego potwora. „Wyprowadziły się”, zeszły do podziemia, to wszystko; wyrwały się z niefortunnej sytuacji. Dossier Millera i „dowody” przedstawione przez jego adwokata to po prostu temat zastępczy, którego celem było zamącić ludziom w głowach...

Słuchając tego wszystkiego w milczeniu, Harry poczuł, że jego wiara w siebie i jego własne przekonania zaczyna słabnąć, ale nie zamierzał się poddawać. Pragnąc odzyskać kontrolę i niezbyt panując nad tym, co mówi, powiedział:

- Wiedziałeś, że Miller wytropił podobne przypadki jeszcze w czasach panowania Rzymian? - Ale kiedy z tym wyskoczył, Od razu zdał sobie sprawę, jak blade, a nawet śmiesznie musiało zabrzmieć to stwierdzenie. - Chodzi mi o to... - zaczął jeszcze raz, ostrożniej.

Ale Forester powoli kręcił głową wpatrując się w Nekroskopa z dziwnym wyrazem twarzy, a kąciki ust wykrzywił mu kpiarski, znaczący uśmiech.

- To kto teraz jest szalony? - powiedział. - O co w tym wszystkim chodzi, Harry? Jeszcze jedno „dossier” Millera? Dotyczące czasów panowania Rzymian? Teraz naprawdę gonisz w piętke!

Harry westchnął i powiedział:

- No cóż, chociaż przypuszczam, że uznasz to za niepoważne, widziałem dokumenty pochodzące z drugiego wieku naszej ery, w których opisano, jak pewien centurion puścił z dymem szeroki pas Hazeldene, aby „leśny demon” przestał porywać młode kobiety z pobliskiej wioski, którą oczywiście musiała być Harden.

- Wiesz - powiedział Forester - to prawda, że jestem synem zwykłego górnika, urodzonym i wychowanym tutaj, na północnym wschodzie, ale jeżeli byłem dobry z jakiegoś przedmiotu w szkole, to była nim historia. A Rzymianie - pomimo swych osiągnięć w dziedzinie sztuk pięknych, budowy cesarstwa, sztuki wojennej, struktury społecznej i systemu rządów - byli prawdopodobnie najbardziej zabobonni ze wszystkich tak zwanych cywilizowanych ludów. Zapełnili panteon swych bóstw i swoją demonologię bogami i demonami skradzionymi lub zapożyczonymi z religii niemal wszystkich ludów, z którymi się zetknęli, a ponieważ prześladowały ich „obce demony” - barbarzyńskie plemiona owych czasów - w każdym zaroślach i każdym zagajniku, przez jakie się przedzierali we Francji, Niemczech, Belgii, w całej Europie... właściwie mnie nie dziwi, że dawali wiarę istnieniu rozmaitych potworów i w lasach Brytanii! Powinieneś pamiętać, Harry, że w owych czasach lasy to były prawdziwe lasy. Jak kraj długi i szeroki, od północnego wschodu do południowego zachodu, wszędzie rosły gęste, budzące przerażenie lasy. W tysiąc pięćset lat potem czy nawet później nadal budujemy nasze „statki bojowe” z drewna pochodzącego z tych samych lasów!

Policjant przerwał - przynajmniej do chwili, gdy wydawało się, że Harry właśnie szykuje się do odpowiedzi - po czym podjął:

- I zanim wyciągniesz kolejne „dossier”, powinieneś rozważyć rzecz następującą.

- Lasy zawsze przyciągały maniaków, morderców i gwałcicieli. Spróbuj znaleźć choćby jeden porośły lasem duży obszar na terenie Wielkiej Brytanii, który kiedyś nie był sceną tego rodzaju ohydnej zbrodni. A jeśli o mnie chodzi, Greg Miller jest właśnie takim szaleńcem, a Hazeldene właśnie takim lasem...

Przerwawszy ponownie, Forester łyknął trochę piwa, żeby zwilżyć gardło i ciągnął:

- To chyba tyle. No i jak, obaliłem twoją teorię?

Nekroskop potrząsnął głową.

- Nie - powiedział bardzo spokojnie. - I wciąż nie zobaczyłem żadnego dowodu, że Greg Miller jest mordercą. Faktycznie wydaje mi się, że został skazany wyłącznie na podstawie poszlak. Och, poważnych poszlak, przyznaję - opartych głównie na tym, co znaleziono na bieliźnie tej dziewczyny - ale z drugiej strony, no cóż, Greg i Janet byli przecież kochankami...

Na te słowa Forester wydał mimowolny jęk i mimo że wcześniej pogodził się z bolesną argumentacją Nekroskopa, wydawało się, że zaraz zareaguje, gniewnie zaprzeczając. Ale w tym momencie przy stoliku pojawił się Jimmy Collins i jego głos przerwał pełną napięcia ciszę.

- Harry, teraz twoja kolej. Ale jeśli wciąż jesteś zajęty, zamówię następne piwo, a ty dołączysz później.

- Nie, Jimmy, w porządku - odparł Harry, zerknąwszy na niego. - Zaraz do ciebie przyjdę. - I kiedy tamten wrócił do baru, Nekroskop wstał, oparł się o stół i spojrzał posterunkowemu prosto w oczy.

- No? - powiedział Forester niepewnie, łamiącym się głosem. - Skończyliśmy? Lepiej, żeby tak było, bo nie jestem przygotowany na dalsze nieczyste ciosy.

- Żadnych więcej nieczystych ciosów - powiedział Harry, kręcąc głową. - Ale powinieneś wiedzieć jedno. Jakkolwiek to się skończy - a będę w pobliżu, żeby się o tym przekonać - wiem na pewno, że w Hazeldene kryje się coś dziwnego i diabelnie

złego. Miller także to wie, szuka tego, a ty, jak sędzę, jesteś tego świadom. O ile to możliwe, pomogę mu to znaleźć, ponieważ uważam, że to go albo ostatecznie pogrąży jako szaleńca, za jakiego go masz, ale uwolni od podejrzeń... przez co rozumiem, że uwolni go naprawdę, a nie tylko uchroni przed więzieniem. I Jack, to być może uwolni także i ciebie.

Sięgnawszy po kufel i powoli opadłszy na siedzenie, posterunkowy milczał ponuro, a Harry wyprostował się i ruszył do baru. Obejrząwszy się, patrząc, jak tamten niknie w cieniu, Nekroskopa ogarnęło prawdziwe współczucie...

Na szczęście wieczór był chłodniejszy niż ostatnio i kiedy dwójka przyjaciół dotarła do domu, zapadł aksamitny zmierzch. Harry skierował się prosto do ogrodu, podczas gdy Jimmy poszedł zrobić kawę. Znalazłszy się w ogrodzie, Harry poczuł, że ciemniejące, letnie powietrze ma dziwną, tajemniczą konsystencję. Zawsze w ten sposób reagował na letnie wieczory, a jeszcze bardziej jesienią. Trudno to było wytłumaczyć: było to uczucie czy też wrażenie, które odczuwał jako „świadomość ciemności, będącej manifestacją czyjejś obecności”, prawie jak obecność przyjaciela. Ale nigdy nie był bardziej świadom ciemności niż właśnie teraz, i to jakby z zupełnie innego powodu: ponieważ to, na co pragnął rzucić światło, wcale nie było przyjazne ani ciepłe; nie było czymś, w czym Nekroskop kiedykolwiek chciałby się zanurzyć. Bo o ile pogrążone w cieniu rogi tego znajomego ogrodu były niegroźne i puste, o tyle jakaś głębsza ciemność, gdzieś dalej, kryła w sobie coś znacznie bardziej mrocznego.

Po tym, jak dwukrotnie wyczuł obecność tego czegoś w dalekim lesie, wiedział, gdzie „patrzeć”; za trzecim razem jedyną różnicą był fakt, że teraz dotarło do niego, że - czymkolwiek „to” było - wyczuło także jego obecność! Zdając sobie sprawę, że owa istota nie zamierza się poddać długotrwałemu badaniu, uznał, że jeśli pragnie ustalić jej położenie, musi działać szybko. Znaleźć ją wycofać się i unieść ekrany swego umysłu - plan Nekroskopa był całkiem prosty. A jutro rano, za dnia, ale z innego miejsca na północ od lasu zastosuje taką samą procedurę, aby za pomocą triangulacji ostatecznie wyznaczyć współrzędne tej istoty, źródła tych martwych, rozpaczliwych szeptów.

Nie powinno to sprawić większych trudności, ale kiedy Harry przygotowywał się do czegoś, co miało stanowić tylko niewielki wysiłek woli, zdał sobie sprawę z obecności słabego, lecz osobliwego zapachu, podobnego do zapachu kapryfolium czy też pewnych rozkwitających nocą kwiatów, który jednak wydał mu się dziwnie... odrażający? A jeśli nie odrażający, to niepokojący? Przypominał mu - ale nie wiedział dlaczego - deszcz, wilgotną ziemię i pleśń, i wywołał w jego umyśle mgliste, lecz wielce niepokojące wspomnienia z dawnych czasów, których nie potrafił umiejscowić, jak owe przerażające koszmary, które umykały z pamięci zaraz po przebudzeniu. A natychmiastowy skutek tego przygnębiającego zapachu był taki, że Harry nagle poczuł, że to, co robi, nie ma żadnego znaczenia w porównaniu z intensywnością tego uczucia. Czy cokolwiek miało jeszcze znaczenie? Bardzo w to wątpił. Co za beznadziejna strata czasu całe to życie i...

- Harry? - Jimmy Collins dotknął jego ramienia i cofnął się przestraszony, gdy Nekroskop gwałtownie podskoczył. - Cholera! - głośno krzyknął Jimmy, wyginając się w łuk, by uchronić się przed kawą która przelała się przez krawędź jednego z kubków, które niósł. Po czym rzucił gniewnie: - Co u licha...? - Ale w chwilę później powiedział pojednawczo: - O co chodzi? Przestraszyłem cię?

- Tak - powiedział Harry. - Nie, to moja wina, przepraszam! Musiałem śnić na jawie. Poza tym to był okropny dzień, pełen rozmaitych drobnych wypadków! Oblałeś się? Naprawdę mi przykro, Jimmy!

Ale było mu przykro nie dlatego, że Jimmy podszedł i mu przeszkodził, przerywając to, co się z nim działo. I chociaż już nie pamiętał, dlaczego czuł się tak przygnębiony, pamiętał aż za dobrze coś, co powiedział mu Jack Forester: jak czasami, kiedy był wśród pól, w pobliżu Hazeldene, obserwując Grega Millera, zaczynał czuć się tak podle, że naprawdę nie wiedział, po co właściwie żyje i dlaczego w ogóle chce żyć!

Powodowany tym wspomnieniem, prawie odruchowo - a może instynktownie - Harry otworzył umysł, aby przeszukać teren na zachodzie. Wieczór był chłodny, ale nie zimny, więc lodowaty dreszcz, który poczuł, gdy jego mentalna sonda dotknęła na chwilę... czegoś *nie z tego świata*, czegoś potwornego, co wydawało się na niego czekać, przeniknął raczej jego duszę niż ciało.

Pełen odrazy, automatyczny, obronny odwrót był jeszcze szybszy, niż przewidywał jego plan. Mimo to, między chwilą rozpoznania i odwrotu, Harry zdążył wyczuć w psychicznym eterze kwintesencję zła obcej istoty, zdążył rozpoznać nikczemną satysfakcję, której ta istota nie była w stanie ukryć, jak gdyby sama ciemność uśmiechała się, oblizując wargi...

...Jakby w oczekiwaniu?

Jimmy już wrócił do domu, więc nie zobaczył, jak Harry odruchowo zadygotał, jak przyciągnął łokcie do boków, obejmując się i drżąc przez krótką chwilę. W następnej chwili lodowaty dreszcz ustąpił - a mdlący, słodkawy zapach rozwiął się w nicość - i Harry z radością pośpieszył za przyjacielem do domu. Ale zamykając za sobą drzwi, odcinając się od ciemności, zastanawiał się, co wywołało u jego przeciwnika ten ogromny przyływ satysfakcji, tak wielki, że i on także ją wyczuł.

Może to jakaś słabość w nim samym? Jeżeli tak było i mimo że determinacja Nekroskopa pozostała jak zawsze nieugięta, nie było to wcale uspokajające...

Następnego dnia rano Harry wstał późno. Kilka minut po ósmej trzydzieści słońce było już wysoko na niebie, a powietrze z każdą chwilą coraz cieplejsze. Jimmy Collins już wyszedł, aby dalej pracować nad wymianą instalacji elektrycznej, ale zostawił czajnik pełen gorącej wody, którego zagotowanie zabrało zaledwie chwilę. Nekroskop był z tego rad, bo zamierzał jak najszybciej przystąpić do realizacji swego planu, nie chcąc tracić cennego czasu.

Jedząc śniadanie, nawiązał kontakt ze swoją matką, której szczątki spoczywały pośród szlamu i wodorostów, na dnie rzeki w Szkocji, niedaleko domu, w którym kiedyś mieszkała. Mógł się z nią skontaktować wcześniej, ale chciał uniknąć wyjaśnień związanych z naturą jego obecnych poszukiwań. Choć Mary Keogh nie żyła już od wielu lat, naturalnie wciąż troszczyła się o dobro swego syna w tym nieprzyjaznym świecie.

Wydawało się, że następnym logicznym krokiem jest prośba do niej o pomoc. Przechodząc od razu do rzeczy, Harry poprosił, by popytała wśród niezliczonych zmarłych, pogrzebanych na cmentarzach w północno-wschodniej części kraju, czy nie znajdzie się ktoś, kto znał niejaką Janet Symonds, mieszkankę Harden, prawdopodobnie zamordowaną i pochowaną w anonimowym grobie około piętnastu lat temu. Poprosiwszy, aby na siebie uważał, Mary powiedziała, że zobaczy, co się w tej sprawie da zrobić, i odezwie się tak szybko, jak to możliwe.

Po zakończeniu rozmowy Harry wyszedł do ogrodu. Przymrużywszy oczy i osłaniając umysł, popatrzył na zachód. Osłonił umysł, wiedział bowiem, że gdzieś tam, za murem ogrodowym, znajdowała się ta okropność, która nie powinna istnieć. Podczas ostatniej nocy, we śnie, podświadomy umysł Nekroskopa zarejestrował zdarzenie, którego wystąpienie zwykle, w ciągu dnia i w normalnych warunkach,

powinno być oczywiste – *gdyby* wystąpiło w ciągu dnia - i teraz chciał wyjaśnić, czy był to sen, czy rzeczywistość.

Łączyło się to z jego sprawnością w wykorzystywaniu Kontinuum Möbiusa; ilekroć Harry ustalał współrzędne nowego położenia, jego punkt odniesienia pozostawał jako stały element jego metafizycznego umysłu, wraz z mnóstwem innych położeń, które poprzednio wykorzystywał. A ponieważ wszystkie współrzędne Möbiusa oznaczały miejsca znajdujące się w określonej odległości i w określonym kierunku, kiedy zostały „ustalone”, stawały się trwałe, jeśli nie liczyć pomijalnego wpływu przesunięcia magnetycznego, znikomego pełzania płyt tektonicznych planety czy też anomalii grawitacyjnych wywołanych niepowstrzymanym, odwiecznym ruchem gwiazd na skraju naszej galaktyki.

Jednakże zeszłej nocy te zasady zostały złamane, a przynajmniej tak się wydawało, i teraz gdy Nekroskop powrócił do tego myślami, nie był to pierwszy przypadek tego rodzaju. W samej rzeczy niedawna konfrontacja z tym czymś, co zamieszkiwało ów las, była trzecim takim przypadkiem, a ponieważ wyglądało na to, że czające się w lesie nieznanne zło łączy bliski związek z miejscami wiecznego spoczynku wielu ludzkich istot, które nie przestawały protestować przeciw przymusowemu zamknięciu... jak to możliwe, że Nekroskop wykrył źródło tego zła w trzech różnych miejscach? Współrzędne nie ulegają zmianom.

Wtedy Harry przypomniał sobie tytuł rozdziału makabrycznej powieści, którą czytał jeszcze jako uczeń. Tytuł tej powieści brzmiał „Bo zmarli poruszają się szybko” czy jakoś podobnie, co było o tyle paradoksalne, że zmarli, z którymi sam miał do czynienia, poruszali się powoli! Niemniej jednak i pomimo tego, że zmiany kierunków, jakie zauważył Nekroskop, były bardzo niewielkie, wydawało się, że szepczący zmarli poruszają się! Albo też, zakładając, że skoro są martwi, nie są zdolni do żadnego ruchu, czy to możliwe, że byli... niesieni?

Było to pytanie, które przypomniało Nekroskopowi inną opowieść, którą czytał jako nastolatek: „Ruchomy grób”. Było to naprawdę fascynujące, żeby nie rzecz niepokojące, teraz bowiem wyglądało na to, że odkrył bardzo powoli poruszający się grób!

I to w dodatku zbiorowy...

Znalazłszy się z powrotem w domu, Harry zadzwonił na miejscowy posterunek policji i natychmiast rozpoznał głos po drugiej stronie przewodu.

- Posterunkowy Forester? - zapytał. - Jack? Dzień dobry, tu Harry Keogh... - Przez chwilę panowała cisza.

- Tak? - odparł Forester. - O co chodzi tym razem? Czy znów chce pan, żebym przez pana tracił czas, panie Keogh?

- Tylko kilka pytań, to wszystko - powiedział Harry. - Wymagają tylko krótkich odpowiedzi.

- Naprawdę? - powiedział tamten. - No to trzymam pana za słowo. Zresztą musi pan się pośpieszyć, bo zaraz ruszam na patrol. Właśnie szedłem do drzwi.

- OK - odparł Harry. - A więc krótko. Na czym spodziewa się pan złapać Grega Millera w Hazeldene? Widzi pan, jest dla mnie zupełnie oczywiste, że spędza pan mnóstwo czasu, obserwując go. I...

- ...I jeszcze pan nie doszedł dlaczego? - cierpko powiedział Forester. - Działam na zasadzie, że pewnego dnia złapię go, gdy wraca na miejsce zbrodni.

- Ach! - powiedział Harry.

- Poza tym - ciągnął Forester - chciałbym się przekonać, co dokładnie ukrywa ten pokręcony łajdak na polach wokół lasu i dlaczego!

- Co mianowicie ukrywa?

- W sklepie z rzeczami używanymi kupuje takie tanie podręczne torby. Nie wiem, co do nich wkłada, ale parę razy widziałem go z nimi na skraju Hazeldene. Rano ma ze sobą taką torbę... a gdy pod wieczór wraca do domu, do swego zniszczonego mieszkania, na skraju wioski, przy drodze na Hartlepool, już nie ma tej torby. Zdarzyło się ze trzy czy cztery razy - przynajmniej tyle razy sam to widziałem - ale nigdy nie zdołałem odkryć, jak się ich pozbywa. Możliwe, że je zakopuje, ale... - Posterunkowy zamilkł. - ...Ale to wystarczy. A teraz muszę już iść.

- Chwileczkę! - powiedział Nekroskop. - Jeszcze jedno pytanie. Powiedział pan, że czasami czuje się pan bardzo przygnębiony tam, na polach koło Hazeldene. Ale czy kiedykolwiek czuł pan tam dziwny zapach? To znaczy - sam nie wiem - taką przykrą woń? Bardziej wrażenie niż prawdziwy zapach. Coś, co jakoś przypomina o rzeczach, których pan nie bardzo pamięta. Taki przesłodzony...

- Jak kapryfolium i gówno jednocześnie? - przerwał mu Forester. - Dwa zapachy w jednym? Tak, i wcale mi się to nie podoba. To musi być ten las, pyłki kwiatowe i tak dalej. Kwiaty jeżyn i dzikich jabłoni. A ten smród gówna to pewnie zwierzęce łajno. Prawdopodobnie.

Chociaż Forester nie mógł go widzieć, Harry pokręcił głową.

- Tam nie ma kwiatów jeżyn - ani też dzikich jabłoni, jeśli o to chodzi - nie o tak wczesnej porze roku - powiedział. - Może za dwa czy trzy tygodnie. Ale jeszcze nie teraz.

Harry wyczuł, jak tamten niepewnie wzruszył ramionami, jakby go coś zaswędziało w miejscu, którego nie mógł dosięgnąć, żeby się podrapać.

- Więc musi być tak, jak mówiłem - powiedział Forester. - Kapryfolium i gówno.

- Tak sądzę - zgodził się Nekroskop. I powtórzył za posterunkowym: - Prawdopodobnie.

- Uważaj, Harry - powiedział Forester. - Bo pewnego dnia obudzisz się tak samo zwariowany jak Greg Miller. - Po czym odłożył słuchawkę.

Teraz była właściwa pora.

Harry wyszedł do ogrodu i popatrzył na zachód - na pozornie nieprzerwany mur lasu, ale faktycznie przenikając go wzrokiem, aby „ujrzeć” to, co jest poza nim - po czym zamknął oczy i za pomocą mowy umarłych próbował wysondować to, co znajdowało się w oddali. *Przez krótką chwilę zdawał się słyszeć szmer cichych, wystraszonych głosów w czarnym jak smoła wnętrzu...* ale w następnej chwili znikły zarówno głosy, jak i parapsychologicznie odbierane „wnętrze”, a kiedy znów otworzył oczy, ciemność wypełniająca jego umysł ustąpiła miejsca jasności letniego poranka. I Harry doszedł do wniosku, że wie, co się stało.

Bez względu na to, jaki związek istniał między tą leśną istotą a przerażonymi zmarłymi ludźmi - czy był to ich opiekun czy strażnik, choć Nekroskop był pewien tego ostatniego - oraz bez względu na jej fizyczną postać i potęgę metafizycznych zdolności istota ta z pewnością zdawała sobie sprawę z jego istnienia i co najmniej od wczorajszego wieczoru była przygotowana, aby otaczać się osłoną i tłumić głosy swych więźniów przy najmniejszych oznakach jego obecności!

Co do przekonania Harry'ego odnośnie jej natury, teraz najkrótszy kontakt wystarczył, by jego poprzednie na poły ukształtowane podejrzenia zamieniły się w pewność, że istota ta jest z gruntu zła. W chwili jej zniknięcia poczuł, jakby wciśnięto włącznik i zapaliło się światło, które rozproszyło ciemność i oczyściło psychiczną atmosferę ze śladów czegoś obcego i pełnego zepsucia.

A jeśli to nieznanne „coś” nie było złe, Nekroskop zwyczajnie nie wiedział, czym mogłoby być...

Jeszcze raz Harry postanowił podjąć próbę zlokalizowania źródła głosów zmarłych, a jeśli wzywały właśnie jego, nie zaś wołały w psychiczną pustkę, osiągnąłby zamierzony cel. W Kontinuum Möbiusa mógłby ustalić współrzędne głosów równie łatwo jak odnaleźć zagubione dziecko płaczące w pokoju jakiejś wielkiej rezydencji. Jednak obecnie Harry znał jedynie kierunek - najnowszy kierunek - głosów i ich dręczyciela, ale nie znał ich odległości. Musiał ją ustalić metodą prób i błędów.

Opuściwszy ogród tylną furtką i wykonując szereg skoków Möbiusa, znalazł się pod osłoną żywopłotu, około sto metrów na południe od zrujnowanej farmy Bellinghama, gdzie się zatrzymał, aby rozważyć możliwości wyboru. Względna „cisza” metafizycznej atmosfery w żadnym razie nie wskazywała na brak aktywności istot żywych; w pobliżu mogły się znajdować spacerujące pary, wycieczkowicze, a może i leśniczy. A Harry jak zwykle musiał przede wszystkim ukrywać swoje zdolności przed osobami postronnymi.

Może już nadszedł czas, żeby wykorzystać Kontinuum Möbiusa w nowy i trochę niepokojący sposób, o którym myślał od pewnego czasu. Bo, w końcu, w jaki sposób można było lepiej ocenić sytuację, jak nie z lotu ptaka? A jeżeli jakimś cudem obserwator naziemny akurat spojrzy w niebo i jeżeli Harry nie pozostanie w górze zbyt długo - nie żeby to ostatnie było zbyt prawdopodobne, fizyka bowiem, która rządziła siłą ciężenia, nie mogła zignorować jego obecności - mógłby nawet uchodzić za ptaka albo za latawiec, który urwał się z uwięzi.

I bez zbędnych ceregieli wybrał punkt na niebie - faktycznie taki, w którym właśnie zawisł skowronek - i przeniósł się tam za pośrednictwem Kontinuum Möbiusa.

Przez chwilę Nekroskop tkwił nieruchomo w powietrzu, lustrując teren pod sobą gdy jego wzrok przesunął się z północy na południe, wzdłuż wschodniego skraju Hazeldene. Pierwszą rzeczą która przyciągnęła jego uwagę, był samochód policyjny Jacka Foreстера, który podskakiwał na wiejskiej drodze. To podpowiedziało mu, czego jeszcze ma szukać, i następna rzecz, jaką ujrzał - nieco mniej niż dwieście metrów przed samochodem policjanta i znacznie bliżej złowieszczej zieleni lasu, na polu, gdzie droga urywała się na brzegu głębokiego rowu - samotna postać z torbą na ramieniu!

Greg Miller? Bardzo możliwe.

Harry zobaczył to wszystko i teraz spadał, a pęd powietrza wydymał mu spodnie, szarpał koszulę i sprawał, że oczy zaczęły mu łzawić. W takiej chwili każdego zwykłego człowieka przepelniałby strach przed szybko zbliżającą się śmiercią, ale Nekroskop nie był człowiekiem zwykłym. Skupiwszy się na nieustannie zmieniających się egzotycznych równaniach Möbiusa, wywołał drzwi do Kontinuum bezpośrednio pod mknącą w powietrzu własną osobą i wpadł do środka...

W następnej chwili, odzyskawszy równowagę, opuścił Kontinuum Möbiusa, lądując w miejscu o poprzednich współrzędnych, w pobliżu żywopłotu. W sumie cały jego lot trwał dwie lub trzy sekundy, ale w tym czasie Harry zobaczył wszystko, co spodziewał się zobaczyć, przynajmniej na razie, a jego wyjątkowy umysł zarejestrował kilka nowych współrzędnych.

Teraz mógł sobie pozwolić na chwilę beczynności, czekając, aż Miller wejdzie do lasu, po czym podąży tuż za nim, poruszając się skokami Möbiusa. Zdecydowanie wyprzedzi Jacka Foreстера, którego samochód utknął w rowie, i depcząc Millerowi po piętach, skieruje się w stronę swego krótkiego kontaktu z nieznaną istotą. W istocie wydawało się prawdopodobne, że Miller podąży tym samym szlakiem, aczkolwiek w sposób, którego Nekroskop nie pojmował. Może powstał swego rodzaju związek między nim a leśną istotą, czego Harry doświadczył, kiedy po raz pierwszy zdał sobie sprawę z jej obecności. Albo też Miller po prostu kieruje się...

...własnym wyczuciem?!

Znowu bowiem pojawiły się: *ten zapach, ta nieokreślona woń, która była bardziej melancholijnym wrażeniem czy doznaniem, które Nekroskopowi przypominało... ale właściwie co? Wszystkie smutne wydarzenia, które go dotknęły? Wszystkie pełne niepokoju bezsenne noce, jakie były jego udziałem? Wrażenie było takie, jak gdyby słońce przesłoniła ciemna chmura i przygniótł go ciężar całego wszechświata. Ale tym razem Harry wiedział, że to nie jest zbieg okoliczności; wiedział, że to się wiąże z obecnością Grega Millera, Jacka Foreстера i tego czegoś w lesie Hazeldene, a teraz i jego samego. Wiedział też, że jeśli pozwoli temu czemuś przejąć kontrolę, nie wiadomo, do czego może go zmusić. Ponieważ jego życie wydawało się tak całkowicie bezcelowe, kiedy zawisła nad nim ta czarna chmura.*

W taki pogodny, letni dzień?

Bo w głębi serca Harry wiedział, że to jest nieprawda; wiedział, że życie nie jest bezcelowe, że przeciwnie, kryje w sobie głęboki cel, zwłaszcza teraz, gdy był tak bliski odpowiedzi na wszystkie pytania. I znał miejsce, gdzie będzie bezpieczny i wolny od wszelkiego wpływu, jakie ta istota wywiera na niego, prawdopodobnie na Grega Millera i z pewnością na Jacka Foreстера, miejscem tym było Kontinuum Möbiusa, dokąd ta istota, czymkolwiek była, nie będzie w stanie za nim podążyć, skąd będzie mógł ją ścigać aż do końca...

Nekroskop wywołał drzwi do Kontinuum Möbiusa, wpadł do środka i od razu poczuł efekt, a właściwie dwa efekty: ujemną siłę ciężenia w stanie nieważkości wypełniającej Kontinuum oraz uczucie ulgi, wywołane ustaniem działania obcych feromonów, które wyraźnie pchały go do samobójstwa. Potem ogarnął go gniew, gdy zaczął się zastanawiać, kogo miały ugodzić te biologiczne miazmaty: jego, Foreстера czy Millera - a może wszystkich trzech? - i pośpieszył do miejsca o współrzędnych tam, gdzie ten ostatni wchodził do lasu.

I Miller tam był, zastygły w bezruchu, jakby nasłuchując - a może coś wyczuwając? - zaledwie kilka kroków przed nim. Ale kiedy Harry, wyłoniwszy się z Kontinuum, znalazł się w mrocznym lesie, tamten usłyszał trzask gałązek pod jego stopami. Przykucnąwszy, Miller wykonał półobrót, wskutek czego torba, którą miał na ramieniu, podskoczyła, a on sam stracił równowagę.

Kiedy Miller się zachwiał, Nekroskop chwycił jego torbę. Równocześnie wystawił nogę, podcinając tamtego, i obaj upadli na pokrytą liśćmi ziemię. Zacisnąwszy dłoń na ustach Millera, aby powstrzymać jego krzyki, szepnął:

- Cicho! Jestem tu, żeby ci pomóc. Wierzę w twoją historię i myślę, że wiem, co próbujesz zrobić. Ale musimy to zachować w tajemnicy. Nie wiemy, kto czy co nas słucha, a nasz wspólny przyjaciel, Jack Forester, jest niedaleko za nami.

Miller chwycił dłoń Harry'ego i oderwał ją od twarzy. Potrząsnął głową i powiedział:

- Nie, nie wiesz, co robię; nie możesz wiedzieć! Ty tylko przeszkadzasz, a ja jeszcze nigdy nie byłem tak blisko. Więc kimkolwiek jesteś... - Szybko zamrugnął i zmarszczył brwi, wyglądając na zaskoczonego. - ...i chociaż udało ci się iść moim śladem tak cicho, nie wchodź mi teraz w drogę! Dlaczego, do diabła, po prostu się ode mnie nie odczepisz? - Mówił ścisłym głosem, co dla Nekroskopa było wskazówką, jak blisko według Millera się znajdowali.

- Ale blisko czego? - zastanawiał się głośno Harry, co klóciło się zarówno z enigmatycznymi uwagami Millera, jak i jego własnymi myślami. A kiedy tamten znowu potrząsnął głową - tym razem z oczywistym rozdrażnieniem - Nekroskop szybko dodał: - Ja też to wyczuwam! Wyczuwam to, czuję, a nawet wiem, czego to coś chce ode mnie: żebyś się zabił! Ale czym *to*, u diabła, jest?

Na te słowa Miller wybałuszył oczy; w słowach Nekroskopa, w jego głosie, odczytał prawdę. Złapał Harry'ego za przegub, usiadł i sięgnął po swoją torbę. Zamek błyskawiczny otworzył się, gdy torba upadła na ziemię, a jej zawartość stała się widoczna: groźnie wyglądająca piła łańcuchowa i plastikowy pojemnik wypełniony cieczą której charakterystyczny zapach nic pozostawiał wątpliwości. Była to benzyna, paliwo do piły łańcuchowej.

Gniewnie patrząc na Harry'ego, Miller powtórzył jego pytanie:

- Czym to, u diabła, jest? To coś? Do diabła, do czego, jak myślisz, jest mi potrzebna ta piła, co? Co się robi za pomocą piły łańcuchowej?

Harry wzruszył ramionami i odparł:

- Można nią ciąć drewno, a nawet miękki metal, jeżeli tylko ma odpowiednie zęby.

- Metal nie - powiedział Miller, oblizując zaschnięte wargi. Drewno tak... tylko że ja nawet nie wiem, czy to jest drewno!

To znaczy nie rozumiem, jak to jest możliwe, a jednak to wygląda jak... jak pieprzone drzewo! Może nie całkiem, ale jest na tyle podobne, że może cię oszukać, dopóki nie znajdziesz się tuż - tuż. Więc kto wie? Kto wie? Ale Jezu - choć to brzmi zupełnie wariacko i nieprawdopodobnie - *ono pożera ludzkie ciało!*

- Więc nie wiesz, co to jest - powiedział Harry, ledwo powstrzymując dreszcz, kiedy wstał, otrząpiał się z kurzu i pomógł Millerowi się podnieść. - Ale wiesz, gdzie to jest, prawda?

Miller potrząsnął głową.

- Na tym polega kłopot, nigdy nie możesz być pewien. To... to *się porusza!* Powoli, ale się porusza. Powiedziałem im, gdzie to zabiło Janet - gdzie usnęliśmy po tym, jak się kochaliśmy - i gdzie się obudziłem i zobaczyłem, co się dzieje. Wtedy... ono mnie uderzyło, odrzucając na bok, i nieprzytomny przeleżałem tam cały dzień. Znalezione nietknięte odzienie Janet, ale tego czegoś nie. Kiedy to w końcu zrozumiałem... było zbyt późno. Zostałem uwięziony i nikt nigdy nie dał wiary mojej historii. Ale od chwili gdy wyszedłem na wolność, nie przestałem tego szukać. Piła łańcuchowa? Zakopałem na terenie Hazeldene kilka takich pił, więc jakaś będzie w pobliżu, kiedy to znajdę. Drewno? Jasne, one tną drewno. Ale kiedy znajdę to cholerstwo - może to będzie dzisiaj - możesz być pewien, że będę ciął coś innego niż drewno!

Harry usłyszał trzask drzwi samochodu. Odwróciwszy się i spojrzawszy w stronę niewyraźnego skraju lasu, poprzecinanego smugami światła słonecznego, ujrzał Jacka Forestera, który stał z rękami na biodrach obok swego samochodu, po drugiej stronie rowu odwadniającego. Był może o sto pięćdziesiąt metrów od nich i oglądał rów. Najwyraźniej szukał odpowiedniego miejsca, aby jak najłatwiej przedostać się na drugą stronę.

W międzyczasie Miller podniósł swą torbę i ruszył między drzewa, posuwając się szlakiem biegnącym równoległe do granicy lasu, skąd otwarty teren był prawie niewidoczny, przesłaniały go bowiem niskie gałęzie i baldachim liści drzew rosnących na skraju lasu. Idąc za nim, ale starając się unikać stąpania po zeschniętych gałęziach, Harry powiedział:

- Greg, mówiłeś, że nie wiesz, gdzie to jest. Teraz jednak wygląda na to, że jesteś całkiem pewien...

- Tak, a ty mówiłeś, że też to wyczuwasz - szepnął tamten, przerywając mu. - Naprawdę? No więc jeśli o mnie chodzi, nigdy dotąd nie czułem tego tak blisko, jest coraz bliżej! Poznając to i nienawidzę z całej duszy! A co do uczuć, jakie wywołuje, to jest coś w rodzaju zdalnej hipnozy, ale staram się nie zwracać na to uwagi. Skupiając

się na mojej nienawiści, zwyczajnie je zagłuszam! Więc teraz po prostu nie ruszajmy się przez chwilę i spróbujmy wychwycić ten zgniły zapach, dobrze?

Miller przerwał i podniósł palec do ust, a po chwili przyciszonym, drżącym głosem powiedział:

- Tam! Więc jeśli to naprawdę wyczuwasz, powiedz, co o tym sądzisz.

- Wyczuwam to, odkąd zacząłem tego szukać, tego i ciebie

- powiedział Nekroskop. - To jest uczucie, jakby życie nie miało sensu. Miałem tego przedsmak już za pierwszym razem, gdy cię spotkałem po tej utarczce z Jackiem Foresterem. Ale teraz wiem, co to jest, czy raczej wiem, co we mnie wywołuje

- to jest obce mojej naturze - i to mi pomaga z tym walczyć. Z drugiej strony, Forester, pogrążony w bólu, nie wie, nie potrafi tego zrozumieć. I powoli, lecz nieuchronnie to sączy w niego swoją truciznę. Myślę, że działa na niego w ten sposób już od bardzo dawna.

- Tak - przyznał tamten. - Też jestem całkiem pewien, że tak właśnie się dzieje. To sprawia, że nienawidzi siebie samego tak bardzo, że pragnie umrzeć, i dlatego wyładowuje się na mnie.

- Forester ma oczywiście także inne powody - powiedział Harry - a przynajmniej jeden, żeby cię nienawidzić. A to sprawia, że wpływ tego czegoś na jego uczucia jest znacznie bardziej skuteczny. Czuje się jeszcze bardziej bezwartościowy, ponieważ nie może wymierzyć kary, nie mając pewności, że na nią zasługujesz! Trudno się dziwić, że jest tak sfrustrowany i przepełniony gniewem.

Teraz Miller zmarszczył brwi.

- Ty naprawdę to rozumiesz - powiedział. - Ale Harry, ty tego nie widziałeś. Cholera! Możesz o tym mówić, wyczuwać, do czego jest zdolne, ale ty tego nie widziałeś! Ja widziałem to tylko raz, ale to mi się śni co noc. Ponieważ widziałem, co uczyniło. Ponieważ odbierając życie Janet, zrujnowało moje własne. A kto wie, jak wiele innych ludzkich istnień unicestwiło w ciągu lat, dziesięcioleci, stuleci? Może także ojca Janet? Mówiono mi, że przychodził tutaj, szukając jej po tym, jak oskarżono mnie o to, co się stało. Stary Symonds. Biedny stary Arnold...

Harry kiwnął głową.

- To się trzyma kupy - powiedział. - Mam na myśli jego samobójstwo. Ale powinieneś zrozumieć, Greg, że jestem... że jestem niezwykle wyczulony na pewne zjawiska. Takie, które inni uznaliby za co najmniej dziwne. I wiem, że ta bestia, na którą polujesz, nie tylko zabija i pożera swoje ofiary, ale potrafi uczynić znacznie więcej. To może zabrzmieć jak truizm, ale jej ofiary naprawdę spotyka los gorszy od śmierci... który trwa! A ponieważ to dotyczy mnie osobiście w pewien sposób, którego nawet nie będę się starał wyjaśnić, musisz mi po prostu uwierzyć, kiedy powiem, że muszę położyć temu kres. Tak samo jak ty.

- OK - powiedział tamten. - Wierzę ci - głównie dlatego, że nie ma czasu na spory, a zresztą prawdopodobnie będę potrzebował pomocy. Ale powinieneś zrozumieć, że bez względu na to, jak wiele wiesz o tym... o tym *monstrum*, w rzeczywistości go nie widziałeś. Czym to właściwie jest: zwierzęciem, rośliną czy jeszcze czymś innym, któż to wie? Ale jedno jest pewne: jest wielkie i szybkie! Kiedy się zbliża, porusza się może i powoli, ale jeśli zaatakuje, może zabić nas obu w mgnieniu oka! Kiedy to widziałem ostatnim razem - w istocie to był pierwszy i ostatni raz - miałem to szczęście, że udało mi się ujść z życiem, ale biednej Janet nie. Więc jeśli nadal upierasz się, żeby wziąć w tym udział... przynajmniej wiesz, na co się porywamy.

- Dzięki za ostrzeżenie - odparł Harry, usłyszawszy gdzieś z tyłu trzask pękającej gałązki. - Ale Greg, to nie pierwsza niebezpieczna sytuacja, w jakiej się

znalazłem, a nawet nie dziesiąta. Więc bierzmy się do roboty, zanim Jack Forester nas dogoni i wszystko skomplikuje się jeszcze bardziej.

Kiwnąwszy głową na znak zgody, Miller rozejrzył się wokół, po czym pochylił się do przodu, jak gdyby próbując zwęszyć właściwy kierunek. Ale w tej samej chwili, precyzyjnie się przez zwisające listowie, przez które przenikały promienie słoneczne, rozjaśniając ponure cienie, Harry wysunął się do przodu.

- Dlaczego... no dobrze! - powiedział zaskoczony Greg, postępując z tyłu. - Mam wrażenie, że to może być właściwa droga! Ale skąd, u licha...?

- Skąd wiem, że to jest właściwy kierunek? - szepnął Harry, przewidując następne pytanie. - Bo podczas gdy ty to wyczuwasz, ja słyszę, oto, skąd wiem! - Nie była to, ściśle biorąc, prawda, ponieważ słyszał nie leśną istotę, lecz krzyki jej ofiar. Teraz ich głosy docierały do Harry'ego nie w postaci rozpaczliwych szepnięć; brzmiały donośniej i wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem, dzięki czemu Nekroskop w końcu zdołał rzeczywiście usłyszeć i zrozumieć przynajmniej część ich budzących litość protestów.

Nie, nie, już nie! O Boże, nie! Jeszcze jedna niewinna dusza, która podzieli naszą niedolę, wołając bez końca w pustkę! Jeszcze jedna ofiara - albo, co gorsza, ofiary - które zgniją w ciele tej bestii!

Ale co to miało oznaczać? Jeszcze jedna niewinna ofiara, a może więcej niż jedna? Więcej mięsa dla tego monstrum i więcej dusz, które dołączą do uwięzionych, i odtąd będą dzielić ich niekończącą się niedolę? Co dręczyło tych zmarłych, a czego nie wiedzieli ani Nekroskop, ani Greg Miller? Co się miało wydarzyć - i to najwyraźniej tu i teraz - co pobudziło więźniów bestii z Hazeldene do tak szalonego działania?

Włosy zjeżyły się Harry'emu na karku i pomimo ciepłego wypełniającego las nieruchomego powietrza poczuł, jak przez korytarze jego metafizycznego umysłu powiał przenikliwie zimny wiatr. Nagle bowiem zdał sobie sprawę, że nieznana leśna istota już nie tłumi ostrzegawczych i pełnych przerażenia wołań swych ofiar. Teraz oprócz dotąd tłumionych krzyków coraz wyraźniej dało się odczuć podniecenie tego potwora!

Ale w pełnej psychicznego napięcia atmosferze Nekroskop wyczuwał coś więcej niż samo podniecenie. Było to niepohamowane łaknienie, przemożny głód; żądza, jakiej nigdy nie знаła żadna istota ludzka, żądza, która pobudzała dążenie prastarej Istoty do nieśmiertelności, do zachowania gatunku. Widząc, jak Greg Miller nagle podskoczył i zachwiał się na nogach, rozpoznając wyłaniającą się okropność, Harry wiedział, że on także to poczuł.

- Tam! Czujesz to? - Wymawiając te słowa, Miller omal się nie zakrztusił. - Czujesz ten zapach? To ten zapach, Harry - ten zapach, to wrażenie - który poczułem tuż przed tym, jak ten potwór porwał Janet! Tamtego dnia dałem jej pierścionek zaręczynowy; przyjęła go i przez parę krótkich godzin była moja... dopóki nie porwała jej ta bestia. A teraz to się dzieje znowu, Harry! Teraz to się wydarzy znowu!

I Harry wiedział, że tamten ma rację. Pełne niecierpliwości oczekiwanie sprawiło, że Istota porzuciła wszelkie środki ostrożności; jak żarłoczna orka, szarżująca z głębi oceanu na plażę, aby dopaść fokę, Istota była teraz w stanie, w którym zupełnie nie zwracała uwagi na możliwe niebezpieczeństwa. Owo preludium do czekającej ją uczyty, nagląca potrzeba zaspokojenia głodu była tak przemożna, że nie mogło się z nią równać największe ludzkie łakomstwo, a była już tak blisko, że Nekroskop mógł przysiąc, iż czuje, jak w psychicznym eterze bije wielkie czarne serce!

Mniej więcej piętnaście minut wcześniej Alex Munroe i Gloria Stafford - ta sama para, którą Harry i Forester uratowali z kłopotliwej, a nawet niebezpiecznej sytuacji, kiedy zaatakowało ich dwóch miejscowych oprychów - skończyli się kochać w

swej kryjówce, otoczonej jeżynami naturalnej altanie znajdującej się na samym skraju lasu.

W każdy weekend od początku maja i prawie każdego dnia w ciągu ostatnich dwóch tygodni, czyli w czasie corocznego letniego urlopu, kochali się w lesie, przenosząc się z miejsca na miejsce, dopóki w końcu nie odkryli tego odosobnionego zakątka. Wystarczyło, że owiało ich letnie powietrze... a coś ich tu wyraźnie ciągnęło! To była ta niezwykła atmosfera: wzmagający popęd płciowy zapach piżma, świadomość seksualnej potencji; ogarniała ich wówczas taka namiętność, że wyczerpani niezmiennie zasypiali w swych ramionach. I tak też było dzisiaj.

Kiedy znużeni zmysłową rozkoszą ubrali się i zasnęli, zwinięci w kłębek na rozłożonych kurtkach, byli pewni, że są zupełnie sami w tej kryjówce, niewidzialni dla zewnętrznego świata.

Ale dla świata *wewnątrz* lasu - gdzie obecność jednego więcej drzewa z łatwością umknęłaby uwadze ludzkich oczu i gdzie liczne odcienie zieleni pomagały w skutecznym kamuflażu - kochankowie wcale nie byli niewidzialni. Chociaż myśleli, że są sami.

Jakże bardzo się mylili...

I znowu, jak często przedtem, kochankowie weszli do lasu, i znowu byli w tej kryjówce, którą odkryli i uznali za własną, ani przez chwilę nie podejrzewając, że zostali tutaj zwabieni. Albowiem gdyby nie feromony pradawnej Istoty, mogliby nigdy nie wejść w cień drzew i znaleźć to miłosne gniazdko, mogłoby się nigdy nie obudzić wzajemne pożądanie, nigdy nie leżeliby nadzy w swych ramionach.

Afrodyzjak, aby rozpałcić ich namiętność i zwabić do lasu, oraz narkotyki, podobny do opium, aby zasnęli, kiedy będą wyczerpani. To była część arsenału pradawnej Istoty, ale tylko część, którą wykorzystywała tak samo instynktownie jak motyl przyciągający partnera, czy raczej jak pułapka na muchy pokryta lepkiem nektarem. W tym zakresie, to znaczy jeśli chodzi o wydzielanie i wykorzystanie takich trucizn, działania Istoty były równie instynktowne jak oddychanie ssaków, a jedyna różnica polegała na tym, że działała celowo, rozmyślnie i pod tym względem każda jej czynność była dokładnie zaplanowana.

Kolejną bronią był silny środek uspokajający, który trzymał na dystans leśniczych, kłusowników oraz zwykłych wędrowców. Jak tylko pradawna Istota wykryła obecność niepożądanego gościa, jej zwieracze wyrzucały strumień substancji lekkiej jak powietrze, której zapach rozchodził się wokół, odstraszając nieproszonego gościa. Siła działania tego aerozolu była tak wielka, że ludzie czuli się przygnębieni i zniechęceni i dochodzili do siebie, dopiero gdy znaleźli się poza jego zasięgiem. Gdyby wrócili, ryzykowaliby otrzymanie kolejnej dawki złowieszczej substancji, która mogłaby obniżyć ich poczucie własnej wartości do tego stopnia, że mogli nawet popełnić samobójstwo.

Ale teraz, dzisiaj, kochankowie byli w swej kryjówce i pradawna Istota niemal zakończyła swą męczącą, zda się niekończącą się podróż liczącą prawie całą milę. Była to długa wędrówka, ale jako ostatnia przedstawicielka swego gatunku czuła się zobowiązana do doprowadzenia jej do końca — musiała to uczynić - jeżeli jej gatunek miał istnieć po wieczne czasy. Bo choć miliony jej zarodników już prawie pękały, jeszcze nie były dojrzałe i nigdy tego nie osiągną bez specjalnego składnika, którego Istota poszukiwała: krwi żywej istoty ludzkiej. Rozmnażanie się w chwili obecnej - wyrzucenie w powietrze cennych, zarodników tylko po to, aby spoczęły w ziemi, pozbawione płynów niezbędnych do ich przetrwania aż do chwili, gdy ich zwiotczale korzonki rozwiną się wystarczająco, żeby zacząć wysysać soki planety - byłoby równoznaczne z morderstwem. Co gorsza, w wypadku Istoty byłaby to

właściwie eksterminacja! Ale odbierając życie istotom ludzkim, w tym przypadku kochankom... to była po prostu kwestia przetrwania.

A może to nie było takie proste. Bo w wypadku wszystkich form życia niektóre bodźce i motywacje stanowią istotę procesu reprodukcji. U ludzi takim czynnikiem jest seks - cudowna, choć ulotna przyjemność związana z orgazmem — i podobnie, jeśli chodzi o pradawną Istotę, owocem dzisiejszego działania, poza przetrwaniem gatunku, będzie teraz tak niezwykle rzadkie uczucie rozkoszy. Tym razem będzie to najwyższa możliwa rozkosz: przeżycie dające większą satysfakcję niż wszystko, czego Istota zaznała dotychczas, gdy elementy jej ofiar zostaną wchłonięte i spowodują uwolnienie milionów nabrzmiałych zarodników.

Najpierw pradawna Istota upoi się radością płynącą z agonii kochanków, gdy jej spragnione narządy wypiją ich soki. Potem w stanie ekstatycznej euforii obedrze ich ze skóry, rozpuści i pożre ich ciała, a nawet kości. A w końcu, zaspokojona, gdy szkarłatna miazga wypełni jej jestestwo, pradawna Istota oblecze swe członki w zwiotczale, pomarszczone szczątki swych ofiar.

Następnie mając na sobie ich skóry, a ich nieśmiertelne dusze - ich niespokojne duchy - wewnątrz, uwięzi te istoty na zawsze wraz z innymi bezcielesnymi jeńcami! A kiedy jej wyrosłe z zarodników potomstwo zapuści korzenie w leśnej glebie, z czasem zyskując świadomość i dojrzewając, monstrualna Istota w ciągu czasu, jaki jej jeszcze pozostał, może przez wiele stuleci, będzie się radowała „słodkimi pieśniami” czy raczej pełnymi oburzenia krzykami swych ofiar.

Taki był jej plan, marzenie, które żywiła, a teraz nadeszła wreszcie chwila jego spełnienia.

Jej niepowstrzymana wędrówka przez leśną ściółkę - którą orała swymi pięcioma głównymi „korzeniami” czy też stabilizatorami, starannie zacierając za sobą ślady - wreszcie dobiegła końca. Dolne „gałęzie” rozgarnęły ścianę jeżyn, rzucając mroczny cień na parę śpiącą w swej dotąd sekretnej kryjówce. Istota zadrżała w gorączkowym oczekiwaniu, a jej pokryte chityną wąsy z cienkimi jak igła ssawkami rozwinęły się i bezgłośnie zakolysały nad kochankami.

Ach-ch-ch! Gdyby pradawna leśna Istota potrafiła wzdychać, z pewnością była to odpowiednia chwila.

Ale nagle wyczuła...

...intruzów!

A może tylko jednego; tego Istota nie była pewna. Jej rozpalone zmysły były zdezorientowane, ogarnął je zamęt. Tak! To był Poszukiwacz, zimny strumień jego nieprzejednanej nienawiści był wyraźny. Na koniec się zjawił, dogonił starego wroga, potwora, który już nie chciał się z nim bawić w kotka i myszkę. Bo Poszukiwacz zjawił się tutaj w najbardziej nieodpowiedniej chwili. I dlatego miał tu już zostać na zawsze!

Było ich więc troje, trzy ofiary, aby podsyć rozkosz pradawnej Istoty i umożliwić jej rozmnażanie. Wszyscy byli w jej zasięgu, wszyscy byli bezbroni wobec jej szalonych namiętności i różnorodnej broni, jaką dysponowała. Ale ci w tej altance z jeżyn - którzy właśnie poruszyli się na dźwięk rozgniatanego listowia i wołających głosów - będą stawiali najmniejszy opór, muszą więc umrzeć pierwsi.

Ale... wołające głosy? Więcej niż jeden?

Istota, która właśnie miała zaatakować kochanków, zawahała się. Przed chwilą myślała, że wyczuwa obecność tylko jednego intruza. Więc dlaczego teraz powietrze wibrowało krzykami co najmniej dwóch? Dwa głosy wykrzykiwały głośno, ostrzegając kochanków przed wiszącym w powietrzu niebezpieczeństwem! Jeden z tych głosów był na pewno głosem Poszukiwacza, ale jeśli chodzi o ten drugi... czy to mogła być cała grupa głosów uwięzionych dusz wołających spoza

psychicznej bariery? Możliwe, bo teraz, gdy Istota skupiła się na ważniejszych sprawach, jej udręczeni więźniowie mogli swobodniej dać upust swemu przerażeniu.

Więc może to byli oni... ale z drugiej strony może nie.

Na wszelki wypadek pradawna Istota rozpyliła większą ilość feromonów, wypełniając tę część lasu swymi trującymi wyziewami. Niech teraz intruz albo intruzi działają dalej, jeżeli są jeszcze do tego zdolni!

Wydawało się, że przynajmniej jeden z nich tak, bo teraz ten drugi głos w istocie próbował odpowiadać na wołania uwięzionych dusz! I w końcu Istota rozpoznała swego wroga; z tego co wiedziała o rodzaju ludzkim, była to istota wyjątkowa, ten człowiek posiadał zdolności podobne do jej własnych i mógł je wykorzystać znacznie skuteczniej - potrafił się komunikować ze zmarłymi!

Ale jaka to różnica? Wszystko było gotowe i potrzeby pradawnej Istoty musiały zostać zaspokojone. Cokolwiek się wydarzy, musiała zaspokoić głód, przyspieszyć dojrzewanie zarodników i zapewnić rozwój potomstwa. Więc nie wahając się dłużej - zdając sobie sprawę, że coś może pójść nie tak, gdy przemożne pragnienie zamieni się w strach - rozpostarła swe chitynowe wąsy nad budzącymi się ze snu kochankami i zaczęła zdierać z nich odzienie...

Chociaż Harry zetknął się z wieloma okropnościami - będąc świadkiem fantastycznych, potwornych wydarzeń, w które jako Nekroskop był zamieszany - nigdy dotąd nie natknął się na nic podobnego. Niczego takiego nawet sobie nie wyobrażał.

Na pierwszy rzut oka to coś przypominało drzewo, faktycznie, kiedy było nieruchome, prawie nie różniło się od zwykłego drzewa. Ale jego „liście”, przypominające liście dębu, stanowiły w istocie niezwykle wrażliwe czułki: wyczuwały obecność atmosfery oraz innych istot, wykrywały ruch i bliskość rozmaitych obiektów. Jego „pień” pokryty zrogowaciałą powłoką bardzo podobną do kory stanowił ciało, które zawierało wewnętrzne organy. Oprócz stabilizujących korzeni, które umożliwiały poruszanie się i pobierały z gleby pożywienie, istota ta miała w górnej części rodzaj ust, które zamykały się podczas niepogody, ale były otwarte, kiedy piły ciepłe letnie deszcze, a cierniste, pokryte chityną gardło - podczas takich rzadkich okazji - było używane do połykania zupełnie innych płynów...

Jak w wypadku morskiego anemona istotę tę można było łatwo wziąć za roślinę; w rzeczywistości była *hybrydą* rośliny i zwierzęcia, chociaż bardziej przypominała to ostatnie. Stanowiła anomalie, tajemnicą było, jak się tutaj znalazła - jakim cudem tkwiła tu przez niezliczone lata czy nawet stulecia - i tajemnica ta na zawsze miała pozostać niewyjaśniona.

Bo czy ona sama i zarodniki jej od dawna nieżyjącego rodzeństwa zostały przywleczone na Ziemię w ogonie jakiejś pierwotnej komety czy też wyewoluowała tutaj, na tej planecie, w ciągu wielu eonów, plan Grega Millera nie brał pod uwagę żadnych przyszłych badań. I dlatego zabrał ze sobą piłę łańcuchową oraz paliwo do jej zasilania... i to o wiele więcej, niż było potrzeba.

A Harry Keogh już nie wykrzykiwał ostrzeżeń pod adresem młodych ludzi, którzy się obudzili i próbowali się bronić przed atakującymi ich mackami, które zdierały z nich ubranie i właśnie zabierały się do ich ciał, a za chwilę miały ich żywcem obedrzeć ze skóry, jeżeli ta istota nie zostanie powstrzymana. Harry rozpaczliwie pragnął krzyknąć, ale nie mógł, bo był sparaliżowany! Nie strachem, chociaż na pewno się bał, ale sparaliżowany *fizycznie!* Jego bowiem nozdrza i płuca wypełniała mieszanina silnych feromonów; był to nie tylko sam zapach tej istoty, lecz

także stężone koloidalne ciecze, nierozproszone w powietrzu z powodu bliskości napastnika.

Wszystkie te sprzeczne wrażenia ogarnęły go w jednej chwili: nagle potrzeba ucieczki z tego miejsca albo położenia się i zaśnięcia, a może nawet śmierci. A mimo to, paradoksalnie, coś go przemożnie przyciągało do tego miejsca, do tej altanki w kształcie podkowy, niczym żelazne opilki przyciągane przez magnes. I chociaż Nekroskop czuł tak wielkie zmęczenie - naprawdę był śmiertelnie zmęczony życiem - równocześnie, w co trudno było uwierzyć, pożądał tej młodej dziewczyny wśród jeżyn, półnagiej pod mackami drzewopodobnej istoty, które poszarpały jej ubranie na strzępy.

- Na litość boską człowieku! - krzyknął Miller, chwytając Nekroskopa za ramię i próbując go podnieść z kłęczek w miękkiej ziemi. - Weź się w garść, Harry! Nie rozumiesz, chłopie? To wszystko wywołuje właśnie to cholerstwo i teraz dopadło ciebie! Ale dzięki Bogu mnie nie, bo mimo że jest silniejsze niż kiedykolwiek przedtem, jestem przynajmniej częściowo uodporniony. Więc się otrząśnij, Harry. Chyba widzisz, co się tu dzieje.

Opierając się dłońmi o ziemię, żeby się nie przewrócić na bok, Harry zrozumiał, co Miller powiedział, i zaczął się zmagać z własną niemocą z inwazją obcych trucizn, które zaatakowały jego ciało, i w chwilę potem się ocknął - gwałtownie odzyskał przytomność - gdy nagle poczuł, jak ziemia zaczyna mu się poruszać pod dłońmi!

Wtedy, szarpnąwszy się w tył, zobaczył, jak nagle wystrzela w górę chmura pyłu i liści, a spod ziemi wylania się białe, przetykane fioletowymi żyłkami korzeń! Wijąc się we wszystkie strony, stabilizator szukał czegoś, do czego mógłby się przyczepić, co sprawiło, że Harry głośno krzyknął z odrazy, zataczając się, wstał i odsunął od korzenia, który wił się jak oszalały.

Ale Greg Miller się nie cofnął, o nie. Kłęb niebieskawych spalin i głośny warkot piły łańcuchowej świadczyły wymownie o jego zamiarach, gdy stanął obok Nekroskopa i zamasztył ruchem zatopił ostrze piły w ziemi, w miejscu, gdzie wyrzyszał się korzeń. Mruknął z zadowoleniem, gdy udało mu się odciąć trzypopowy kawałek, z którego chlusnęła ciemnozielona, zabarwiona szkarłatem ciecz.

Wtedy sama Istota wpadła w furję z bólu i przerażenia. Jej „gałęzie” trzęsły się jak szarpane potężną wicherą jej wysokie, dwudziestostopowe, butelkowate cielsko chwiała się jak pijane na wszystkie strony; jej bijące na lewo i na prawo chitynowe wąsy cofnęły się z altanki, wijąc się w górze niczym spirala jakiegoś gigantycznego DNA. Zanim potwór zdążył odzyskać panowanie nad sobą Miller krzyknął:

- Tam, Harry - wskazując kolejny korzeń i przecinając go w chmurze fruujących dokoła liści. - Benzyna, człowieku! Użyj benzyny! - Było oczywiście, co miał na myśli.

Kiedy Nekroskop podniósł plastikowy pojemnik, odkręcił zakrętkę, wbiegł pod zielony baldachim „gałęzi” i zaczął polewać pień Istoty, przerażeni kochankowie - zakrwawieni, ale nie zanadto - wybałuszywszy oczy ze strachu, wyczołgali się w podartych ubraniach ze swej niedawnej kryjówki. Stojąc pod młóćącymi w powietrzu „ramionami” Istoty, Harry wylał ostatnie krople paliwa na suchą ściółkę u stóp nibydrzewa, odrzucił pusty pojemnik i zaczął się cofać... i wtedy gwałtownie wijąca się gałąź zwała go na ziemię.

Rozciągnięty na ziemi, ogłuszony i targany mdłościami Harry zwinął się zdezorientowany. Ale był tak blisko rannej, oszalałej ze strachu Istoty, że głosy uwieczonych dusz rozlegały się głośno w jego metafizycznym umyśle.

Prymitywny głos nieokrzesanego myśliwego, ocalałego z ostatniej epoki lodowcowej, którego plemię polowało w tych lasach w czasie, gdy wszystkie drzewa były wiecznie zielone... ochryple krzyki ciężarnej kobiety z roku 2000przed

Chrystusem, a nawet zawodzenie jej nienarodzonej córeczki... wołanie pomalowanego na niebiesko wojownika, śmiertelnie ranionego podczas plemiennych zatargów i porzuconego, a następnie pochwyconego przez pradawną Istotę, zanim dane mu było umrzeć śmiercią naturalną... jęki celtyckiej kapłanki druidów, która faktycznie oddawała cześć temu potworowi, zanim ją uśmiercił... głosy młodych dziewcząt z okolicznych wsi w czasie, gdy Anglia znajdowała się pod władaniem Rzymian... i wiele, wiele innych, a wśród nich pełen słodczy głos dziewczyny z niedawnej przeszłości, dziewczyny imieniem Janet...

Wszystkie te zagubione głosy wykrzykiwały głośno w psychiczny eter swoją niedolę...

Jeżeli istniało jakieś lekarstwo, jakieś antidotum na resztki trujących feromonów pradawnej Istoty, z którymi wciąż walczył układ odpornościowy Harry'ego, z pewnością był nim kontakt z Ogromną Większością. Nekroskop bowiem nigdy nie ignorował jego próśb i także teraz nie zamierzał tego uczynić.

- *Słuchajcie* - zwrócił się do uwieczonych dusz, wiedząc, że w końcu usłyszały jego głos wyrażony w mowie umarłych. - *Zamierzam was uwolnić. A jeśli nie zdołam... prawdopodobnie umrę i dołączę do wasi*

- Harry! - Zbliżył się do niego zgięty w pół Miller, który poruszał się zygzakami, uchylając się przed gałęziami mlóącymi powietrze i wywijając piłą łańcuchową, ciął te z nich, które znalazły się zbyt blisko. - *Zejdź mi z drogi, Harry - krzyknął. - Zaraz podpalę to cholerstwo!*

Trzymając jedną dłonią piłę wysoko w górze, zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu zapalniczki. Ale kiedy ją znalazł i wyciągnął, odcięta, gwałtownie wijąca się macka wytrąciła mu ją z dłoni i zapalniczka upadła na ziemię, znikając w drgającej leśnej ściółce.

- *Psiakrew!* - zaklął Miller, poirytowany. Otoczony mlóącymi powietrze gałęziami i wijącymi się wężami, wrzasnął: - *Harry, znajdź zapalniczkę i użyj jej! Musimy z tym skończyć teraz, więc spał to diabełstwo! Do cna!*

Opadłszy na kolana, pośród wijących się wężów i gałęzi grubych jak jego własne ramię, Harry szukał po omacku we wstrząsanej drganiem ściółce, aż w końcu znalazł zapalniczkę Millera. Ale gdy pod ciosami mściwej piły sypało się na niego coraz więcej szczątków, Nekroskop zobaczył coś, czego miał nigdy nie zapomnieć - coś, w co prawie nie mógł uwierzyć - na widok czego ogarnęły go gwałtowne mdłości. Niektóre poćwiartowane, zwijające się członki tego monstrum, z których wypływała obrzydliwa ciecz, wsiąkając w miękką ziemię... niektóre z nich były pokryte czy też otoczone jak gdyby rękawami...

- *...Ale z czego, na litość boską?*

Harry zobaczył, że chociaż jeden z tych obficie tryskających cieczą fragmentów ściemniał od upływu czasu, jego powłokę stanowiła nie tyle kora co zwierzęca skóra, pokryta bliznami i zabarwiona jakimś ciemnoniebieskim barwnikiem, tworzącym prymitywny, stylizowany wzór, wytatuowany obraz wilka!

Ale... zwierzęca skóra? Nie, to chyba nie to, bo w niezwykłym umyśle Nekroskopa nawet teraz dał się słyszeć gardłowy „głos” - czy raczej bezcielesna myśl wyartykułowana w mowie umarłych - niegdysiejszego posiadacza tej makabrycznej pozostałości.

- *Popatrz na pieczęć* - powiedział głos - *którą nosiłem na moim ramieniu. Jestem bowiem Gar Unkh, który polował na dzikie wilki. Niestety to coś zapolowało na mnie! Ale kim jest ten, który przychodzi mnie uwolnić? Uwolnić od potwora, który zwabił i zabił nie tylko mnie, ale i moich współwięźniów? Bardzo wątpię, czy ci się uda!*

- *Możesz wątpić* - odparł Harry - *ale taki mam plan.* - Co rzekłszy, pokręcił radełkowane kółko zapalniczki, posypały się niebieskie iskry, a po chwili zapłonął jasny, żółty płomień...

...Po czym cisnął płonąca zapalniczkę na przesiąkniętą benzyną leśną ściółkę... i uniósł rękę, zasłaniając twarz, gdy ziemia pod jego stopami niemal eksplodowała!

- Cofnij się, Harry! - krzyknął mu Greg do ucha i trzymając go za kołnierz, odciągnął od rozlewającego się coraz szerzej morza ognia. - Nie możemy już nic więcej uczynić.

Ale jak tylko Nekroskop znalazł się poza zasięgiem płomieni, wyrwał się z jego uchwytu i odkrzyknął:

- Owszem, możemy! Potrzebujemy dowodu, Greg! - Wciąż cofając się przed gorącym, chwycił kilka drgających członków ginącej Istoty i odciągnął je we względnie bezpieczne miejsce, gdzie on sam, Miller i przerażeni młodzi kochankowie stanęli, patrząc na początek końca koszarnej Istoty.

Oszalałe, pełne cierpienia wirowanie jej gałęzi i wąsów, gdy ogień zaczął je pochłaniać; skwierczenie jej gotujących się soków i unoszący się z nich okropny smród, który wcale nie przypominał zwykłego zapachu płonącego drewna lub liści; syczące, przesywające piski sprężonej pary tryskającej z kikutów rozpadających się członków, które zdawały się do złudzenia przypominać dźwięki wydawane przez zwierzęta czy nawet ludzi...

Ale jeśli chodzi o Nekroskopa, ten słuchał czegoś innego. Nie wyimaginowanych czy urojonych śmiertelnych krzyków - ani nawet rzeczywistych, okropnych, wyjących wrzasków tej złej, pradawnej Istoty - ale pełnych ulgi głosów wielu innych. I wszystkie głosy tych dusz, więźniów istoty, która zamknęła je w sobie, dawały upust swej wdzięczności wobec tego człowieka, którego nigdy nie miały okazji poznać czy nawet się dowiedzieć o jego istnieniu. Ale teraz, gdy niebawem dołączą do Ogromnej Większości, dowiedzą się o Nekroskopie.

A drzewopodobna istota, uwalniając dawno zagubione dusze, gdy wreszcie poddała się wobec tego, co nieuniknione, zwróciła się bezpośrednio do Nekroskopa, przekazując mu swe myśli, które zdołał rozszyfrować tylko za pośrednictwem mowy umarłych.

- *Zabiłeś mnie i wszystko to, miało się ze mnie zrodzić. Nigdy więcej nie usłyszę pełnych słodczych smutnych pieśni tych, których istota trzymała mnie przy życiu, a których dusze pielęgnowałam wewnątrz swojej istoty. Teraz umkną mi na zawsze te niewdzięczne, nędzne dusze.*

Nekroskop odparł:

- *Na początku były to po prostu ofiary, które zamordowałaś. Potem stały się twymi więźniami, przepelnionymi lękiem w chłodnej ciemności. Ich „pieśni” były w rzeczywistości krzykami przerażenia, ale chyba dobrze o tym wiesz.*

A ginąca istota powiedziała:

- *Przemierzałam te lasy, kiedy twoi przodkowie byli jeszcze dzikusami. Jestem tutaj od niepamiętnych czasów! Więc dlaczego mnie teraz zabijasz?*

- *Ponieważ jesteś wstrętna i pełna zła* - odparł Nekroskop - *i twój czas dobiegł końca tutaj i wszędzie indziej.* - Te ostatnie słowa wyrzekł z absolutną pewnością w przekonaniu, że dla takiej istoty nie ma miejsca w żadnym życiu pozagrobowym. Ponieważ Ogromna Większość nigdy na to nie pozwoli.

Członki Istoty wysychały, jej oleiste ciało płonęło, rozpływając się. Zachwiało się i przewróciło w stronę Nekroskopa, który cofnął się, gdy poprzez dym i języki ognia ujrział rozdziawione, żarłoczne usta ginącej Istoty. Pobliskie suche jak pieprz zarośla już się paliły, gdy w ostatnim paroksyzmie Istota otworzyła ukryty w swym ciele torebkowaty zasobnik, by wyrzucić chmurę skrzydlatych zarodników. Ze

zwisającymi, zwiotczającymi korzonkami zarodniki przez parę chwil wirowały w powietrzu, po czym ich delikatne skrzydełka pomarszczyły się, a one same opadły na ziemię. Były wielkości ludzkiego kciuka, miały papkowatą konsystencję i już zaczynały się rozkładać.

Trąciwszy butem jeden z zarodników, który pękł jak mokra purchawka, wydzielając obrzydliwy smród, Greg Miller zatkał nos i mruknął:

- Uch! Chryste, co za obrzydlistwo!

Nekroskop i drżący na całym ciele kochankowie, którzy przywarli do siebie, nie mogli się z nim nie zgodzić...

Stłumione trzaskiem płomieni pojawienie się posterunkowego Jacka Forestera pozostało niezauważone, dopóki z tyłu nie rozległ się jego opryskliwy głos:

- Miller, ty cholerny wariacie! I Harry Keogh? - Kiedy wszyscy się odwrócili i popatrzyli na niego, policjant rozpoznał także pokrwawioną parę kochanków, których ubranie zwisało w strzępach. - I jeszcze wy dwoje? - powiedział. - Gloria Stafford i Alex Munroe, prawda? Co, u diabła...?

Ogień rozprzestrzenił się szybko. Wybałuszywszy oczy i potrząsając głową z niedowierzaniem, posterunkowy powiedział:

- Miller, ty głupi sukinsynu! Ty to zrobiłeś? Próbujesz doszczętnie spalić Hazeldene czy co? - Głos mu stwardniał. - Czy też po prostu niszczysz dowody? Czy o to w tym wszystkim chodzi?

Forester sądził bowiem, że tę część lasu podpalono rozmyślnie. I tak rzeczywiście było, choć z zupełnie innego powodu, niż myślał. Ale wciąż miał takie wrażenie, do chwili, gdy okaleczona, tłąca się macka, wijąc się, nie wyskoczyła z płomieni, zahaczyła o jego prawą nogę i omal go nie przewróciła! Kiedy posterunkowy krzyknął z zaskoczenia i strachu, instynktownie próbując się wyrwać, wijąca się macka puściła go i ponownie pogrążyła się w morzu ognia.

Wstrząśnięty, chwiejąc się na nogach, stracił równowagę i dopiero gdy Miller złapał go i przytrzymał, znowu popatrzył na ogień i zobaczył poczerwiałe, drgające w płomieniach gałęzie, skutek mimowolnych odruchów topiącego się układu nerwowego pradawnej Istoty albo rozszerzania się płynów ustrojowych w straszliwym gorącu. Ponieważ sama Istota - czy też centralne zwoje nerwowe, które stanowiły jej mózg - były już z pewnością martwe.

Posterunkowemu opadła szczęka. Po chwili powiedział:

- Co, u Boga Ojca...? - Ale nagle zaschło mu w ustach, więc tylko potrząsnął głową i jego pytanie zawisło w powietrzu...

...Dopóki Greg Miller nie dokończył za niego.

- *Nic*, u Boga Ojca! - warknął, przyciągając Forestera bliżej. - To nie ma zupełnie nic wspólnego z Bogiem, Jack. Ale teraz gdy zobaczyłeś *to* na własne oczy, chyba rozumiesz, co *to* mi uczyniło. A właściwie nam obu.

Forester znów potrząsnął głową... jakby niedowierzająco? Ale Nekroskop zignorował to. Pokazał posterunkowemu jedną z odciętych „gałęzi” wyciągniętą z ognia; tę samą, na której widniał prymitywny „tatuaz” przedstawiający głowę wilka na tle blizn po samookaleczeniu się, którą pradawna Istota przez długie stulecia trzymała jako trofeum.

- A teraz powiedz mi, Jack - powiedział - co o tym sądzisz.

Foresterowi znowu opadła szczęka, a Miller zachwiał się na nogach i jęknął, po czym pochylił się, żeby podnieść drżącymi dłońmi jeden z uratowanych przez Harry'ego fragmentów.

- Patrz! - wykrztusił, pokazując posterunkowemu to, co zauważył. Nekroskop także spojrział i w pierwszej chwili nie zobaczył niczego, co miałyoby dla niego jakiegokolwiek znaczenie, dopóki wyraz zrozumienia na przerażonych twarzach dwóch dawnych wrogów nie dopowiedział mu reszty.

- Zna-znamię! - wyjąkał Forester z najwyższym trudem. Miał rację: wypukłą, ciemnoczerwoną, czterolistną koniczynę - naturalną skazę czy też znamię - było wyraźnie widać na osmalonym kawałku ludzkiej skóry pokrywającej odciętą kończynę istoty.

- Tak, to znamię Janet - zachrypniętym szeptem potwierdził Miller. - Miała to po wewnętrznej stronie prawej łydki, jakieś dwa czy trzy cale poniżej kolana.

- Wiem! - wychrypiał policjant. - Janet zawsze zdawała sobie sprawę z tego znamienia, nawet jako dziecko w szkole, gdy w piątkowe popołudnia brała lekcje pływania. Pamiętam! Och, dobrze to pamiętam! Byłem w starszej klasie, ale wszyscy pływaliśmy w tym samym basenie razem. Biedna Janet! Siadała na brzegu basenu, próbując zakryć to nieszkodliwe, małe znamię. O Boże! O Boże! Jak daleko sięgam pamięcią, zawsze... zawsze...

- Kochałeś ją, wiem - załkał Greg Miller. - Ale to ja - ja byłem tym, którego Janet pokochała - a ty od tego czasu kazałeś mi za to płacić. Teraz wszystko skończone i to na zawsze! Niech cię diabli, Forester! - Nagle uderzył policjanta zaciśniętą pięścią powalając go na ziemię.

Dotykając rozciętej, krwawiącej wargi, Forester zerwał się na nogi, potrząsnął głową i wymamrotał:

- Po tym co wycierpiałeś, chyba mi się to należało.

- Należy ci się o wiele więcej - warknął Miller, zbliżając się do niego.

Ale wtedy wkroczył Nekroskop.

- Wystarczy. Teraz powinniśmy wrzucić resztę tego świństwa w ogień. - Szybko obróciwszy się, z rozmachem cisnął fragment z pieczęcią prehistorycznego myśliwego w płomienie.

- Ależ to dowód! - zaprotestował Forester.

- Czego? - powiedział Miller. - Twojej głupoty? I wszystkich, którzy nazywali mnie szaleńcem i uznali za winnego? Naprawdę chcesz odgrzebywać to znowu? Ja nie chcę już dłużej być w centrum zainteresowania! Uważam, że Harry ma rację: powinniśmy to zakończyć - wszystko - tu i teraz.

- To znaczy ukryć prawdę? - Forester się wahał. - Po tym, jak tropiłeś to przez tyle czasu? Kiedy to cię kosztowało tak wiele? Nie pojmuję.

- Zrobiłem to dla Janet - powiedział Miller zachrypłym od dymu, przerywanym głosem. - Mogę się stąd wyprowadzić tam, gdzie nikt mnie nie zna. Uczyniłbym to już dawno, tylko że musiałem najpierw to zrobić. A teraz... no, jest po wszystkim. Ale jeśli chcesz o tym zameldować, proszę bardzo. Wtedy ludzie powiedzą, że jesteś jeszcze bardziej szalony niż ja, zwłaszcza że nie będzie żadnych pieprzonych dowodów!

Wciąż łkając, szybko się obrócił i cisnął gałąź ze znamieniem swej utraconej miłości w sam środek ognia...

Harry rzekł, zwracając się do Forestera:

- Masz w samochodzie radio?

- Tak, oczywiście. - Policjant otrząsnął się jakby z głębokiego snu.

- Więc wracaj do samochodu i użyj go - powiedział Harry. - Niech przyślą tutaj kilka wozów strażackich, zanim to wszystko zupełnie wymknie się spod kontroli.

Forester skinął głową i skierował się tam, skąd przyszedł. Ale młody Alex Munroe zawołał za nim:

- A co z nami?

Policjant spojrział na drżącą dwójkę; odzienie obojga było w strzępach, byli umazani krwią, a ciała mieli pokryte skaleczeniami i zadrapaniami. Mieli szczęście, bo rany w większości były niegroźne, wymagały jednak interwencji lekarza. Zwracając się do Harry'ego, Forester spytał:

- Właśnie, co z nimi? Oczywiście mogę wezwać karetkę, ale co potem?

Nekroskop potrafił szybko znaleźć odpowiedź i wymyślić alibi.

- Zobaczyli pożar - powiedział - i poszli, żeby to sprawdzić. Ale dostali się między ogień i jeżyny i podrapali się, przedzierając się przez las. Jeżynowe ciernie mogą zupełnie podrzeć ubranie...

I zwracając się do młodych ludzi - a właściwie do dziewczyny - zapytał:

- Czy to brzmi dla pani sensownie? A może wołałaby pani, żeby wszyscy dowiedzieli się, co naprawdę robiliście w tym lesie?

Pochyliła się w jego stronę.

- Nie wstydzimy się tego, że się kochamy, panie Keogh! - Ale po chwili, zerknąwszy na Alexa Munroe i widząc, jak kiwnął głową znacząco, mówiła dalej: - Jednak... pańska propozycja to prawdopodobnie najlepsze wyjście, hm, Harry? I jesteśmy bardzo radzi, że był pan tutaj i uratował nas pan po raz drugi!

Po czym ruszyli w stronę pobliskich pól.

- Co to było? - zapytał Munroe nikogo w szczególności, kiedy cała piątka stała już w bezpiecznej odległości od miejsca zdarzenia, patrząc, jak nadjeżdżają wozy strażackie i ich załogi gramolą się na zewnątrz, aby opanować pożar, który dotychczas strawił ponad dwa i pół akra lasu.

- To było coś... z kosmosu - odpowiedział Nekroskop. - Zwabiło was do lasu, do miejsca, gdzie mogło dokonać swego nikczemnego dzieła, pozostając niezauważone, nieznane. To była bardzo stara istota - równie stara jak te wzgórza i ostatni przedstawiciel tego gatunku - okropność spoza czasu, która mogła was albo wystraszyć, albo wciągnąć do tej pułapki, a następnie uspić i zabić. A może sprawiłaby, że zabilibyście się sami! - Tu spojrział znacząco na Jacka Forestera.

- Stary Arnold Symonds? - Posterunkowy wiedział, że tak właśnie było.

- Tak sądzę - powiedział Harry.

Forester kiwnął głową.

- A ja mogłem być kolejną ofiarą. Strach pomyśleć.

A Greg Miller, już znacznie bardziej opanowany, powiedział:

- Ja także mogłem się zabić. I prawdopodobnie tak by się stało, chociaż wydaje mi się, że byłem w zasadzie odporny na wpływ tego potwora. To moja nienawiść czyniła mnie odpornym; nie mogłem się zabić, zanim przynajmniej nie spróbuję zabić tego diabelstwa! Ale wiecie, myślę, że ono chyba zdawało sobie sprawę z mojego istnienia. Czulem, że prowadzi ze mną jakąś grę!

Wskazując niedaleki pojazd, który wzbijał na drodze tumany kurzu, Gloria Stafford powiedziała:

- Myślę, że to karetka.

A Harry zapytał:

- Wiecie oboje, co powiedzieć?

Alex Munroe odpowiedział za ich oboje:

- Byliśmy na spacerze i postanowiliśmy sprawdzić, co oznacza w lesie ten słup dymu, i zobaczyliśmy, że to pożar. Wpadliśmy w panikę, zaplątaliśmy się w zarośla pełne jeżyn i tak dalej.

- Nigdy więcej nie będę się czuła bezpieczna w cieniu drzewa - powiedziała dziewczyna. - I wiem, że zawsze będę miała koszmary.

- I ja także. - Munroe otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. - Ale kiedy zaczną nas dręczyć koszmary, zawsze będziemy mieli siebie. - Dziewczyna uśmiechnęła się do niego blado.

- I o to chodzi - powiedział Forester. - Już po wszystkim. Miller jedynie kiwnął głową a Harry powiedział:

- Na to wygląda. - I tak to się skończyło.

...Przynajmniej dopóki młodzi kochankowie nie odjechali, bo wtedy stało się jasne, że Miller ma od pewnego czasu umysł zaprzątnięty czymś jeszcze. Nagle obrócił się do Nekroskopa i zapytał:

- Kim ty jesteś, Harry? Nie chodzi mi o twoje imię, ale - sam nie wiem - o coś więcej? To znaczy kim ty naprawdę jesteś?

A posterunkowy Jack Forester szybko mu przytaknął. - Tak, czuję w stosunku do ciebie to samo, od czasu gdy cię ujrzałem po raz pierwszy, kiedy miałeś do czynienia z tą parą miejscowych nicponi. Więc kim ty właściwie jesteś, Harry?

- Nikim ważnym - powiedział Nekroskop. - Po prostu wiem to i owo, to wszystko. Można powiedzieć, że wyczuwam to, czego inni nie potrafią. To właśnie robię. I czasami to się przydaje, tak jak tym razem. To znaczy jeżeli mogę ludziom pomóc, uspokoić ich, to wystarcza. - *Zwłaszcza gdy są to zmarli, którzy tylko do mnie mogą się zwrócić* - dokończył w myśli.

- Nie wierzę - powiedzieli Miller i Forester niemal jednocześnie. A policjant dodał: - Jestem pewien, że jesteś kimś znacznie więcej, ale niech mnie diabli, jeśli potrafię cię rozgryźć!

A Greg Miller powiedział:

- Przypuszczam, że na tym musimy poprzestać. Ale tak czy owak niezależnie od tego, kim czy czym jesteś, jestem ci winien podziękowania, Harry.

- I ja też - powiedział posterunkowy, skinąwszy głową...

Kiedy Nekroskop został sam, przemówił do matki, która wiedziała już sporo o tym, co się wydarzyło. Oczywiście dowiedziała się o tym od nowo przybyłych, którzy już dołączyli do Ogromnej Większości.

- *To zupełnie fantastyczne, to, czego dokonałeś, Harry* - powiedziała. - *Ale naraziłeś się na niebezpieczeństwo... znowu!* - Harry wyczuł jej bezcielesne zmarszczenie brwi.

- Zrobiłabyś to samo, mamó - powiedział. - Wiesz, że tak, gdybyś tylko mogła. I oczywiście teraz wiem, dlaczego nie mogłaś znaleźć żadnych informacji na temat tej dziewczyny: jej po prostu nie było wśród was - nie dołączyła do Ogromnej Większości - nie mogła, bo była uwięziona wraz z innymi wewnątrz tej istoty.

Jednak wyczuwając, że matka nadal marszczy brwi i zanim znowu zdążyła go skarcić, szybko ciągnął dalej:

- Mamó, nie będę się z tobą spierał; po prostu dopytuję się o nowo przybyłych, to wszystko. Bo niektórzy z nich byli więzieni przez tę istotę bardzo długo.

- *Istotnie* - odparła - *i bardzo cierpieli. Ale najstarsi z nich*

- *którzy już dawno powinni byli się znaleźć wśród nas - teraz już tu są. Dzięki tobie, synu, wszystko dzięki tobie.*

- Nie wszystko - odparł Harry, potrząsając głową pełen pokory wobec matki i niezliczonych zmarłych. - Tym razem ktoś mi pomógł: Greg Miller. Zresztą nie szukałem nagrody, mamó.

- *Och, wiemy to, synu* - powiedziała, ale mimo to jej „głos” był przepełniony dumą.

- A co z tą dziewczyną Janet? - spytał Harry.

- Jest teraz ze swoim ojcem - odparła. - Już dawno wybaczyliśmy mu to, co uczynił, bo ten biedak tak bardzo cierpiał. Jak wiesz, krzywo patrzymy na samobójców, bo jeśli ktokolwiek wie, jak cenną rzeczą jest życie, to z pewnością członkowie Ogromnej Większości! Ale mimo to go przyjęliśmy. Cóż innego mogliśmy uczynić? Był tak... niezrównoważony. Ale teraz gdy są razem, uważamy, że poczuje się o wiele lepiej.

Harry wiedział, że matka wyczuje jego kiwnięcie głową, kiedy powiedział:

- Tak, i to naprawdę nie była jego wina. Absolutnie nie. Arnold Symonds został sprowokowany do tego, co uczynił, przez tę leśną istotę. Teraz to chyba rozumiecie, prawda?

- Istotnie - odpowiedziała. - Więc już nie musisz tym się niepokoić, synu. Ani w ogóle niczym. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Mając poczucie satysfakcji i spełnienia, Nekroskop skinął głową i podjął swoją samotną wędrówkę...

Harry i piraci

Tego ponurego dnia w połowie września Harry Keogh, Nekroskop, wrócił z cmentarza w starym przemysłowym mieście Hartlepool, zaledwie siedem czy osiem mil od wioski na północno-wschodnim wybrzeżu Anglii, gdzie dorastał pod opieką ciotki i wujka. Jednak stwierdzenie, że z Hartlepool wiązało się wyłącznie hutnictwo stali i budownictwo okrętowe - co pasowało do jego zapomnianej, choć nie tak dawnej przemysłowej przeszłości - nie biorąc pod uwagę historycznego kontekstu, byłoby niesprawiedliwe.

Faktycznie w najstarszej dzielnicy miasta - małym, zniszczonym porcie, leżącym po zawietrznej stronie mierzei, często nawiedzanej przez wiatry, która stanowi najdalej na północ wysunięty punkt miasta - Nekroskop wcześniej rozmawiał z Wikingiem, żeglarzem i rabusiem, w czasach którego miasto to było znane jako „Hjartapol”. Znał je, napadał na nie i kilkakrotnie nawet splądrował... ale o jeden raz za dużo.

Erik Haroldson - niegdyś zwany „Sternikiem-z-Blizną” z powodu wielkiego, białego śladu topora, który biegł nad jego prawym okiem - opowiedział Harry'emu taką oto historię.

- Tak, napadaliśmy na Hjartapol, a także na Scardaborg — który Harry odczytał jako współczesny Scarborough - i wiele innych portów leżących na tym wybrzeżu, jeśli tylko mieliśmy chrapkę na bogaczy i pulchne, lubiące się zabawić kobiety! Napadaliśmy na wszystkich! Sam widok pirackiego statku wywoływał panikę i szaleńczą ucieczkę tak wielu ludzi, że wyludniały się całe wioski i mogliśmy plądrować do woli! Wszędzie budziliśmy strach, od końca do końca całego wschodniego wybrzeża, a nawet na północ od Wielkiego Muru [Muru Hadriana]. Rabowaliśmy okolice zatoki północnej [Pentland Firth] i na południu, aż do zachodniej flanki, jeśli tylko zaniósł nas tam nasze wiosła i wiatry. Ha! Myślałeś, że ludzie zwą nas „Ydryargi” [Podróżnikami] bez powodu? Żeglowaliśmy, gdzie mieliśmy ochotę i ani ludzie ani morskie bestie nie były w stanie nas zatrzymać!

Ta chełpliwa, pewna siebie przemowa, była w oczywisty sposób obliczona na to, aby wywrzeć jak największe wrażenie.

- No cóż, najwyraźniej ktoś musiał was zatrzymać - zauważył Harry, po czym rozmyślnie ziewnął - bo inaczej nie siedziałbym teraz na tym nadmorskim wale, zanudzany na śmierć twoimi pełnymi przechwałek historyjkami, podczas gdy twoje obgryzione przez kraby kości leżą zagrzebane w szlamie na głębokości trzech sążni!

Było to bardzo niezwykle zachowanie ze strony Nekroskopa, który tego ranka najwyraźniej, jak to mówią „wstał z łóżka lewą nogą”, bo normalnie, rozmawiając ze zmarłymi, Harry był pełen współczucia. Albo może po prostu był znużony i rozczerowany. Bo tak naprawdę kogoś szukał - faktycznie dwóch osób - z których jedną kiedyś kochał, a drugą chciałby poznać lepiej i może nauczyć się kochać, ale znowu, tak jak poprzednio, nie udało mu się znaleźć po nich najmniejszego śladu. Było tak, jakby w ogóle znikli z tego świata.

Kilka lat wcześniej Harry i jego prawdziwa miłość - jego ukochana z czasów chłopięcych, która później została jego żoną, zwykli tu przychodzić, idąc wzdłuż pokrytego pyłem węglowym piaszczystego brzegu z Harden do Old Hartlepool, a potem piętrowym autobusem wracając do domu. Ten długi spacer często zajmował im cały dzień, ale dostarczał także okazji, by mogli się kochać wśród porośniętych trawą wydm i podczas jednego z takich wydarzeń jego ukochana zaszła w ciążę. Wtedy nastąpiła przemiana Harry'ego w Nekroskopa - kogoś budzącego lęk, kogo Brenda uważała za obcego - a następnie ona sama i małe dziecko po prostu zniknęły.

Teraz, gdy tylko czas na to pozwalał, Harry ich poszukiwał. W ten sposób znalazł się tutaj, na tym starym nadmorskim wale, w najstarszej części miasta: częściowo powodowany nostalgią, ale głównie nadzieją - aczkolwiek ta nadzieja powoli, lecz nieubłaganie słabła - że w tym ulubionym miejscu ich dawnych spotkań może się czegoś dowiedzieć o Brendzie i swoim synu. Niestety nadzieja znów go zawiodła, a na domiar złego wdał się w rozmowę z tym dawno zmarłym, chełpliwym, bezdusznym i zatwardziałym wikingiem, Erikiem Haroldsonem.

Jego myśli były najwyraźniej „słyszalne” dla martwego wikinga - oraz dla jego załogi, która zginęła wraz z nim - i Erik był tym nieco zaskoczony.

- *Obiło mi się o uszy, że jesteś przyjacielem zmarłych* - warknął w umyśle Harry'ego. - *Teraz jednak wysmiewasz się z mego zimnego, wodnego grobu i obrzucasz mnie wyzwiskami! I gdybym był żywy, myślę, że twoje uwagi nie byłyby tak nierozważne.*

- *Ba!* - odparł Nekroskop pogardliwie. - *Gdybyście, ty i twoi ludzie, żyli w tych czasach, w moich czasach, jest więcej niż prawdopodobne, że skończylibyście na szubienicy albo w najlepszym razie dostalibyście dożywocie! W naszym świecie już nie tolerujemy barbarzyńców, Sterniku-z-Blizną.* - *Była to nie do końca prawda, ale dla podkreślenia tego, co powiedział, Harry odrzucił głowę do tyłu i jadowicie wykrzyknął: - Ha!*

- *Dlaczego... ty... ty!* - wiking z wściekłości nie mógł wydobyć z siebie głosu, a jego załoga ryknęła śmiechem; ta sama załoga, której statek stanął w płomieniach, zmuszając ich do skoku w morskie odmęty, gdzie utonęli, zaplątawszy się w rybackie sieci; załoga, która nigdy się nie odważyła śmiać ze swego wodza w owych dawno minionych czasach, kiedy wszyscy jeszcze żyli.

- *Niech cię piekło pochłonie, Nekroskopie!* - wykrzyknął Wiking.

- *Kto wie?* - odparł Harry. - *Rzeczywiście mogę tam skończyć! Ale jeśli chodzi o ciebie, Sterniku-z-Blizną, wiem coś niecoś o śmierci i mogę ci powiedzieć, że jest mało prawdopodobne, aby tacy jak ty kiedykolwiek ujrzeli Valhallę! Bo w końcu kim wy właściwie byliście, mimo twoich przechwałek? Bandą podłych żeglarzy, to wszystko. Żadnych krwi, okrutnych piratów!*

- *Ach-ch-ch!* - W metafizycznym umyśle Harry'ego zabrzmiał głos, którego przedtem nie słyszał, wyraźnie przeniknięty cierpieniem. - *Szkoda, Nekroskopie, że kogoś takiego nazywasz „piratem”. Bo jeśli on jest piratem, kimże jestem ja sam? Czy jestem w niełasce, będąc kimś, kto powiedział i uczynił ci coś przykrego? W takim razie to wielki wstyd, bo zapewniano mnie, że ponieważ sam jesteś swego rodzaju gawędziarzem, cenisz sobie ciekawe opowieści. A ja mam do opowiedzenia taką właśnie historię, to jest jeśli nie masz nic przeciwko rozmowie z „piratem”. Ale, uważasz, prawdziwym piratem, czy wyrażając się dokładniej: korsarzem, odległym nie tylko w czasie, lecz także jeśli chodzi o wychowanie, od tych wikińskich szumowin, które dawno temu zaśmiecały wasze porty.*

- *Co? Co ty tam gadasz?* - ryknął Erik Haroldson. Usłyszawszy bowiem za pośrednictwem umysłu Nekroskopa coś niecoś z tego, o czym mówił ten nieznajomy, poczuł się podwójnie znieważony. Ponadto i co gorsza, wyczuł, że uwaga Harry'ego odwraca się od niego, i wiedział, że za chwilę żaden żywy człowiek nie będzie już z nim rozmawiał.

- *Co?* - nie przestawał wrzeszczeć. - *Czy trzymasz psa po to, żeby szczekał, Harry? I opowiadał historyjki? Posłuchaj mojej rady, Nekroskopie, i trzymaj tego szczeniaka krótko przy pysku. Posłuchaj mnie, bo mam wiele własnych historii do opowiedzenia - o sztormie i morzu i pładrowaniu miast - a także znam pieśni, które będą śpiewane w Valhalli! Bo widzisz, mam do tego drug.*

Wiedząc, że Wiking to wyczuje, Harry pokręcił głową.

- Może masz do tego dryg, Erik, ale twoją naprawdę mocną stroną jest blef i fanfaronada. A jeśli chodzi o Valhallę, czy cię nie zastanawia, że jeszcze was tam nie ma? Minęło tysiąc lat, a wy wciąż jesteście tutaj, tkwicie w tym mule. Sprawa wydaje mi się zupełnie oczywista: nie ma ani jednej Walkirii, która przyszłaby z pomocą takim jak wy. Bo choć jestem pewien, że istnieli dumni wikingowie, przeciętni wikingowie i pośledni wikingowie, jestem także pewien, że wy musieliście być jednymi z najmarniejszych! I już nie jestem wami zainteresowany.

Po czym zamknął rozwścieczonemu Erikowi dostęp do swego umysłu i skierował uwagę na przybysza, zdeklarowanego pirata, którego głos dochodził z niewielkiej odległości.

- Mówiłeś, że mamy wspólnego znajomego?

- *Istotnie!* - odparł tamten. - *Poradził mi, żebym z tobą nawiązał kontakt, i wyjaśnił, iż obiecałeś, że wrócisz i od czasu do czasu z nim porozmawiasz. Muszę tylko poczekać, aż znajdziesz się bliżej, powiedział, i wówczas ja także będę mógł z tobą pomówić. Teraz jednak widzę, że nie chcesz tracić czasu na głupców, skoro tak szybko odprawiłeś tego wikinga. No cóż, teraz jest nas dwóch, i masz moje słowo, że nie będę marnował twego czasu.*

Nekroskop był zaintrygowany.

- I ten wspólny znajomy powiedział, że jestem... jak to określiłeś, gawędziarzem? - Oczy Harry'ego na chwilę się zwięziły, po czym otworzył je szeroko, bo nagle zrozumiał. I w końcu uśmiechnął się.

- Aha! I powiedział ci także, że potrafię słuchać, prawda? W takim razie chyba go znam. W czasach, w których żył, był wielkim kobieciarzem, siedemnastowiecznym rozpustnikiem, który opowiedział mi swoje przygody miłosne, abym mógł im nadać formę sensacyjnej powieści, tak zwanej „fikcji literackiej”. Był synem hrabiego - i czarną owcą w swojej rodzinie, która ostatecznie go przepędziła - a jego życie zostało tragicznie przerwane, gdy pewien oburzony mąż strzelił mu prosto w serce. Ale nigdy nie słyszałem, żeby się na to uskarżał; mam wrażenie, że uważa, iż dostał to, co mu się należało! A biorąc pod uwagę niektóre wydarzenia, o których mi opowiedział, ja też tak sądzę! Spójrzmy prawdzie w oczy: raczej nie był filarem społeczeństwa, prawda? To był skończony drań!

Harry przerwał, po czym - zdając sobie sprawę, że tamten chłonie każde jego słowo - wzruszył ramionami i dokończył: - Ale co tam! Mimo wszystko jesteśmy przyjaciółmi...

- *Święta racja, Nekroskopie!* - powiedział tamten. - *Henry Thomas Buckfast to był sympatyczny łobuz... był nawet uczonym, choć, hm, rozpustnym, jeśli zwykły „pirat” może sobie pozwolić na uwagę tego rodzaju. Henry i ja pochodziliśmy z zasadniczo różnych warstw społecznych, ale żyliśmy w tym samym czasie i spoczywamy na tym samym cmentarzu, mamy więc ze sobą coś wspólnego i dlatego wiem, że będzie mi go brakowało...*

- Co takiego? - Nekroskop nagle zmarszczył brwi. - Co ty mówisz? - W jego głosie, który pirat „słyszał” w postaci mowy umarłych, a która często potrafi wyrazić więcej niż słowa, brzmiało wyraźne zaskoczenie i zaniepokojenie. - Mówisz o nim w czasie przeszłym, mówisz, że będzie ci go brakowało? Więc już go tu nie ma? Ale czekaj! Nie musimy rozmawiać na odległość, wiem dokładnie, gdzie jesteś i mogę do ciebie przyjść.

Postawiwszy kołnierz, żeby zasłonić się przed falami zacinającego deszczu, który nagle lunął, Nekroskop zszedł z pokrytego mchem kamiennego wału nadmorskiego, szybko ruszył brukowaną ulicą i ukrył się pod łukowatą bramą wykutą

w murze szarego ze starości kamiennego budynku. I nie tracąc czasu, niewidoczny dla nikogo, „uruchomił” ezoteryczne wzory Möbiusa, wywołując drzwi do Kontinuum.

Przemieszczenie było natychmiastowe, kiedy przekroczył próg, przechodząc z mrocznego portu w zupełną ciemność przestrzeń metafizycznego Kontinuum Möbiusa - a następnie pojawił się w znajomym, niemal równie ponurym miejscu, na cmentarzu, pod filarem stanowiącym fragment wysokiego, kamiennego muru. Ten stary cmentarz, który Harry znał tak dobrze, był naprawdę posępnym miejscem, ale...

- ...Przynajmniej tutaj nie pada! - pogratulował sobie cierpko.

I tak Nekroskop przybył do miejsca, z którym wiązało się tak wiele wspomnień: mnóstwo z okresu, kiedy studiował w wyższej szkole technicznej w samym sercu miasta, może o milę stąd, a jeszcze więcej z okresu - który minął o wiele za szybko - gdy poślubił Brendę i zamieszkali razem... o tam, niedaleko.

Wszedłszy na ścieżkę, strząsnął kropelki wody z płaszcza, opuścił kołnierz i popatrzył w górę, na stojący po drugiej stronie cmentarnego muru trzypiętrowy wiktoriański dom, w którym kiedyś mieszkał na poddaszu. W tym maleńkim mieszkanku pisywał opowiadania... opowiadania, których autorami byli w rzeczywistości inni, ale już nie mogli ich sami spisać. Historie zmarłych ludzi, jego przyjaciół...

Szybko otrząsnął się z ponurej zadumy. Miał przecież także przyjaciół, którzy wciąż żyli. No, zaledwie kilku. Jimmy Collins, szkolny kolega z Harden - z którym przyjaźnił się do dzisiaj - i oczywiście Brenda. Stary Jimmy nadal mieszkał w Harden, ale co do Brendy i dziecka, miejsce ich pobytu pozostawało tajemnicą.

I chociaż tym razem myśli Harry'ego już nie były ponure, znów odpędził je od siebie. Zaduma bowiem, nostalgia i pogrążanie się w żalu - rozpamiętywanie, jak szybko biegł czas i minęła jego młodość... szybciej niż dla większości ludzi, bo jego ciało było starsze od jego umysłu - tego rodzaju introspekcja zupełnie nie leżała w jego naturze.

Nie, to po prostu fakt, że znów był tutaj, tak blisko miejsca, gdzie wszystko się zaczęło. Tutaj ostatecznie uformowały się jego zdolności parapsychologiczne, opanował je i nauczył się wykorzystywać najpierw podczas zadań związanych z jego osobistą zemstą a następnie w bezpośredniej wojnie z potomstwem potwornych istot z równoległego wszechświata - świata wampirów!

Odtąd... odtąd... utracił tak wiele! Przede wszystkim żonę i dziecko. A mimo to... mimo to...

- Niech to diabli!

Nekroskop znowu uciekł od tych myśli. I może dobrze, że je odpędził. Za dzień lub dwa znowu ruszy do domu, do Edynburga i swej nowej miłości - a przynajmniej kogoś, kogo miał nadzieję pokochać - ponieważ mimo że przez długi czas był panem samego siebie, niemal równie długo był „małym” Bonnie Jean! A B.J. potrafiła postawić na swoim - i jak to powiedzieć? - „odzyskiwała” go, bezzwłocznie wzywając do domu. Nie wspominając o innych jej sztuczkach, które sprawiały, że Harry zapominał o całym świecie, poza jej słodkimi ustami i ponętym ciałem.

Więc jeśli miał zamiar wysłuchać tej historii, którą chciał opowiedzieć mu ten pirat, mógł równie dobrze uczynić to teraz, ponieważ nie wiadomo było, jak długo tu zostanie. Jednak najpierw chciał znaleźć się trochę bliżej swego nowego rozmówcy.

- Piracie - powiedział. - Możesz mi powiedzieć, gdzie jest twój grób na tym cmentarzu?

- *Tutaj, Harry* - powiedział tamten. I Nekroskop, postępując zgodnie z jego wskazówkami, kierując się „dźwiękiem” jego bezcielesnego głosu, omijając kałuże i mijając szereg nagrobków - niektórych całkiem świeżych, ale w większości, starych, pokrytych porostami i niejednokrotnie pochylonych - poszedł ścieżką aż dotarł do

miejsca w zarośniętym chwastami rogu cmentarza, gdzie jedynym znakiem była wystająca, nieporządnie ociosana płyta z pokrytego cętkami marmuru, na której nie było żadnego nazwiska, daty ani w ogóle żadnych informacji.

- Piracie - znów powiedział Harry. - Nie wiem, czy tak miało być, ale czas nie obszedł się dobrze z miejscem twego wiecznego spoczynku! Nie ma tu żadnego nazwiska, nic, przynajmniej ja nic nie widzę na tej starej płycie.

- *Moje nazwisko?* - odparł tamten. - *Chcesz znać moje nazwisko? Uważam to za zaszczyt: Nekroskop, który zwraca się po imieniu do kogoś takiego jak ja! Nazywam się Billy Browen; to się wymawia jak Brown. Dla moich druhów, marynarzy, po prostu Billy Brown z Penzance Town. Te stare wilki morskie potrafiły nieźle przeklinać!* - I Harry wyczuł gardłowy chichot, mimo że nie istniało już gardło, które mogło go wydać.

Billy Browen - to nazwisko wydało się Harry'emu dziwnie znajome. Ale to niemożliwe, ono po prostu zabrzmiało w jego uszach (czy raczej w jego umyśle) jak typowo „pirackie” nazwisko. Sprawdziwszy, czy płyta nagrobna jest sucha i czysta i wykorzystując poły płaszcz jako podkładkę, Harry usiadł i powiedział:

- Wyczuwam w twoim głosie władczy ton, a także inteligencję, coś więcej niż tylko pewność siebie zwykłego żeglarza czy pirata. A więc czy przypadkiem nie jesteś kapitanem Billy Brownem?

- *Co, ja kapitanem?* - W głosie Billy'ego brzmiało zdumienie. - *To mi bardzo pochlebia, Harry, ale zarazem nadaje rangę, której nie posiadam. Bo chociaż miałem pewną wiedzę, nigdy nie byłem nikim więcej niż pierwszym oficerem - co i tak jest czymś znacznie lepszym niż być marynarzem pokładowym, zaledwie o krok od mata - jeżeli ten stopień marynarki wojennej można stosować w wypadku morskiego rozbójnika - ale w każdym razie i mimo wszystkich dodatkowych korzyści wynikających ze stanowiska zastępcy dowódcy, nie byłem o wiele bogatszy niż jakiś lokaj czy osobisty ochroniarz najgorszego kapitana, pod którym służyłem! Albo najlepszego. Pływałem z najgorszymi kapitanami, jakich sobie można wyobrazić, ale parę razy także z najlepszymi z najlepszych. Bo wszędzie są dobrzy i źli, wszędzie, także wśród piratów.*

Po chwili milczenia, najwyraźniej zaciekawiony, ciągnął:

- *Więc uważałeś Billy 'ego Browena za kapitana, tak, Harry? Jak Henry'ego Morgana czy Czarnobrodego? Och, nawiasem mówiąc, w swoim czasie służyłem pod nimi oboma! A może po prostu chciałeś dać mi do zrozumienia, że wiesz to i owo na temat piratów, co?*

- Och, w moich czasach znałem paru piratów - odparł Nekroskop. - A przynajmniej o nich słyszałem i kilku z nich widziałem przy pracy, jeśli tak można powiedzieć. I wiesz co, Billy? Tak się składa, że wszyscy oni byli kapitanami! Popatrzmy: Errol Flynn, który był znany jako kapitan Blood; Burt Lancaster, Czerwony Pirat, jeśli dobrze pamiętam; wreszcie ekstrawagancki Douglas Fairbanks Jr, który żył dość dawno temu, choć nie tak dawno temu jak ty.

- *Nigdy nie słyszałem o żadnym z nich!* - powiedział Billy. - *Więc chyba masz rację i żyłem grubo przed nimi.* - Po czym słysząc, jak Nekroskop chichocze, dodał: - *Ej, ty się ze mną drażnisz, tak?*

Harry niemal widział, jak tamten z dezaprobatą marszczy brwi i natychmiast okazał skruchę.

- Tak - powiedział, kiwając głową. - Jest mi naprawdę przykro, Billy, że w ten sposób wykorzystałem twoją sytuację. Po prostu żartowałem, to wszystko. Te nazwiska to nazwiska prawdziwych ludzi, ale nie piratów. Po prostu aktorów, którzy grali role piratów, żeby zabawić innych. Byli poprzebierani, umazani sokiem pomidorowym i mieli plastikowe miecze, jeśli wiesz, co mam na myśli. - A ponieważ

mówił, używając mowy umarłych, wiedział, że tamten rzeczywiście „wie”, co miał na myśli.

- *A niech mnie!* - Zdumienie Billy'ego było wyraźnie wyczuwalne poprzez jego eteryczne myśli, które natychmiast zostały wyartykułowane jako szept. - *Kto z mojej dawnej paczki by w to uwierzył? Ruchome obrazy na płótnie wielkim jak grot-żagiel! Jak to się wszystko zmieniło... jak poszło do przodu!*

- Ale ty się nie zmieniłeś, Billy - powiedział Harry w zamyśleniu. - I wiesz, istnieje w tej dziedzinie pewna ogólna reguła. Jak długo zmarli muszą tam pozostać, jak długo czekają w ziemi, zanim zostaną dopuszczeni do...

- *Hej!* - przerwał Billy. - *Byłem piratem, Harry! Jako pirat robiłem rzeczy, z których niekoniecznie jestem dumny... byłem członkiem załogi, rozumiesz. Brałem w tym udział! I to nie były plastikowe miecze ani sok pomidorowy! Więc możesz mnie potępiać, Nekroskopie, ale taki jestem i tak wtedy było. A zresztą spójrzmy prawdzie w oczy: minie dużo czasu, zanim lata spędzone pod tą płytą będą równe liczbie lat, przez które ten wiking, Erik Haroldson, tkwi w mokrej zębie, wśród wodorostów i krabów! Podejrzewam, że to dlatego, że są dobrzy i źli, a ja w żadnym wypadku nie byłem z nich najgorszy!*

Nekroskop powoli skinął głową i powiedział: - Ja cię nie osądzam, Billy. W końcu kimże jestem, żebym miał to czynić? Może Sternika-z-Blizną także nie powinienem osądzać, ponieważ uczynią to sami niezliczeni zmarli. Może to być coś jak-sam nie wiem - wina pośmiertna? Może to właśnie jest powodem, że mój stary przyjaciel Henry Thomas Buckfast tkwił tam przez długi czas, ponieważ wiedział, że na to zasłużył! Ale tak czy owak cieszę się, że w końcu go przeniesiono.

- *A teraz moja kolej, Harry? Też mam różne historie do opowiedzenia. Może nie tak podniecające jak pana Buckfasta, ale całkiem ciekawe. Mogę ci to zagwarantować. Wcale nie beznadziejne, jeśli masz delikatne usposobienie albo puszczają ci nerwy. Nie żeby to dotyczyło kogoś takiego jak ty - człowieka, którego mocną stroną jest rozmowa ze zwłokami!*

Harry kiwnął głową porozumiewawczo, może nawet z zaciekawieniem i powiedział:

- Nie możesz się doczekać, żeby zrzucić coś z serca, prawda, Billy?

- *Z mego pozbawionego życia serca?* — powiedział tamten chichocząc. - *No, oczywiście! Bo kto, jak nie zmarły, może ci opowiedzieć o sekretach szafki Davy'ego Jonesa, co? A ja po prostu nie mogę się doczekać, żeby o tym opowiedzieć!*

Zebrawszy swe bezcielesne myśli, ciągnął:

- *Co do zamiaru opowiedzenia ci mojej historii: może ma to coś wspólnego z poczuciem winy, o której wspominałeś, a którą chciałbym zmazać. Bo widzisz, to co opowiem, to nie jest jakaś zwykła opowieść starego pirata, Harry, ale naprawdę dziwna tajemnica morza. I będąc w nią zamieszany tak samo jak wielu innych, a nawet jeszcze bardziej - będąc jej świadkiem, jej częścią, od początku do końca - nawet tutaj, w tym moim zapomnianym grobie wciąż czuję, jak jej echa wibrują przez długie dziesięciolecia! A to oznacza, że jestem nadal częścią tej historii, tak jak kiedyś, mimo że nigdy tego nie pragnąłem ...*

W końcu, po kilkusekundowej przerwie podjął:

- *Tak, na pewno chciałbym „zrzucić to z serca” Jak to określiłeś, oraz z moich kościstych starych ramion. A jeśli, jak mówią to może przynieść ulgę, słuchając oddasz mi przysługę, którą zapamiętam na długo. Więc jeśli zechcesz mnie wysłuchać, Harry, Billy Browen bardzo chętnie ci to opowie.*

Wiedząc, że tamten wyczuwa każdą jego reakcję, Nekroskop uśmiechnął się cierpko i powiedział:

- No cóż, wygląda na to, że złapałeś mnie na haczyk, Billy! I podejrzewam, że wiedziałeś, że tak będzie. - I usadowiwszy się wygodnie na nagrobku pirata, ciągnął: - Więc ponieważ słońce właśnie się pokazało, a ja mam trochę czasu, posiedzę tutaj, a ty opowiesz mi swoją historię, zgoda?

Wyczuwając wdzięczność, a może nawet ulgę tamtego - mimo że starał się ukryć nagły przypływ zainteresowania - Nekroskop osłonił swój umysł i pomyślał: *Czy ten Billy ma jakiś ukryty plan? Czy po prostu naprawdę bardzo pragnie opowiedzieć mi swoją historię i w ten sposób - jak chętnie przyznał uwolnić się od jakiejś własnej winy? A jeśli chodzi o to, z jakiego powodu ma poczucie winy, skoro umarł i został pochowany wiele lat temu... no cóż, poczekamy, zobaczymy.*

Ale właściwie jaka to różnica? I co w tym złego? Stary pirat spoczywa w swym grobie, bezpieczny pod grubą warstwą ziemi i rojącej się od robaków darniny.

- No to mów - powiedział Harry...

- Gdzie i kiedy to się zdarzyło, nie ma większego znaczenia zaczął Billy, a jego słowa brzmiały w umyśle Harry'ego tak wyraźnie, jak gdyby mówił mu do ucha. - Faktycznie leżę tutaj lak długo, że już nie jestem pewien! Zupełnie możliwe, że mogę pomylić szczegóły. W każdym razie żeglowałem z kapitanem i jego załogą pod piracką banderą w blasku tropikalnego słońca, które migotało na powierzchni oceanu, spokojnego jak tafla jeziora, latające ryby podskakiwały na falach, a lekka bryza powoli pchała do przodu *Sea Witch*. Tak się zwał nasz statek.

Jeśli chodzi o imiona moich towarzyszy, musisz mi wybaczyć powściągliwość, ale trudno wykorzenić stare zwyczaje i zapomnieć korsarskie śluby, Nekroskopie; nie mam ochoty wymieniać ich teraz tak samo jak wtedy jakiemuś oficerowi marynarki czy sędziemu sądu w Londynie, Portsmouth czy na Jamajce, nie żebym cię z nimi porównywał, chyba rozumiesz. Ale przynajmniej mogę podać nazwisko mego kapitana - chociaż nie jego prawdziwe nazwisko - i w ten sposób łatwiej mi będzie opowiadać tę historię, a tobie łatwiej będzie słuchać. Więc nazwijmy go... och, może Czarny Jake Johnson, co? Myślę, że to wystarczy.

Doskonale, miejsce akcji i główni aktorzy są na miejscu: ja sam jako zastępca dowódcy oraz załoga złożona z zatwardziałych piratów, na pokładzie dowodzonej przez kapitana Jake'a Johnsona *Sea Witch*, w blasku tropikalnego słońca tamtego pięknego dnia.

W bocianim gnieździe, przywiązawszy się do masztu, kołysze się na pół uśpiony chłopak, kapitan Jake w swej kabine liczy złoto zdobyte podczas naszej ostatniej wyprawy, a pozostali właściwie nie robią nic. I wtedy to się wydarzyło.

Rozległ się gwizd i ryk i jakieś cztery czy pięć sążni na lewo od dziobu ocean dosłownie wybuchł. Wybuch był tak silny, że zakołysał statkiem, kropelki wody pokryły pokład i galion, a ja sam, stojąc blisko dziobu i mocno ściskając reling, w mgnieniu oka przemokłem do suchej nitki. Ale co to było? Strzał wymierzony w dziób naszego statku? Wydawało się, że jest to jedyne wyjaśnienie! Mieliśmy wtedy na pieńku z Królewską Marynarką Wojenną i innymi, nie wspominając o zatargach Czarnego Jake'a z wieloma rywalizującymi z nim korsarzami, więc najbardziej prawdopodobne - a właściwie niemal pewne - było, że zostaliśmy zaskoczeni i zaatakowani!

Siedzący w bocianim gnieździe młody Will Moffat był już całkiem rozbudzony i wołał do nas stojących w dole, że w zasięgu wzroku nie ma żadnego - ani przyjacielskiego, ani też wrogiego - statku. I lustrując horyzont tego wyjątkowo pogodnego dnia, wszyscy przekonaliśmy się, że Will miał absolutną rację.

Czarny Jake był niezwykle zazdrosnym człowiekiem, który ufając tylko sobie, zawsze zabierał ze sobą na statek swoją kochankę. A ona... no, prawdę mówiąc, Nekroskopie, nigdy w życiu nie widziałem piękniejszej od niej istoty! Zhadia - tak brzmiało jej imię - miała w sobie coś orientalnego, a także południowoamerykańskiego, jak sądzę, i do tego jeszcze hiszpańskiego. Patrząc na jej długie, zręczne dłonie i smukłe palce, prawie się słyszało dźwięk kastanietów. I te jej wielkie oczy: miały owalny kształt i były ciemne jak oczy jakiejś ognistej meksykanki! Skórę miała barwy jasnokremowej i gładką jak jedwab; czuło się, jak promieniuje z niej słoneczne ciepło, które płonie w jej olśniewającym uśmiechu. Jednak oczywiście nikt nie przyglądał się jej zbyt dokładnie na pokładzie *Sea Witch*, bo każdy wielbiciel jej urody mógł łatwo narazić się na wściekłość kapitana. Najłżejszą karą, wymierzaną przez Czarnego Jake'a, było przeciągnięcie pod kilem, a rozwiązanie ostateczne polegało na tym, że delikwenta przywiązywano do kotwicy, którą opuszczano na głębokość pięciu sążni! Z tego powodu Zhadia przebywała głównie w kabinie.

Ale w dni takie jak ten, kiedy niebo było niebieskie, wiatr delikatnie wydymał żagle, ocean był czysty jak lza, a na nim ani śladu przyjaciela czy też wroga, byłoby zbrodnią trzymać ją w zamknięciu; wówczas nakłaniała Jake'a, by choć przez krótką chwilę pozwolił jej zaczerpnąć świeżego powietrza i poczuć słony zapach morza. I w takich wypadkach Jake, który zawsze był zajęty swymi mapami i liczeniem złota, mnie, wiernego mister Browena - tak się do mnie zwracał - obarczał zadaniem dopilnowania, aby żaden podły pies nie węszył wokół ani nie rzucał lubieżnych spojrzeń na jego śliczną Zhadie.

Tego dnia istna trąba wodna zmoczyła nas oboje, bo dziewczyna stała akurat obok mnie, na dziobie, z włosami rozwianymi wiatrem, niby młoda bogini, a suknia przywarła do niej jak kochanek... tylko że nigdy nie mogłem nawet pomyśleć niczego w tym rodzaju! Moim zadaniem było zapewnić jej bezpieczeństwo i dlatego złapałem ją, kiedy chwiała się w takt kołysań statku, i trzymałem mocno, żeby nie wypadła za burtę.

- Zostaw ją w spokoju, ty lubieżny chamie! - usłyszałem nagle. Któż, jak nie Czarny Jake Johnson, stał na pokładzie z rozstawionymi nogami, zacisnąwszy potężne pięści, gniewnie błyskając oczyma, które zdawały się przewiercać mnie na wylot! I marszcząc brwi, z gniewnym warknięciem ruszył wielkimi krokami przez pokład, kołysząc się razem ze statkiem, tak że nawet strzał z armaty nie zdołałby zwalić go z nóg, z dłonią groźnie zaciśniętą na kordelasie - prosto w moją stronę!

Oniemiały, mając kompletny mętlik w głowie, pomyślałem: *Billy, synu, chociażżeś zupełnie niewinny, jesteś niechybnie zgubiony!*

Ale w następnej chwili, kiedy statek zakołysał się powtórnie na nadbiegającej fali, w końcu odzyskałem głos.

- Kapitanie - mówię - puszczając Zhadie, wysłuchaj mnie! Wygląda na to, że znaleźliśmy się pod ostrzałem, strzał tuż ponad dziobem zachwiał statkiem i spowodował zalanie pokładu, co musiałeś i ty zauważyć. A jeśli chodzi o tę kobietę, spełniłem tylko swój obowiązek wobec mego kapitana, tak jak mi kazałeś, panie.

Czarny Jake potraktował poważnie to, co powiedziałem - strzał ponad dziobem, zostaliśmy zaatakowani! - i jego wąskie oczy rozszerzyły się.

- Wszyscy na stanowiska! - ryknął. - Przygotować działa! Niech was diabli, czyście wszyscy potracili głowy? - I podszedłszy do relingu, krzyknął do stojącego na oku: - Hej, ty tam na bocianim gnieździe! Gdzie nieprzyjaciel?

A stojący w bocianim gnieździe Will Moffat, mający zaledwie siedemnaście lat - teraz już całkiem rozbudzony, obserwując przez lornetkę najpierw lewą, a potem prawą burtę, a na koniec kierując wzrok w górę - woła:

- Żadnego statku w polu widzenia, sir! Zresztą to nie była kula armatnia, tylko coś, co spadło z nieba!

- Co takiego? - wrzeszczy Czarny Jake. - Dlaczego...

- Niech pan spojrzy w górę, szybko! - woła Will. - Zobacz pan ślad, jaki to coś pozostawiło!

Wyciągając szyje, wszyscy spojrzeliśmy w górę i zobaczyliśmy spiralę żółtego dymu, który stopniowo rozwiewał się w powietrzu. I nic więcej, tylko dziwny zapach, jakby płonącej smoły i niebo oślepiąco niebieskie aż po horyzont.

Wtedy Zhadia, wspiąwszy się na pokład rufowy, krzyknęła do kapitana:

- Jake, widzę to! Jest w wodzie, unosi się na powierzchni, ale zostaje za nami w tyle. Złoto w morzu, Jake, niesamowity widok!

- Co takiego? - odkrzykuje kapitan. - Złoto, powiadasz? Zdurniałaś, kobieto? Złoto nie pływa!

Ale ona, nie oglądając się na niego, ledwie słyszalnym głosem, ze wzrokiem utkwionym w wodzie za rufą odpowiada z westchnieniem:

- To jest koloru złota, Jake! Cudowny kolor. Pragnę tego, och, jak bardzo pragnę, tej złotej tkaniny czy peleryny, cokolwiek to jest, co unosi się na powierzchni morza! Wyciągniesz to dla mnie z wody, Jake?

Wtedy był już koło niej, na pokładzie rufowym i widział to, o czym mówiła.

- Na Boga! - zaklął - ale tak cicho, że ledwo to było słychać, jakby pod nosem - Jaki piękny kawałek... czymkolwiek to jest!

W tym samym czasie łagodny morski wietrzyk zupełnie ucichł i bezwładne żagle zwisły na masztach. Jake zrozumiał, że zostaliśmy unieruchomieni przez flautę, a Zhadia, uczepiona jego ramienia, pokazywała na tę rzecz unoszącą się w morzu. Ale Jake - który był człowiekiem upartym i nie chciał uchodzić za kogoś, kto jest na każde zawołanie kochanki - pogładził brodę i powiedział głośno, jakby usprawiedliwiając zamiar wyciągnięcia tego z wody:

- Złota tkanina? Może tak, a może nie. Ale czyż nie mówią, że kiedy błyskawica trafi w kaszalota, zwierzę wyrzuca z trzewi osobliwą pianę? Nazywa się ambra i czasami jest szara jak popiół, a innym razem żółta jak złoto. Jakkolwiek jest, byłbym głupcem, gdybym przegapił taką okazję. Więc spuście łódź i do roboty!

I tak wciągnięto tę rzecz na pokład...

Zauważ, Harry, że mówię „rzecz”, a powód tego stanie się jasny później. Teraz jednak pozwól, że na chwilę przerwę, żeby zebrać myśli. Taką historię trzeba opowiadać bardzo ostrożnie. Jej zakończenie musi zadziwić - niby objawienie! - zaskakując, a nawet szokując niczego niepodejrzującego słuchacza...

Ale nie takiego jak Nekroskop, co? Nie człowieka, który widział rzeczy, które wystarczyłyby, żeby wstrząsnąć innymi do głębi i śmiertelnie przestraszyć. Człowieka o zdolnościach, które... które...

Ale przecież rozumiemy się i wiesz, co mam na myśli. Więc jeszcze chwilę, a poukładam to sobie wszystko w głowie.

Dasz mi jeszcze chwilę, Harry? Doskonale!

Podczas gdy zmarły pirat układał w głowie swoją opowieść, Nekroskop zadał sobie pytanie: Co ja właściwie tu robię? Ale z drugiej strony co innego mógłby robić? Bo faktem było, że ostatnio, jeśli akurat nie był zajęty poszukiwaniami żony i dziecka czy rozmowami ze zmarłymi, których pocieszał jak umiał, mógł równie dobrze zająć się czymś innym - i to możliwie najszybciej, nie potrafił nad tym zapanować! - odpowiedzieć na wezwanie B.J. Mirłu, czyli swojej nowej kochanki. Tak, była jego nową kochanką, ale dziwną kochanką, której wciąż nie był pewien. Okoliczności ich romansu były, delikatnie mówiąc, osobliwe i zagmatwane, a procesy myślowe

Nekroskopa gmatwały się jeszcze bardziej, ilekroć pojawiała się w nich B.J. Była niezwykle fascynującą kobietą.

Tak, fascynującą lecz dziwną...

A poza tym? Wydawało się, że przeznaczeniem Harry'ego było wikłanie się w dziwne sytuacje i spotkanie dziwnych postaci, jak na przykład kogoś, kto był szczególnie podatny na wypadki i przewracał się, potknąwszy o pęknięte płyty chodnikowe, albo uderzał się w palec, przybijając poluzowane deski podłogowe. A kim był Billy Browen, jak nie kolejnym przedstawicielem tego rodzaju: trochę dziwny i tak jak w wielu podobnych wypadkach od dawna zmarły.

Sympatyczny? Wiarygodny? Nieszkodliwy? Jak dotąd wszystko grało...

Zmarszczywszy brwi - ale zachowując tę reakcję dla siebie - Nekroskop zastanawiał się nad „jakością” mowy umarłych Billy'ego; nie jego słownictwem, lecz „dźwiękiem” bezcielesnych myśli pirata. Poza tym oprócz niezwykle pogłosu (na który Harry zwrócił uwagę poprzednio, kiedy słowa zmarłego brzmiały tak wyraźnie w jego umyśle, jak gdyby mówił mu wprost do ucha) niektóre pomysły Billy'ego zarejestrował jako dziwaczne. Na przykład imiona, które tak swobodnie - a może błędnie lub fałszywie - rzucał. Jak wtedy, gdy umieścił sir Henry'ego Morgana obok osławionego Czarnobrodego... zaiste dziwna to para! A ponadto chwalił się, jak to żeglował pod dowództwem ich obu! Czym więc było to wszystko? Typową piracką gadaniną pozbawioną znaczenia, zwykłymi przechwałkami.

Bo poza bożyszczami srebrnego ekranu, z których żartował sobie Harry, w rzeczywistości wiedział o piratach trochę więcej, niż przyznał; jako nastolatek był zafascynowany ich przygodami, o których czytał w książkach. O ile dobrze pamiętał, sir Henry Morgan był - przynajmniej początkowo - swego rodzaju dżentelmenem - piratem, nie zaś prawdziwym piratem, a przez jakiś czas nawet gubernatorem Jamajki! Natomiast Edward Teach, znany jako „Czarnobrody”... ten był kimś zupełnie innym! Mianowicie był ni mniej, ni więcej, tylko prawdziwym potworem!

I Nekroskop znów zaczął się zastanawiać nad przechwałkami Billy'ego. Czy to możliwe, że naprawdę żeglował pod dowództwem ich obu? Żyli więc w tym samym czasie? Jeżeli tak, nie zgadzało się to z tym, co Harry pamiętał z lektury pirackich opowieści. Henry Morgan zmarł w wyniku swoich ekscesów - puchliny wodnej spowodowanej obżarstwem i niezwykłym pijaństwem, wskutek czego jako pijak został zawieszony w czynnościach, a następnie, w latach osiemdziesiątych siedemnastego wieku, wylądował - jako sędzia! - w Port Royal na Jamajce. Z drugiej strony Edward Teach zajął się piractwem w pierwszej połowie osiemnastego wieku. Zatem różnica wieku między Morganem a Czarnobrodym wynosiła z pewnością co najmniej czterdzieści lat. Albo gdyby Harry opierał swe obliczenia na skrajnych datach tych zapewne niezbyt dokładnych okresów, niezgodność wynosiłaby mniej więcej dwadzieścia lat, ale mimo to twierdzenia Billy'ego ledwie się mieściły w granicach możliwości.

Jeśli chodzi o niezgodność charakterów tych dwóch legendarnych postaci - tak wyraźnych, że w istocie były krańcowo różne - Nekroskop nie przestał się zastanawiać nad zmianami, jakich Billy Browen musiał doświadczyć, służąc najpierw pod „oficerem i dżentelmenem”, sir Henrym Morganem, a następnie pod krwiożerczym piratem, Edwardem Teachem. Teach był znany z tego, że własne żony - a miał ich co najmniej dwanaście lub trzynaście, prawie w każdym porcie, do którego zawijał - dawał do zabawy członkom swej załogi, a ich samych poddawał torturom w ramach rozmaitych „prób wytrzymałości”!

Tak więc ci dwaj morsecy rozbójnicy byli podobni do siebie jak dzień do nocy. Ale z drugiej strony czyż Billy nie mówił, że „pływał z najgorszymi kapitanami, jakich

sobie można wyobrazić, ale parę razy także z najlepszymi z najlepszych"? Faktycznie tak było, więc Harry na razie odłożył na bok swoje wątpliwości i podejrzenia.

Wszystko to przemknęło przez wyjątkowy umysł Harry'ego w znacznie krótszym czasie, niż się o tym opowiada, a umysł miał osłonięty, więc nikt inny - żywy czy martwy - nie mógł w żaden sposób odczytać jego myśli.

A mimo to... „słyszał” w głowie ciche, niemal „niesłyszalne” brzęczenie, niesłyszalne, ponieważ oczywiście nie było słyszalne dla nikogo poza nim samym. Było podobne do interferencji między pracującymi elektrycznymi urządzeniami, które znajdowały się zbyt blisko siebie, coś jak zakłócenia. Albo jak szum głośników gramofonu, kiedy na talerzu nie ma płyty, a ustawiono zbyt dużą głośność.

Tak, to mogło być to: jak gdyby podczas tej rozmowy między Harrym i piratem „głośność” psychicznego eteru nagle ustawiono na cały regulator. Ale jeżeli tak było, kto i z jakiego powodu to uczynił?

A może był to po prostu kolejny przejaw rosnących zdolności parapsychologicznych Nekroskopa, które jak dotąd posiadał jedynie w stopniu elementarnym. Na przykład - i to pomimo niektórych zaskakujących i enigmatycznych twierdzeń samego Alberta Einsteina - Harry wciąż wierzył, że przeszłość, teraźniejszość i przyszłość stanowią trzy całkowicie odmienne pojęcia. Bo w Kontinuum Möbiusa były rzeczy, których wciąż jeszcze nie poznał..

Było już późne popołudnie i nadciągające ze wschodu chmury sprawiły, że stary cmentarz pogrążył się w mroku. Zanosilo się na deszcz i Nekroskop miał na dzisiaj zupełnie dość. Poza tym czuł na plecach chłód nawet przez materiał płaszcza, a kolana sztywniały mu coraz bardziej. Harry nie był do tego przyzwyczajony, bo mimo swoich niezwykłych zdolności był tylko człowiekiem, a po ostatniej metamorfozie - czy raczej metempsychozie - jego fizyczne ciało, choć był w dobrej formie, było o wiele lat starsze niż jego metafizyczny umysł.

- Lepiej opowiadaj dalej, Billy - zachęcił pirata, który od jakiegoś czasu milczał.
- Za jakąś godzinę zacznie się robić ciemno, a jeśli lunie deszcz, siedząc tutaj, będę wyglądał jak kompletny głupiec! - Nie żeby to ostatnie miało się zdarzyć, tak tylko powiedział. Gdyby tego zapragnął, mógł wydostać się z cmentarza za pośrednictwem Kontinuum Möbiusa, zanim spadnie chociaż kropla deszczu!

- Ach, ciemność, oczywiście! - powiedział Billy. - Nie miałbyś przecież ochoty siedzieć w nocy na tym zimnym kamieniu. Absolutnie nie! Ale widzisz, Harry, tu, gdzie jestem, od dawna przestałem zajmować się takimi pojęciami jak światło dzienne, światło księżycy, światło gwiazd i tak dalej. Bo tutaj, w ziemi, w ogóle nie ma światła! Absolutnie żadnego! Ani ciepła, to znaczy dopóki się nie zjawię...

I jednocześnie znów zabrzmiał gardłowy chichot pirata. Sprawilo to, że Nekroskop zaczął się zastanawiać: *Czy ten jego chichot nie jest trochę zbyt natarczywy, zbyt przebiegły i... lubieżny? A może jest to po prostu niski, gardłowy śmiech starego, nikczemnego żeglarza? A jeśli tak, jak bardzo był nikczemny... i nadal jest?*

Jednak w tym momencie, jak gdyby zaprzeczając skrytym podejrzeniom Harry'ego, rozległ się głos tamtego.

- *Znowu to samo* - powiedział Billy Browen. - *To nie była z mojej strony ignorancja czy brak szacunku, że siedzisz tam w ciemności, otoczony wilgocią, ale po prostu roztargnienie. W końcu te dziesięciolecia spędzone w ziemi, wśród tych robaków - i oczywiście fakt, że nie mam już ciała - sprawiły, że wyleciało mi z głowy, jak żywi ludzie przywykli do naturalnych wygod cieleśnej egzystencji. Dysponując tą zdolnością poruszania się, jaką posiadasz, Harry, nie jest zaskakujące, że nie tolerujesz żadnych niewygód...* - i po chwili przerwy ciągnął, ale już znacznie ciszej: - *Więc ile czasu jeszcze mamy?*

Spojrząwszy na wschodnie niebo - w oprawie złowieszczych, przytłaczających, kołyszających się gwałtownie gałęzi pobliskich drzew - Harry przekazał ten obraz piratowi.

- Niezbyt wiele - powiedział. - Może tylko godzinę. Myślę, że potem ciemność i wilgoć staną się naprawdę dokuczliwe. I wtedy odejdę.

- *Ale teraz, gdy się poznaliśmy, możemy przecież rozmawiać na odległość... nieprawdaż?* - Można było odnieść wrażenie, że Billy chwyta się wszelkich sposobów.

- Moglibyśmy - odparł Harry - ale wolałbym tego nie robić. Nie chciałbym krzyczeć przez cały pokój do moich przyjaciół. Kiedy zwracam się do kogoś, wolę być blisko, żebym mógł myśleć, że to nie tylko pył i kości, ale że jest obecny zarówno duchem, jak i ciałem, chociaż wiem, że tak nie jest.

Wyczuł, jak tamten bezcieleśnie skinął głową rozczarowany.

- *A więc - powiedział Billy - wygląda na to, że nie zdołam tego opowiedzieć podczas jednej wizyty. W każdym razie nie wszystko. Wielka szkoda, bo wiem, jak cenny jest twój czas.*

- Ale możesz opowiedzieć przynajmniej część - powiedział Nekroskop. - A zresztą nie jest tak, że nigdy tego nie skończysz. Sam powiedziałeś, że to jest jedna wizyta, prawda?

- *Co?* - Zdziwienie pirata było niemal namacalne. Podobnie jak jego ulga; nawet nie próbował tego ukryć, wydając westchnienie i mówiąc: - *Czy to znaczy, że powrócisz? Teraz rozumiem, dlaczego zmarli są z tobą tak zaprzyjaźnieni. Bo naprawdę jesteś ich orędownikiem - tak, nawet orędownikiem zmarłego pirata - prawda, Harry?*

Próbując ukryć zakłopotanie, Harry spojrzał jeszcze raz na ciemniejące niebo i odparł:

- Czuję, jak wzmaga się wiatr, Billy. I fale w porcie w Hartlepool znów poruszają kości Haroldsona. Wygląda na to, że deszcz spadnie znacznie wcześniej, niż myślałem. Więc pociągniesz dalej swoją opowieść czy na razie skończymy?

- *Oczywiście, pociągnę dalej!* - szybko powiedział Billy Brown. - *I jeszcze raz ci dziękuję, Nekroskopie, że dałeś mi sposobność uwolnienia się od mego brzemienia. Bo któż inny spośród żywych, jak nie ty, mógłby wysłuchać historii, a może nawet zrozumieć całą jej okropność.*

I kiedy Harry trochę zmienił pozycję, nie mógł nie zauważyć, że głośność psychicznego eteru podniosła się o kolejny stopień...

- To coś z morza, czy raczej z nieba - podjął Billy - ten złoty materiał, który stanowił tak samo rzygowiny jakiegoś kaszalota, jak ja jestem burmistrzem Londynu, ten połyskliwy szal czy suknia, który zapewne był fragmentem jakiegoś osobliwego, niezwykłego skarbu, został wydobyty z morza i wniesiony na pokład *Sea Witch* i to był początek naszych kłopotów.

Zhadia natychmiast chciała nim zawładnąć. Była zahipnotyzowana jego blaskiem, sposobem, w jaki odbijał światło słoneczne, jego niezwykłą delikatnością, tym, jak unosił się przy najłżejszym powiewie powietrza, gdy członkowie załogi wyciągali go z morza i wieszali na olinowaniu, żeby wysechł. O dziwo od razu wydawał się suchy i w niecałe pięć minut po wydobyciu z wody zaczęły od niego odpadać kryształki soli, ześlizgując się na pokład, bo nie mogły się utrzymać na jego delikatnym, niebywale gładkim splocie!

Przerwawszy pracę, członkowie załogi, wyciągając szyje, kolejno podchodzili bliżej, żeby popatrzeć na... właściwie na co? Na tę szatę? Na tę rzecz spadłą z nieba, która wydawała się zrobiona ze światła słonecznego? Nie ważyła prawie nic, a mimo

to była wystarczająco ciężka, aby wpaść do oceanu, jak gdyby ją wystrzelono z jakiegoś niebieskiego działa!

Przez chwilę Czarny Jake, który był tak samo pod wrażeniem tego dziwu jak wszyscy pozostali, po prostu stał, pozwalając innym się przyglądać. W końcu, otrząsnąwszy się, wrzasnął:

- Hej, Missus (było to pieszczotliwe przezwisko Zhadii). Co to jest? Będziesz tak stała, gapiąc się na to przez cały boży dzień, jak te gagatki, które myślą, że stanowią moją załogę, a którzy powinni brać się do roboty, żeby zarobić dublona zamiast drapać się po dupie!

To w zupełności wystarczyło, żeby wrócili do swoich obowiązków, choć rzucali dziwnie tęskne spojrzenia, gdy Jake wziął Zhadię za rękę i zabrał ją pod pokład, odciągając od rozwieszanej na olinowaniu wiotkiej tkaniny. Teraz już nie unosiła się pod wpływem podmuchów powietrza, ponieważ powietrze było zupełnie nieruchome.

Co się tyczy blasku tej tkaniny, wydawało się, że się już wypalił, bo prześwitywały przez nią matowe plamy, jak u ryby pozbawionej łuski. A może było to po prostu wieczorne światło, które padało na tę niebieską tkaninę pod innym kątem, kiedy słońce zniknęło za horyzontem.

Niebieska tkanina, tak o niej początkowo myślałem, jak o czymś utkanym podczas pełni księżyca, którego złoty blask został w niej zaklęty. Ha! Pierwsze wrażenie najczęściej wprowadza człowieka w błąd. Mam na myśli to, że ta płomiennie żółta barwa równie dobrze mogła stanowić odbicie roztopionej piekielnej siarki, jak światła słońca czy księżyca!

I tak nadeszła noc; gwiazdy świeciły tak jasno, a morze było takie spokojne...

Tej nocy stał na wachcie kuternoga imieniem Pete - wcale nie żartuję! Kłocowaty Pete Parsons, którego lewa noga od kolana w dół została pozarta przez rekina, kiedy wpadł do morza, wystawiając dupę za burtę w wiadomym celu. Ilekroć Pete był na patrolu, kroki zdradzały jego obecność, a mówiąc dokładniej: jeden krok, po którym następował głuchy odgłos mahoniowej protezy! W upale tropikalnych nocy, pocąc się w hamaku zawieszonym pod pokładem - albo na górze, w chłodnym nocnym powietrzu, w tych rzadkich wypadkach, gdy Czarny Jake na to pozwalał, bo i jemu samemu, rozbójnikowi z piekła rodem, było zbyt gorąco - słyszałem, jak Pete Parsons chodzi, nucąc jakąś szantę i odmierzając czas regularnym stąpieniem.

Nie była to jedna z tych rzadkich nocy, o jakich wspominałem; faktycznie pod pokładem było wyjątkowo chłodno, a delikatny plusk morskich fal i sporadyczne skrzypnięcia dębowego żebrowania statku - oraz monotonne, odbijające się echem, odgłosy stąpienia Pete'a, patrolującego pokład nad głową - wszystko to łączyło się jakby w kołysankę, usypiając mnie i niewątpliwie resztę znużonej załogi.

Tylko raz, w środku nocy, obudziłem się, myśląc, że słyszę słaby, drżący krzyk... najprawdopodobniej jakiegoś morskiego ptaka, który przysiadł na boku rei. Zapadając z powrotem w sen, pomyślałem: tak, to krzyk morskiego ptaka...

...Jednak myliłem się i zarazem nie myliłem!

Rozkazy Czarnego Jake'a dotyczące tej nocy były naprawdę proste.

- Pete - powiedział - pewnie myślisz, że podczas takiej ciszy nikt się tutaj nie zakradnie. I może także myślisz, że wachta jest właściwie niepotrzebna... ale tak nie jest! Miej zapalone latarnie, zarówno dziobowe, jak i rufowe, żeby odpędzić szczury i ustrzec *Sea Witch* przed zatonięciem, a ty sam trzymaj się z dala od rumu, który jak wszyscy wiedzą, tak bardzo lubisz! Czy wyrażam się jasno?

- Tak, kapitanie - mówi Pete, salutując.

- Poza tym - ciągnie Jake - gdyby zerwał się wiatr - nawet lekka bryza - obudzisz najpierw mnie, a potem resztę. Zrozumiano?

- Tak, tak, kapitanie! - I kolejny salut.

Ale następnego ranka, gdy zaczęło świtać, rzeczywiście zerwał się wiatr. Dotarło to do mnie, gdy statek zaskrzypiał i lekko pochylił się na zawietrzną, bo wzmagający się wiatr uderzył nas z boku. Nie było to mocne uderzenie - w żadnym razie nie tropikalny sztorm - ale wystarczyło, żeby mój hamak lekko się zakołysał.

Ale co to? Żadnych przekleństw ze strony Czarnego Jake'a? Żadnych wrzasków i złorzeczeń, jakie z pewnością musiałbym słyszeć, gdyby już był na nogach, a reszta załogi spała? Ale ledwie zdążyłem to pomyśleć, gdy rozległ się ryk kapitana.

- Gdzie on jest? Gdzie jest ten kuternoga, ten pieprzony Pete Parsons? Bo na Jowisza, wyrwę mu tę mahoniową protezę i wsadzę w zadek, tak że już nigdy nie będzie mógł usiąść, kiedy jest na służbie! Nie ma go nigdzie! Gdzie jesteś, ty leniwy morski ślimaku?!

Lękając się jego słusznego gniewu, reszta załogi szybko zerwała się na nogi i muszę się pochwalić, że byłem jednym z najszybszych. Jeszcze nie do końca ubrany stanąłem u steru, szarpiąc się z guzikami i przetyczkami, jednocześnie kierując dziób *Sea Witch* na zawietrzną żeby przestała szarpać kotwicę, która jak sądziłem, uwięzła na dnie.

Tymczasem wiatr przybrał na sile; młody Will Moffat wspinał się po grotmaszcie do bocianiego gniazda; ci spośród członków załogi, którzy mieli wyznaczone jakieś zadania, pracowali, a pozostali czekali na rozkazy Czarnego Jake'a. I wtedy ktoś się natknął na Pete'a Parsonsa. Tylko że ten ktoś - jego imię nie ma znaczenia, a zresztą go nie pamiętam - w ogóle nie wiedziałby, że to jest Pete Parsons, gdyby nie jego drewniana noga, która wystawała spod sterty pogniecionych szmat leżących na pokładzie, polakierowana drewniana kończyna poturlała się, oderwana od pomarszczonego kikuta nogi Pete'a, kiedy marynarz pokładowy, który go znalazł, trącił ją czubkiem buta!

Nawet Czarny Jake stał osłupiały, kiedy chirurg okrętowy (kiedyś szczer łądowy, który uciekł na morze, gdy kilku jego pacjentów zmarło od jego lekarstw) odsłonił to, co zostało z biednego Pete'a, zdjawszy z niego odzienie krusze jak papier, jak wyrzucone na brzeg spalone słońcem wodorosty. Załedwie sześć czy siedem godzin temu był to człowiek, choć jednonogi, o jędrnym ciele, zdrowym sercu, cieszący się doskonałym apetytem. Jednak teraz...

...To był zimny trup, sama skóra i kości, łupina człowieka! Oczy miał otwarte i szkliste, znieruchomiałe z przerażenia, usta szeroko otwarte, z których wystawały dwa przebarwione zęby jak zniszczone stare nagrobki; policzki zapadły się, jak gdyby wciągał powietrze, aby wydać *drugi* krzyk (być może ten *pierwszy* to był ów słaby, drżący krzyk, jak mógł być wydać jakiś morski ptak), a z jego niegdyś bujnej brody pozostały załedwie luźne kosmyki, które coraz silniejszy wiatr rozwiewał nad pergaminową twarzą!

Czarnemu Jake'owi należy się uznanie za to, że szybko otrząsnął się z szoku, jakiego musiał doznać; wkrótce przekrzykiwał wyjący coraz głośniejszy wiatr:

- Wszyscy jesteście nie tylko ślepi, ale i głupi! Lina kotwiczna jest napięta jak postronek, a statek szarpie się jak pies na smyczy. Więc podnieście kotwicę, zanim *Sea Witch* się urwie! Do roboty! Migiem! I niech wiatr poniesie nas tam, gdzie chce, bo ten stary statek to przetrwa!

Potem dołączył do mnie przy sterze i powiedział:

- No, mister. Widzę, że jesteś na nogach... całkiem szybko. No i co o tym sądzisz? To znaczy o tym, jak zginął Pete Parsons. Czy to skutek rumu, czy co, i czy widziałeś kiedyś coś podobnego?

- Prawdę mówiąc, kapitanie - mówię - nie ma tu niczego, czego bym przedtem nie widział czy nie słyszał...

- No dobrze - mówi Jake - śmiało, mister!

- Po pierwsze - mówię - jeśli chodzi o te pioruny, kaszaloty i to, co jak powiadają, zwracają w pewnych dziwnych okolicznościach. Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby...

- Zaraz, zaraz, mister! - przerywa kapitan, marszczy brwi i szybko mówi: - Och wiem, do czego zmierzasz.

Ale po chwili zaczyna chichotać - wyjątkowo rzadki przypadek! - i mówi:

- Znowu ambra, co?

- No, kapitanie - mówię - wiem coś niecoś o ambrze, ale jeśli chodzi o kaszaloty rażone piorunem...

- Przędza powstała pod wpływem nagłego impulsu - mówi - znowu mi przerywając. Zhadia jęczała, żebym przyniósł tę pelerynę, suknię czy cokolwiek to jest, na pokład starej *Sea Witch*, a ja nie chciałem jej ulec, czy raczej nie chciałem, aby myślano, że jej ulegam! Czarny Jake na każde zawołanie zwykłej kobiety, nawet tak wyjątkowej jak ona? Gdyby jakieś szumowiny na pokładzie tego statku dostrzegły w mężczyźnie taką słabość - jakąkolwiek słabość - zanim bym się spostrzegł, no wiesz... Ale słuchaj, mister. Jestem pewien, że łapiesz. Więc tak to było, a potem ten Pete Parsons, o którego pytałem, więc co myślisz o jego śmierci?

- No tak - kiwam głową w zamyśleniu. - Myślę, że powinniśmy zacząć od początku.

- Co? - mówi Czarny Jake, marszcząc brwi. - Wyjaśnij to.

Więc wyjaśniłem. Wszystko zaczęło się, kiedy to coś spadło z nieba, to dziwnie błyszczące coś, jak resztką materiału pozostała z beli niebieskiej - albo piekielnej - złocistej tkaniny.

- Beli? - mówi kapitan, przekręcając sens tego, co powiedziałem. - Jak grom z jasnego nieba, tak?

- Ale to nie była zwykła spadająca gwiazda, taka, jakich wiele widzimy niemal każdej nocy - mówię. - Nie takie coś, co opada spiralnie i ląduje z siłą, która wywołuje kołysanie statku, po czym łagodnie unosi się na morzu, dopóki nie wyciągniemy tego na pokład i nie rozwiesimy na olinowaniu... a wtedy zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Na pewno sam to widziałeś, kapitanie. W oczach twojej kobiety, pożądała tego! Nie tylko Zhadia - w końcu piękna kobieta potrzebuje pięknych rzeczy - ale i cała załoga. Nikt nie potrafił się temu oprzeć, musiał podejść, pożerając to wzrokiem, zafascynowany, jak gdyby to był prawdziwy skarb, a nie zwyczajny skrawek jakiejś dziwnej złocistej tkaniny, utkanej wśród gwiazd.

- Tak, byli zafascynowani! - przyznał Jake. - Ja sam to czułem: to dziwne przyciąganie. Tak silne, że szybko zabrałem Zhadię z jego zasięgu. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale nie chciałem, żeby tego dotykała...

Niedawno kapitan mówił o wszelkiego rodzaju słabości (czytaj, strachu) i uparcie odmawiał jej okazywania. Jednak od dawna wiedziałem, że Jake jest człowiekiem nie tylko sprytnym i czujnym, lecz także zabobonnym. I kiedy tak staliśmy koło steru, wydawało mi się, że tym razem jego nieufność ustąpiła miejsca łatwowierności. Jednak trwało to tylko chwilę. Po czym...

...Nagle wzięwszy się w garść, spojrzał na moją twarz przenikliwymi oczyma i warknął:

- Och, a ty, mister? Czy tego nie czujesz? Czy może kapitan Jake jest starym mięczakiem, co? Może jest słaby na umyśle?

- Ty, Czarny Jake, słaby na umyśle? - mówię. - Nigdy! Ani trochę! Och, czułem to, kapitanie. Ale dzielając twoje żywe zainteresowanie takimi wyjątkowymi zdarzeniami - bo jestem pewien, że tak właśnie czujesz, nieokiełznane zainteresowanie nie tylko tym, co naturalne, ale i tym, co niezwykle - i chociaż podobnie jak ty czuję to przyciąganie, jestem odporny na czcze kaprysy i...

- Dość! - mówi Jake. Na nic się zdadzą twoje nędzne pochlebstwa, mister! Po prostu powiedz mi, jak myślisz, co się tutaj stało i to szybko!

- Słyszałeś, co powiedział chirurg, kapitanie - mówię. - Że kuternoga Pete żyłby o wiele dłużej, gdyby lubił jabłka, tak jak lubił rum. To był ciężki przypadek szkorbutu, najcięższy z możliwych, i dopadł Pete'a bardzo gwałtownie. Tak, bardzo gwałtownie. Szkorbut, kapitanie! Tak przynajmniej mówi chirurg.

Po chwili, wpatrując się w zamyśleniu zmrużonymi oczyma we wzburzone morze, Jake powoli kiwa głową i mówi:

- Szkorbut, mówisz? No, może, mister. Ale jestem pewien, że musiałeś zauważyć, gdzie znaleziono protezę; leżała na pokładzie, jak deska. Dokładnie pod tym, co wisiało na olinowaniu! A pamiętasz, że wczoraj ta tkanina była odrobinę zmatowiała? Popatrz na nią teraz, dobrze? - I znów kiwa głową, kierując moje spojrzenie w stronę śródkręcia.

Ale zanim się dobrze przyjrzałem, kapitan chwytając mnie za łokieć i mówi:

- Słuchaj, mister. Zaczęłeś mówić o rzeczach dziwnych i takich, których nigdy nie widziałeś ani o których nie słyszałeś. Muszę się zgodzić, że jest w tym coś dziwnego. Faktycznie kazałbym to ludziom wyrzucić za burtę - jako całun dla kuternogi Pete'a, kiedy spocznie w głębi morza - ale wydaje mi się, że to może mieć jakąś wartość; zresztą nie chcę, żeby uważano, że odnoszę się do tego z lękiem. Do licha, tak nie jest, ale ta tak zwana „piracka załoga” może tak to odczuwać. Więc dość już gadania o dziwach, duchach, upiorach i tak dalej. Prawdę mówiąc, ten kuternoga to niewielka strata, ale nie chcemy, żeby ktoś uciekł ze statku. Teraz lepiej się pośpiesz i pogoń tę bandę nierobów, niech się wezmą do roboty i zajmą *Sea Witch*, zanim nogi im wrosną w pokład! Ruszaj.

Powiedziawszy to i jeszcze raz kiwnąwszy głową w stronę śródkręcia - w jego oczach pojawił się złocisty błysk - Czarny Jake puścił mój łokieć i popchnął mnie w tym kierunku. Poszedłem więc na śródkręcie, walcząc z coraz silniejszym wiatrem.

I tam, otoczone przez kilku marynarzy, którzy patrzyli nieruchomo, to coś kołysało się na wietrze. Może nie tyle kołysało, co jakby unosiło leniwie, mimo silnych podmuchów szalejącego wokół wiatru. A po wczorajszym zmatowieniu, o którym mówił kapitan, nie pozostało ani śladu. I pomimo że dzień był pochmurny, a nad dziobem unosiła się mgielka drobnych kropelek wody, ta niebieska tkanina świeciła jak polerowany metal, faktycznie jak złoto!

Rzeczywiście to wyglądało jak nowe, ożywione. Ale kiedy podszedłem do małej grupki marynarzy, którzy coś mamrotali o owiniętych całunem zwłokach Pete'a, przed opuszczeniem go do wody spojrzałem znowu na tę świecąca tkaninę, zastanawiając się nad ceną tego lśniącego znaleziska...

Wtedy, odwróciwszy się od relingu, spojrzałem w stronę kabiny Czarnego Jake'a i Zhadii, znajdującej się pod pokładem. Drzwi były lekko uchylone, a w nich stała Zhadia, częściowo ukryta w cieniu kabiny, patrząc na pokład. Stała jak urzeczona, ze wzrokiem utkwionym w połyskującą złociście niebieską tkaninę, która leniwie kołysała się w podmuchach wiatru. Tylko że teraz... i to było najdziwniejsze ze wszystkiego, owa tkanina, jak gdyby *ignorując* wiatr, nie unosiła się na zawietrzną ale wydawała się przyciągana przez Zhadię; wydawało się, że unosi się w jej stronę! I nagle zdałem sobie sprawę, że w głowie pojawiła mi się szalona myśl: gdyby nie była mocno przywiązana do olinowania, mogłaby pofrunąć prosto w ramiona Zhadii!

Ale w tym momencie Zhadia zauważyła, że patrzę, i jakby z ociąganiem znikła z pola widzenia, zamykając drzwi. I jak tylko znikła, hipnotyzujące kołysanie się tkaniny ustało i znów zwiśla bezwładnie jak szmata...

Atmosfera na cmentarzu w Hartlepool była teraz przytłaczająca, zwiastując rychłą zmianę pogody. Mogło się niemal wydawać, że jakoś ściągnął ją tropikalny sztorm z opowieści zmarłego pirata, ale tak nie było, bo Harry przewidywał popsucie się pogody od czasu, gdy opuścił stary kamienny port w najbardziej na północ wysuniętej części miasta. I teraz, gdy Billy Browen przerwał, może po to, aby znów zastanowić się nad przebiegiem swojej opowieści, Nekroskop uznał, że jest to idealna okazja, by zając się bardziej przyziemnymi sprawami...

...Co zabrało mu tylko chwilę, po czym powiedział:

- Billy, obawiam się, że jeśli zostanę tu dłużej, to zmoknę. Już i tak chwytają mnie kurcze i jeśli umrę na zapalenie płuc, nigdy nie dokończysz swojej opowieści. - I jakby dla zilustrowania swoich słów, stęknął, próbując się podnieść i rozprostować... i właśnie wtedy spadły pierwsze krople deszczu, z których jedna wylądowała mu za kołnierzem. Kiedy się wyprostował i napiął mięśnie nóg, żeby złagodzić ból, usłyszał:

- *No, no, Harry! Nie wiesz, że mówienie o śmierci przynosi pecha - nie wspominając o tym, że to jest w bardzo złym guście - zwłaszcza gdy rozmawiasz z kimś, kto już jest martwy?*

Kiwnąwszy głową, Harry odparł:

- Wiesz, chyba masz rację. Ale ponieważ rozmowa ze zmarłymi to moje przeznaczenie, niewiele mogę w tej sprawie uczynić. Zresztą jak dotąd nie sprawia mi to przykrości. - I pomyślał: *Ale Bóg jeden wie, że mam tego dosyć!* Jednak zachował tę myśl dla siebie.

Po drugiej stronie cmentarza dozorca zamykał ciężką, żelazną bramę. W gęstniejącym mroku ponurego wieczoru nie zauważył, że na zazwyczaj pustym cmentarzu ktoś jest. Jednak Nekroskop go zobaczył i postawił kołnierz, po czym ukrył się w cieniu drzew.

Kiedy rozpadało się na dobre, ponownie przemówił do *ekspirata*:

- Na mnie już czas, Billy. Ale przyznaję, że zainteresowała mnie twoja opowieść. Więc jeśli będzie pogoda, wrócę tu jutro, a jeżeli nie jutro, to możliwie najszybciej. Obiecuję.

- *Doskonale* - westchnął tamten, może z wdzięcznością, a może z ulgą - *będę czekał niecierpliwie, Harry.*

Ale gdy wiatr zakołysał drzewami, a wielkie krople zacinającego deszczu zaczęły się rozpryskiwać na płytach nagrobków, słowa *ekspirata* utonęły w szumie deszczu, znikły w psychicznym eterze. Zresztą Nekroskop nie słuchał, bo już go tam nie było...

Następnego dnia wcześnie rano, obudziwszy się w swym pustym, pełnym zakamarków starym domu, który stał na uboczu, niedaleko wioski Bonnyrig, parę mil od Edynburga, Harry zdał sobie sprawę z dotkliwego bólu głowy; było to u niego niezwykle. Niezwykle było także i to, że był sam i „w domu”. W tym okresie bowiem swego życia wiele czasu - faktycznie prawie każdą noc - spędzał z Bonnie Jean Mirilu, w jej mieszkaniu w mieście. Teraz jednak B.J. nie było, ponieważ pojechała złożyć wizytę krewnemu czy też staremu przyjacielowi domu, którego nazywała „stary John”, a który mieszkał w miejscu o nazwie Inverdrue, gdzieś na północy; informację o tym przekazała mu telefonicznie poprzedniego wieczoru jedna z dziewcząt, zatrudniona jako panienka do towarzystwa czy barmanka w jej edynburskiej winiarni, zaledwie parę minut po tym, jak opuścił Kontinuum Möbiusa i znalazł się w swoim salonie.

Teraz, myśląc o B.J., Nekroskop jeszcze raz zastanowił się nad częstotliwością występowania tych bólów głowy i ich możliwym źródle. Bo podczas gdy przed chwilą niewłaściwie ocenił swój stan jako „niezwykły” - czym od dawna były takie migreny - prawda była taka, że od chwili pojawienia się w jego życiu B.J. bóle głowy i

niewyjaśnione okresy roztargnienia stały się nie tyle niezwykle, co po prostu bardzo częste!

Nagle doszedłszy do wniosku, że nie rozumie sam siebie, Harry wzruszył ramionami poirytowany. Bonnie Jean była nieprzeniknioną i tajemniczą kobietą! Więc może te jego migreny wynikały z prób zrozumienia tego, co niepojęte, niepoznawalne? Bo w końcu kto, jak nie B.J. Mirlu, miał czelność nazywać zabójcę wampirów i Nekroskopa Harry'ego Keogha swoim „małym” i wołać do domu jak małego chłopca, który się spóźnia na kolację? Robiła to parokrotnie! A przy tym Harry wypełniał te jej rozkazy z ochotą!

Oczywiście B.J. nie zdawała sobie sprawy z jego... jego czego? Jego tajnych tożsamości, jako Lois Lane i Clark Kent? Wiedziała równie mało o metafizycznych zdolnościach i poprzednim okresie życia Harry'ego, jak on o niej, ale był zupełnie pewien, że nawet gdyby podejrzewała, że jest w jakimś sensie inny czy wyjątkowy, niewiele by to zmieniło, ponieważ był tak bardzo pod jej urokiem. I wiedziała to doskonale! Ale Harry wciąż myślał (błędnie), że ten „urok” nie ma nadnaturalnego charakteru. To jej niezwykła zmysłowość pociągała go tak bardzo albo - choć w głębi duszy temu zaprzeczał - mocno trzymała go przy niej, zamroczonego, zniewolonego, nie zaś jakieś mroczne i ezoteryczne czary. Uśmiechnął się, kiedy pomyślał: *Czy nadmiar seksu może być powodem bólów głowy?*

Z drugiej strony - gdy kolejne ostre ukłucie bólu przeszło mu skroń, a uśmiech zmienił się w grymas - otóż z drugiej strony śmieszne było nawet żartem obarczać B.J. Mirlu winą za ten ból głowy, skoro było oczywiste, że jego źródło leżało zupełnie gdzie indziej...

Czuł ból od chwili, gdy się obudził - a może nawet przedtem - jeszcze jako część snu. A teraz, opiekając chleb i robiąc sobie kawę, Nekroskop zmarszczył czoło, gdy usiłował sobie ten sen przypomnieć.

W owym śnie słyszał szmer kilku głosów szepczących między sobą w mowie umarłych; właściciele tych głosów wyraźnie się spierali o jakąś niejasną sprawę - jakieś niebezpieczeństwo? - dotyczącą jego samego. To przynajmniej na pewno nie było niezwykle, podobnie jak fantazje wytwarzane przez śniący umysł; ludzie często śnią o sytuacjach mających związek z kłopotami swego życia na jawie, mają sny o rozwiązywaniu problemów, w których pozbywają się zebranych umysłowych „śmieci” z codziennego życia i zajmują poważniejszymi sprawami. I czasami, aczkolwiek rzadko, dochodzą do ich rozwiązania. Jednakże, chociaż Harry wiedział o tym, że Kekule von Stradonitz podobno ujrzał słynny „pierścień benzenowy” we śnie, wiedza była w tym wypadku niepotrzebna: mógł się opierać na dawnych, osobistych przeżyciach, w których doświadczył tego fenomenu.

Wracając do samego snu, Nekroskop pamiętał z niego bardzo niewiele i tylko niejasno, jak gdyby patrzył przez warstwę gęstej mgły. W szczególności przypominał sobie frustrację, gdy próbował podsłuchać rozmowę zmarłych. Co do samego źródła, nie opuszczało go wrażenie, że szepczące głosy dochodziły z cmentarza w Hartlepool. Ale było w tym jeszcze coś i to niemało.

I to było źródłem tego bólu głowy: brzęczenie, zakłócenia mowy umarłych, które Harry wyczuwał podczas rozmowy z ekspiratem Billym Browenem. Było to naprawdę niezwykle: to, że dotychczas nieznaną efekt, najpierw dostrzeżony podczas rozmowy ze zmarłym, objawił się potem we śnie z taką siłą, że Nekroskop po przebudzeniu nadal odczuwał jego echa czy odgłosy jako migrenę. Człowiek może śnić o raku, ale byłby ogromnie nieszczęśliwy, gdyby się obudził z rakiem! Człowiek może śnić, że się pali, ale byłoby wysoce nieprawdopodobne, gdyby po przebudzeniu okazało się, że jest poparzony i ma pęcherze! Chyba żeby się naprawdę palił...

Kiedy Nekroskop zjadł śniadanie i przeszywający ból głowy stopniowo ustąpił, cofnął się myślą do czasu, który spędził - była to godzina, a może dwie - w bezcielesnym towarzystwie Billy'ego Browena. Harry zauważył tę nieprawidłowość, wrażenie, że głośność psychicznego eteru - czy raczej wrażliwość jego samego na „emisję” z zewnątrz - nagle wzrosła, krótko po tym, jak ekspirat zaczął opowiadać swoją historię. Wtedy myślał, że może to być kolejny dowód na jego wciąż rosnące zdolności parapsychologiczne, ale kiedy Billy dalej snuł swoją opowieść...

...Natężenie tego szumu rosło i Harry, pamiętając swoje pierwsze wrażenie, znowu porównał je do monotonnego, elektrycznego szumu głośników gramofonu, gdy na talerzu nie ma płyty, a ustawiono zbyt dużą głośność. Ale w rzeczywistości talerz - albo w tym wypadku nośnik czy instrumentarium metafizycznego eteru - nie był pusty, ale stanowił kanał, za pośrednictwem którego porozumiewali się Nekroskop i Billy Browen. Ich procesy myślowe wyrażone w mowie umarłych były analogiczne do obracającej się płyty gramofonowej.

Teraz Harry znów zmarszczył brwi, myśląc: *Kiedy zeszłej nocy zaczęło padać, nasza „prywatna” rozmowa, czy raczej opowieść Billy'ego, rozbrzmiewała w całym psychicznym eterze! Można ją było równie dobrze „słyszeć” w całej mrocznej strefie, także i zmarli mogli ją słyszeć w swych grobach!*

Ale kiedy Harry uporał się ze śniadaniem i sprawdził tę teorię, rozmawiając z kilkoma zmarłymi przyjaciółmi, pochowanymi w pobliżu i w dużej odległości, odkrył, że był w błędzie: ani jeden z nich nie wyczuł w psychicznym eterze żadnych niezwykłych emisji, zapewniając Nekroskopa, że gdyby jego głos i jego ciepło były wysyłane ze zbyt wielkim natężeniem, na pewno by natychmiast wyczuli, usłyszeli i rozpoznali nadawcę.

Pojawiły się więc pytania: jeśli metafizyczna głośność została „podkrecona” rozmyślnie, do jakiego nieznanego obszaru i w jakim celu przekazywano rozmowę Nekroskopa z Billym Browenem? I czy była to po prostu anomalia mowy umarłych, czy też było gdzieś tam coś, co słuchało ich rozmowy?

W chwilę później, rozważywszy to wszystko i nie doszedłszy do żadnego ostatecznego wniosku, zaintrygowany i znacznie teraz ostrożniejszy, Harry wywołał Kontinuum Möbiusa i wrócił na cmentarz w Hartlepool...

O dziesiątej rano cmentarz był wciąż ponury, dzień pochmurny, a po niebie snuły się szare chmury. Harry wszędzie czuł przygnębienie - nawet w psychicznej atmosferze - co sprawiło, że mimo woli zadrżał.

Jak poprzednio, wynurzył się z Kontinuum Möbiusa za filarem w wysokim kamiennym murze, gdzie przez chwilę przysłuchiwał się stłumionym odgłosom ruchu ulicznego oraz ciszy cmentarza, zanim wyszedł na porośnięte zielskiem i pokryte żwirem kamienne płyty głównej ścieżki. Minąwszy starą część cmentarza i kilka zaniedbanych nagrobków z porośniętymi mchem tabliczkami oraz jedno mauzoleum - zbliżając się do odległego, granicznego muru, z którego zwisały zielone pnącza - Nekroskop zboczył z głównej ścieżki i pokonał pozostały odcinek drogi na przełaj, co powinno go doprowadzić prosto do owego opuszczonego zakątka cmentarza, gdzie znajdował się grób ekspirata pod nieoznakowaną pokrytą plamami płytą.

I tam - prawie w miejscu, z którego widać było grób Billy'ego Browena - Nekroskop zwolnił, niepewnie stanął, podrapał się w brodę i rozejrzał wokół, jak gdyby szukając czegoś nieznanego i nieprzyjaznego... a może dotknięty nagłym, niepokojącym przecuciem, że coś się tutaj zmieniło.

Ale co?

Wpatrywał się w zaniedbane groby pokryte gąszczem jeżyn i stare, porośnięte bluszczem tabliczki, wetknięte w niskie kopczyki rozmaitych dawno zapomnianych

ludzi... i zastanawiał się, dlaczego niektóre z nich nie są wypukłe lecz wklęsłe, jakby zapadnięte. Osuwanie się ziemi, pomyślał, w miejscach, gdzie nie była należycie ubita, a zresztą nawet trumny z najlepszego drewna nie trwają wiecznie.

„Lokatorzy” tych grobów chyba już przenieśli się w jakieś lepsze, cieplejsze strefy. A może i nie, bo w końcu pewien niedawno poznany wiking wciąż poniewierał się na dnie morza. I tak, ni z tego, ni z owego, Nekroskop skierował wyrażone w mowie umarłych pytanie do ziemi, która oczywiście nie odpowiedziała. Ale równocześnie wyczuł nagłe poruszenie w kilku stosunkowo świeżych grobach znajdujących się nieco dalej, których „lokatorzy” nadal tam tkwili. Oczywiście wyczuli jego obecność, jego ciepło, ale zwykły szmer podniecenia - czy nawet powitania - nie pojawił się.

Kiedy o tym pomyślał, taka sama, niemal nadnaturalna cisza panowała wczoraj wieczorem, podczas jego rozmowy z Billym Brownem. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z faktem, że zdolności Harry'ego można by nazwać „nadnaturalnymi”. Mógłby się dłużej nad tym zastanawiać, gdyby Billy Brown dokładnie w tym momencie się nie odezwał, witając go.

- *Harry? Czy to ty? Ależ oczywiście! Naturalnie! Któż inny, jak nie Nekroskop, oznajmia swoje przybycie ciepłym powiewem? Mała to ilość ciepła, ale mimo to mile widziana iskra życia. Wszystko, co o tobie słyszałem, jest prawdą, bo naprawdę dotrzymujesz obietnicy!*

Harry niezwłocznie podszedł do grobu ekspirata i jak poprzednio usiadł na marmurowej płycie. Następnie odpowiedziawszy na jego powitanie przyjacielskim zmarszczeniem brwi, powiedział:

- Przyjacielu - jeżeli rzeczywiście jesteś moim przyjacielem - wygląda na to, że coś tutaj jest nie tak, ale jak dotąd nie jestem pewien co.

- *Ach!* - powiedział Billy. - *I myślisz, że to może moja wina, tak? Masz na myśli innych, mam rację? Ale na pewno zdajesz sobie sprawę, Harry, jak przywoici zmarli stronią od kryminalistów. Wiem, że tak. Nie chcą mieć nic wspólnego z takimi jak ja - mordercami i tak dalej - i moją haniebną przeszłością, do której się przyznałem na samym początku. Czyż nie wspominałem czynów popełnionych podczas walki, z których wcale nie jestem dumny? To jeden z powodów, dla których tak się cieszę, że mogę rozmawiać z tobą, bo pozostali mnie nie słuchają, a jeśli nawet słuchają, to nie odpowiadają.*

Tutaj ekspirat mógł mieć rację. Słuchając ciszy cmentarza, Nekroskop pomyślał: *Gdybym zamknął oczy, miałbym wrażenie, jakbym znajdował się w ciemnym pokoju, w którym inni wstrzymują oddech, słuchając i czekając. Ale na co? Czuję, że mnie sprawdzają - że jestem poddawany testom przez niezliczonych zmarłych - i nie wiem dlaczego. Czy fakt, że się zaprzyjaźniłem z Billym Brownem, sprawił, że złamałem jakąś regułę? Czy rzeczywiście sprawiłem tak wielki zawód Ogromnej Większości?*

Oczywiście mógł o to zapytać, ale nie pozwalała mu na to jego duma. Zresztą mogło istnieć inne rozwiązanie tej zagadki, może związane z tym cichym brzęczeniem nieznanymi energiami, które wypełniały metafizyczny eter. Może ten monotony szum tworzył nieprzenikalny ekran, który miał oddzielić Harry'ego i ekspirata od pozostałych bezcielesnych, cmentarnych duchów? Jeżeli tak było i ekran został ustawiony przez niezliczonych zmarłych... wtedy rzeczywiście przedsięwzięte przez nich środki stanowiły zagrożenie dla Billy'ego Browena, a nawet dla Nekroskopa. Oznaczałoby to, że skoro on miał do czynienia z Billym, oni nie chcieli mieć do czynienia z nim.

Niech i tak będzie. Sztywniejąc, Harry nie miał zamiaru dać się powstrzymać: złożył Billy'emu obietnicę i zamierzał jej dotrzymać.

Jego związane z tym myśli były wyrażone w mowie umarłych, nie było potrzeby ukrywania ich przed ekspiratem, którego osobliwej historii Nekroskop chciał wysłuchać do końca.

- *Brawo!* - powiedział Billy. - *Wiem, że jesteś ich bohaterem, bo nawet zmarli potrzebują swoich bohaterów, ale powiedz, Harry: czy ja sam nie jestem samotnym nędznikiem? Jestem. Mogę tylko rozmawiać z tobą. A oto reszta mojej historii...*

- Pozwól, że ci przypomnę - zaczął ekspirat - o moich ślubach dotyczących starych towarzyszy na statku - nawet teraz, po kilku stuleciach, kiedy zapomniano już wszystkie imiona i miejsca oraz wszystkie złe uczynki - są sprawy, których nie mogę nazwać, z obawy przed przekleństwem tychże towarzyszy; przekleństwem, które wciąż może trwać, chociaż ludzie, którzy je wypowiedzieli, już nie żyją. Bo dopóki jestem panem swego sumienia, cierpię wystarczająco od dawnych przekleństw i nie chcę nowych!

Powtarzam więc: są miejsca, o których będę mówił, nie podając ich nazw ani lokalizacji, które być może rozpoznasz, ale ja mimo to nie potwierdzę twoich przypuszczeń, dalekie wyspy, których ziemia może kryć zakopane tam niegdyś skarby, a także imiona głównych bohaterów, które mogą być prawdziwe albo nie.

Na przykład ten młody Will Moffat, który spędził tyle czasu w bocianim gnieździe, taki pełen zdrowia, przystojny i w ogóle, potrafił od czasu do czasu przystawić komuś nóż do gardła, jeśli wiesz, co mam na myśli. Bo prosta załoga starej *Sea Witch* - przebywająca tak często na morzu i pozbawiona męskich uciech - nie wyróżniała się niczym szczególnym.

Ale nie tylko niektórzy zboczeni członkowie załogi od czasu do czasu mieli ochotę na młodego Willa! A ponieważ na pokładzie mieliśmy tylko jednego pasażera... oczywiście wiesz, kogo mam na myśli. Kobietę Czarnego Jake'a, Zhadię!

Och, widziałem, jak za plecami Jake'a patrzyła na Willa, pożerała go wzrokiem, mrużyła oczy, patrząc na jego muskularne ramiona, uda i zniszczone płócienne szorty, kiedy było gorąco - a może kiedy ona sama była napalona? - a jej oczy były błękitne jak samo morze. Co więcej, widziałem, jak on odwzajemniał jej spojrzenia, sporadyczne, ukradkowe spojrzenia, gdy Jake był zajęty czym innym, ale to wystarczyło...

Na czym to skończyliśmy? Jak pamiętasz, był ten sztorm, który naszej *Sea Witch* udało się przetrwać. Po przeprowadzeniu paru drobnych napraw, ze zwisającymi żaglami, obraliśmy kurs na wyspę znaną z tego, że nie ma nic przeciwko piratom i ich łupom. Mogła to być kolonia Thomasa Tewa Libertalia albo może wyspa St Mary koło Madagaskaru, albo wreszcie Port Royal na Jamajce, sam wybieraj. Jednak ta ostatnia - Jamajka, gdzie Port Royal nie bez powodu był uważany za najbogatsze miasto Nowego Świata - to mógłby być doskonały wybór... ale na ten temat nie powiem już nic więcej.

Tak czy owak oto, co się wydarzyło: na zachodnim horyzoncie już wyraźnie widzieliśmy ląd, gdy wiatr całkowicie ucichł i znów zostaliśmy unieruchomieni przez flautę. Będąc tak blisko portu, nie więcej niż trzy czy cztery mile, kapitan Jake mógł wydać rozkaz, żeby wziąć się do wiosel, ale zbliżała się noc i istniało niebezpieczeństwo, że natkniemy się na mielizny, rafy i co tam jeszcze, więc rzuciliśmy kotwicę i otworzyliśmy baryłkę rumu. Nieźle popiliśmy, a w ładowni było pełno zrabowanych skarbów - zwłaszcza srebro, przyprawy, sztaby złota - i kiedy marynarze się tam dostali... ostatnią rzeczą jakiej pragnął Czarny Jake, było, żeby uciekli ze statku przez czystą złośliwość albo może z powodu jego skąpstwa, i potem żyli, pławiąc się w luksusie, w jakimś mieście lub na plantacji w dżungli, podczas gdy my zostalibyśmy bez rąk do pracy. Zresztą skoro żagle *Sea Witch* zwisają pozbawione

wiatru, tak samo było z żaglami wszystkich innych statków i nikt, ani przyjaciel, ani wróg, nie mógł się do nas zbliżyć niezauważony. Poza tym po tym pijaństwie wszyscy uderzyli w kimono i załoga nie nadawałaby się do niczego, kiedy w końcu znalazłaby się na brzegu wyczerpana długim wiosłowaniem.

Tak więc wszyscy doskonale się bawiliśmy, śpiewając pieśni i awanturując się, pijąc, a potem zasypiając tam, gdzie padliśmy; to znaczy wszyscy z wyjątkiem Długiego Toma Fellowsa - zwanego tak, ponieważ mierzył sążęń i jeszcze trochę - który mógł pić tylko wodę, a kiedy jej zabrakło, swoje własne siki! Jeszcze jednego brakowało w naszej wesołej kompanii: młodego Willa Moffata, tego gładkiego chłopaka, który wiedział, kiedy trzeba się trzymać z daleka.

Teraz na pewno myślisz: wszystko to bardzo ładnie, ale co z tą niebieską tkaniną? Zupełnie słusznie, bo o tym jest ta historia...

No więc ten lśniący materiał wciąż wisiał na olinowaniu. Dlaczego? Częściowo dlatego, że Jake kazał go tam zostawić, „żeby trochę zeszywniał”, cokolwiek to miało znaczyć, ale także dlatego, że chłopcy, którzy go wyciągnęli, dostali na dłoniach dziwnych bąbli, jak po oparzeniu meduzy... co prawdopodobnie było prawdą bo morze było wtedy pełne tych stworzeń. Nie żeby niebieska tkanina utraciła swoją siłę przyciągania, wcale nie. Nawet kiedy wszyscy pili i tańczyli, ten lub ów zataczając się szedł, gdzie zwisała i widać było, jak jego oczy zaczynają się szklić - choć już były szkliste - od patrzenia, i od razu było wiadomo, że wszyscy są owładnięci pragnieniem, żeby jej dotknąć. Nawet gdy z nadejściem zmroku jej złocisty blask zbrązował, wciąż stanowiła źródło osobliwej fascynacji...

Z nadejściem dnia ocknąłem się na gołym pokładzie; w głowie mi waliło i każde skrzypnięcie desek *Sea Witch* było jak wystrzał armatni, ale but Czarnego Jake'a na moich żebrach otrzeźwił mnie w mgnieniu oka.

- Wstawaj, ty opoju - mówi (wyjątkowo powściągliwy język, zważywszy na okoliczności). - Rusz się, mister, bo mamy cholerny problem! - I tak też było.

- Długi Tom Fellows zatacza się wokół z guzem na głowie, wielkim jak kurze jajo! - ciągnął kapitan, podczas gdy gramoliłem się na nogi. - Wygląda na to, że przez większą część nocy leżał bez przytomności! Niebieska tkanina znikła, a wraz z nią Zhadia i ten pieprzony Will Moffat! Zabrali łódź wiosłową, niech ich piekło pochłonie, ale nie wiem na pewno, czy to Will ukradł Zhadie, czy ona jego! Jakkolwiek było, młody Moffat kupił sobie bilet w jedną stronę do królestwa Davy'ego Jonesa, a czarne oczy Zhadii będą jeszcze czarniejsze, gdy dopadnę tę podstępną zdzirę!

Tak mówił Jake, a o ile mi wiadomo, nigdy nie złamał przysięgi. Nie takiej jak ta: wynik osobistej zniewagi, delikatnie mówiąc i jestem pewien, że się ze mną zgodzisz.

Ale jak ich dogonić, skoro mieli całą noc, żeby dopłynąć do brzegu? I nie było to tak, jak gdyby Will i ta kobieta nie mogli zapłacić za siebie, bo chłopak zabrał swoją dolę - zapewne nawet trochę więcej - ze schowka, gdzie przechowywano część łupów, które pełniły rolę balastu, jeśli kapitan nie mógł wszystkiego pomieścić w swojej kabinie. Ale to nie był koniec pecha Jake'a, ponieważ przez następne dziewięć godzin morze było wciąż płaskie jak biały brzuch soli, i do portu dotarliśmy dopiero po południu. A tam ani śladu Willa i Zhadii, nawet łodzi, która byłaby ukryta gdzieś w nadmorskich zaroślach.

Przez następne dwa tygodnie Czarny Jake krążył wokół i przeczesywał tę tropikalną wyspę - która, słowo daję, nie była zwykłym atolem z trzema czy czterema palmami, ale miała powierzchnię dobrze ponad tysiąc, a może około dwóch tysięcy mil kwadratowych, była pełna gór, równin i rwących rzek, przecinających dżunglę - zadając pytania, obiecując nagrody, wszędzie szukając uciekinierów i wpadając we wściekłość, ilekroć doznał rozczarowania. Po jakimś czasie kilku członków załogi

machnęło na niego ręką i jeden po drugim pouciekali, dołączając do lokalnych, najczęściej lajdackich społeczności.

Kiedy zwróciłem Jake'owi uwagę na to, co się dzieje, poskutkowało i sprawiło, że nabrał rozumu. Bo na morzu wciąż czekały skarby i człowiek powinien zbijać majątek, dopóki jest w stanie, bo inaczej przeżyje życie i umrze w biedzie. A jeśli chodzi o kobiety... Jake zawsze mógł sobie znaleźć inną czarnooką dziewczynę...

Tak więc zastąpiliśmy marynarzy, którzy umknęli, innymi, których zwerbowałem siłą po czym znowu wyszliśmy w morze; w ciągu następnych sześciu miesięcy zrozumieliśmy, czym naprawdę jest ciężka praca. Nie żeby piractwo było zawsze łatwym chlebem, ale wskutek doznanej straty i urażonej dumy kapitan Jake stał się jeszcze bardziej opryskliwy, łatwiej wpadał w gniew i był zwyczajnie bardziej brutalny niż kiedykolwiek przedtem. Przez prawie dwieście dni stale nas objeżdżał, za byle przewinienie wymierzał chłostę i w ogóle znęcał się nad nami, aż w końcu wszyscy mieliśmy tego dość.

Sytuacja pogorszyła się tak bardzo, że czułem, iż grozi bunt, który nawet sam mógłbym poprowadzić, ale wtedy z ust jedyne go ocalałego ze statku, który opanowaliśmy po zaciętej walce - a potem zatopiliśmy - kapitan Jake usłyszał historię, która natychmiast odmieniła jego naturę i ogromnie poprawiła mu nastrój. Oto ona.

Na owej wyspie pełnej ludzi wyjętych spod prawa, gdzie jak sądziliśmy, ukryli się Moffat i Zhadia, coś się działo. W mało znanej kryjówce w głębi dżungli, w rozpadającym się budynku, skarby w postaci klejnotów, dublonów i srebrnych sztab przechodziły z rąk do rąk tak szybko, jak rozdawane karty i rzucane kości; rum lał się strumieniami, a drogie kobiety wszystkich ras i kolorów skóry, płatne od godziny, mógł mieć każdy, kogo było na to stać. Mogłoby się to wydawać niezbyt dziwne - przynajmniej na tej wyspie - gdyby nie fakt, że opis właścicieli tej meliny o podejrzanym reputacji, nie wspominając o jej bywalcach, wydawał się dziwnie znajomy.

Wydawało się bowiem więcej niż prawdopodobne, że ci ostatni to dezercerzy z Sea Witch, którzy teraz uprawiają hazard, zadają się z dziwkami czy też w inny sposób trwonią wcale nie małą część łupów, otrzymaną od Jake'a Johnsona po ostatniej wyprawie; bo choć ich kapitan był skąpy, byłoby kłamstwem twierdzenie, że kapitan Jake nie dzielił się łupami, których nigdy by tyle nie zgromadził, gdyby nie pomoc jego załogi. Dlatego kapitan zatrzymywał tylko dwie części łupów, podczas gdy jego oficerowie, w tym i ja, dostawali półtorej, a każdy zwykły członek załogi jedną ich część. Ale po podzieleniu pięćdziesięciu na pięćdziesiąt tysięcy części... to kupa forsy! Albo w tym wypadku sześć części.

Rozkwit tej nowej siedziby rozpusty można by wyjaśnić wysokimi wypłatami dla naszych uciekinierów, podczas gdy naturalnie wszelkie pogłoski o nadmiarze łupów, trunków i panienek lekkich obyczajów przyciągałyby nadziane szumowiny ze wszystkich stron, aż owa melina stała się ośrodkiem grzesznych praktyk. Ale czynnikiem decydującym, który przykuł uwagę kapitana Jake'a - fakt, który przesądził o naszym powrocie na wyspę - był opis właścicieli tej meliny ukrytej w dżungli. Założyłem się, że już wiesz, o kogo chodzi.

Jednym z nich był muskularny chłopak w jedwabnej koszuli i spodniach, całkiem młody, ze złotym kółkiem w uchu, pistoletami za pasem, naszyjnikami ze złotych dublonów i złotymi pierścieniami na każdym palcu jego pomarszczonych dłoni... które wyglądały jak gdyby zostały poparzone kwasem lub ogniem. Kapitan Jake pamiętał, że Will Moffat nosił w uchu złote kółko, a także to, że ludzie, którzy przynieśli na pokład niebieską tkaninę, mieli oparzenia, podobne do oparzeń meduzy.

Opis kobiety, współwłaścicielki tej meliny, która na ogół trzymała się na uboczu, ale od czasu do czasu wychodziła na balkon wychodzący na główną salę gry,

żeby popatrzeć na grających i pijących ludzi, młodej kobiety z długimi, zręcznymi palcami, długimi nogami, szczupłą sylwetką bogini i oczyma mrocznymi jak noc. Niezwykła piękność - swoisty skarb - której jedyną wadą wydawało się to, że nigdy się nie uśmiechała i której jedyną szatą był mieniący się, złocisty szal, który obejmował jej ramię i spiralnie owijał się wokół piersi i bioder, jak u niektórych Hindusek. Owa szata, która wydawała się lekka jak piórko, błyszczała jak złoto, więc łatwo ją można było pomylić z tym szlachetnym metalem. Zarówno sama suknia, jak i kobieta były tak olśniewające, że schody wiodące na balkon były po obu stronach stale strzeżone przez grubasów z Arabii, eunuchów, którzy mogli swymi bułatami powalić każdego, kto uległby urokowi tej kobiety i próbowałby się do niej zbliżyć.

Oczywiście to musiała być Zhadia kapitana Jake'a - czy raczej Willa Moffata - bo kimże innym mogłaby być ta kobieta? A jej złocista szata...

Mam mówić dalej?

To ostatnie pytanie obudziło Harry'ego, który niejasno zdawał sobie sprawę, że powinien na nie odpowiedzieć. Siedząc na niskiej kamiennej płycie, przechylił się w prawo; teraz, wyprostowawszy się, zadrzał i podskoczył, mrugając powiekami i zastanawiając się, co się dzieje. Faktycznie przez chwilę, zanim całkowicie wróciła mu świadomość, Harry nawet nie potrafił powiedzieć, gdzie jest ani co robi!

Ten stan półprzytomności mógł doprowadzić człowieka do szału! Może rzeczywiście tracił rozum?

- Co? - powiedział Billy, próbując robić wrażenie zaskoczonego. - *Jesteś tu jeszcze, Nekroskopie? Czy moja opowieść jest tak nudna, że omal nie zasnęłeś?*

Zasnąć, słuchając Billy'ego? Rzeczywiście? Jeżeli tak było, nie zdawał sobie z tego sprawy, ale był całkiem pewien, że dotarło do niego każde słowo historii ekspirata! Słyszał przecież jego pytanie, nieprawdaż? O Zhadii i czy Billy ma mówić dalej. Tak, na pewno słyszał, a mimo to wciąż miał wrażenie, jak gdyby był w jakimś transie, jak żelazne opilki schwymane przez pole magnetyczne... A może został zahipnotyzowany? Jeszcze teraz czuł, jak jego metafizyczny umysł wiruje poza swoją normalną orbitą jak gdyby wypił zbyt wiele, i nie był pewien, czy reszta jego istoty działa jak należy!

- Co? - powiedział Nekroskop, tyleż do siebie, co w przestrzeń, wciąż oszołomiony swoim stanem. - Au! - jęknął, prostując się i ściskając głowę, w której mu dudniło, jak młotem... i stwierdził, że prawą dłoń ma pełną mokrej ziemi! To dlatego był przechylony w prawo, ponieważ z jakiegoś całkowicie niewytłumaczalnego powodu wciskał palce głęboko w ziemię, wciąż mokrą po wczorajszym deszczu.

- Au? - powtórzył Billy, który starał się robić wrażenie zaniepokojonego, ale wypadło to jakoś nieprzekonująco. - *Zraniłeś się?*

- Czy się zraniłem? Tak! - powiedział Nekroskop, kiwając głową. - To moja głowa... mam wrażenie, że zaraz mi pęknie od tego brzęczenia! Co, u licha... co to jest, do diabła, i dlaczego rozlega się coraz głośniejsze?

- *Brzęczenie?* - powiedział Billy, wyraźnie zaintrygowany. - *Masz na myśli to dalekie brzęczenie, jakby naprężonej liny? Tak, ja też to słyszę, ale mnie to nie przeszkadza. To jest chyba skutek twoich niezwykłych zdolności. W każdym razie tak mi się wydaje.*

- Jak powiedziałaś? Dalekie? - Harry był zaskoczony. - To znaczy że tobie wydaje się dalekie? Ale mnie nie, Billy! Mnie się wydaje, że jest tuż, tuż!

Wyczuł, jak tamten wzruszył ramionami - właściwie to poczuł, z powodu wzrostu głośności tego czegoś, co wstrząsało nie tylko nim samym, ale i całym psychicznym eterem, i w następnej chwili aż się zatoczył pod wpływem gwałtownej,

zupełnie nieoczekiwanej zmiany, gdy nagle przestało walić mu w skroniach... stało się to w jednej chwili, jakby źródło tego brzęczenia nagle znikło.

- *Więc może ty sam byłeś tego przyczyną!* - powiedział ekspirat. - *Bo teraz tego nie słyszę, znikło niemal natychmiast po tym, jak o tym wspomniałeś. Nie obraż się, Nekroskopie, ale wydaje mi się, że to wszystko twoja sprawka, to ten twój niezwykle umysł.*

Rzeczywiście mogło tak być! Faktycznie Harry czuł, że nawet jeśli on sam czy Billy Browen „szeptali” podczas tej ostatniej sesji, brzmiało to tak, jakby się darli! Ale z drugiej strony wiązał te monotonne odgłosy, wywołujące migrenę, z bliskością Billy'ego. A ponieważ wydawało się, że ten ostatni właśnie zrobił przerwę w swym dziwnym opowiadaniu, Nekroskop postanowił, że i on na jakiś czas przerwie kontakt... z tym tajemniczym panem Browenem. Nie żeby nie miał zamiaru powrócić, bo cokolwiek tu się działo, Harry przyrzekł sobie, że musi to wyjaśnić, wysledzić do końca.

- Billy... - powiedział, krzywiąc się i mrużąc oczy, obawiając się, że echa tego słowa zabrzmią w jego głowie jak grzmot, ale kiedy tak się nie stało, odetchnął z ulgą - myślę, że może powinniśmy na parę godzin zrobić przerwę. - I zerknąwszy na zegarek, dodał: - Zbliży się godzina, kiedy zwykle jem lunch. Jest tu takie miejsce, gdzie będę mógł coś zjeść i popić piwem, a przy okazji połknąć kilka aspiryn. Więc obawiam się, że teraz muszę cię przeprosić.

I zanim tamten zdążył odpowiedzieć, zapytał Nekroskopa, co ten zamierza, Harry niepewnie się podniósł, zrobił krok, potem jeszcze jeden, czy raczej pół kroku...
...I już go nie było.

Mała restauracja w głębi ładu, zaledwie kilka ulic od starego portu w Hartlepool, którą Nekroskop i jego ówczesna dziewczyna, Brenda, odwiedzali od czasu do czasu podczas swych długich spacerów, żeby zjeść kanapkę czy wypić filiżankę obrzydliwej kawy, wciąż była tam gdzie wtedy. Na szczęście zniszczona apteka była zaledwie o dwa sklepy dalej i Harry kupił kilka aspiryn, zanim wszedł do restauracji i usiadł przy małym, brudnym stoliku.

Zamówił filiżankę kawy, równie obrzydliwej jak kiedyś i kanapkę z bekonem, połknął trzy tabletki aspiryny i z przyjemnością zauważył, że ból głowy szybko ustępuje. Jednak możliwe, że działo się tak dlatego, iż Harry odgrodził się od psychicznego eteru, jakby „wyłączając” swe zdolności; myślał, że to brzęczenie może się teraz stać czymś normalnym, immanentną częścią jego metafizyki.

Było to coś, co Harry mógł natychmiast poddać próbie, i uporawszy się zjedzeniem, tak właśnie uczynił: ostrożnie otworzył swój umysł, aby go dostroić do znanych emanacji tła z miejsca po drugiej stronie życia. Mimo że był przygotowany, by wycofać się w jednej chwili i zamknąć swój umysł, szmery dochodzące z psychicznego eteru były znajome i w zasadzie wolne od owego brzęczenia. Słuchając uważnie, Harry odniósł wrażenie, że jednak słyszy dalekie, słabnące brzęczenie... które wszakże niebawem całkowicie ustało.

Teraz zamiast niego - przenikając eteryczny szmer i szum tła - usłyszał coś innego: „głos”, już nie tak zuchwały i chełpliwy jak poprzednio, który poznał od razu.

- *Harry?* - powiedział głos tego nieco przygaszonego nowego znajomego. - *Harry, jeżeli to ty, a jestem tego właściwie pewien, myślę, że powinienesz wiedzieć, że masz poważny problem.*

- Erik Haroldson? - powiedział Nekroskop, wstając i przygotowując się do opuszczenia restauracji. - Jesteś upartym utopionym wikingiem, słowo daję! O co chodzi?

Gruby właściciel, który pojawił się w pobliżu, zbierając puste filiżanki i talerze, zatrzymał się i przekrzywił głowę.

- Słucham? - powiedział. - Życzy pan sobie jeszcze czegoś?

- Ee, nie - odparł Harry, który miał ochotę się ugryźć w język. Normalnie nie robił takich błędów, ale teraz nie potrafił się skoncentrować. Uniósłszy mentalne ekrany, wyjaśnił: - Nie, po prostu mówiłem do siebie, to wszystko. - I uśmiechając się przepraszająco, wzruszył ramionami.

- Hmm! - powiedział tamten i wrócił do przerwanych zajęć, mówiąc: - Ja robię to stale. Więc obaj powinniśmy uważać! Mówią, że to pierwszy objaw!

Wychodząc z restauracji, Harry przeciął wąskie alejki między zapuszczonymi ulicami i skierował się do portu. Przedtem miał zamiar wrócić prosto na cmentarz - czuł, że coś go tam ciągnie - ale wyglądało na to, że Erik Haroldson chce mu przekazać jakieś ostrzeżenie... a może to była tylko zachęta, przynęta, by podstępem zmusić do kolejnej jałowej rozmowy. No cóż, wkrótce się o tym przekona.

Dotarłszy do zniszczonego wału nadmorskiego, Nekroskop w końcu opuścił mentalne ekrany i wykorzystując mowę umarłych, chciał ponownie nawiązać kontakt z dawno zmarłym rabusiem. Jednak ponieważ w zasięgu wzroku ani słuchu nie było żywej duszy, swoje myśli wyraził na głos, co zawsze stanowiło sposób najprostszy.

- Wspomniałeś o jakimś problemie, Erik, prawda? Zagraża mi jakiś gadatliwy zabijaka?

Wspiąwszy się na szeroki wał i usiadłszy w tym samym miejscu co wczoraj, skierował wzrok na pofalowane wody morza i czekał aż Erik odpowie. Ale zamiast tego... cóż to za wściekły gwar?

- *Na tym właśnie polega problem* - stwierdził Erik, którego ledwo było słyszeć wskutek interferencji mowy umarłych. - *Ogromna Większość, jak sami siebie nazywają, albo po prostu niezliczeni zmarli, bo tym są w istocie. Powiedz mi: czy to prawda, że nie zauważyłeś niczego, niczego dziwnego w ich zachowaniu, Nekroskopie?*

Harry zmrużył oczy. Teraz, gdy Wiking o tym wspomniał, zdał sobie sprawę, że istotnie zauważył coś szczególnego, jakąś powściągliwość u tych, z którymi rozmawiał, z wyjątkiem ekspirata; jakąś atmosferę niemego wyczekiwania zmarłych pochowanych na starym cmentarzu, a także niezwykle u nich unikanie kontaktu, co sprawiało, że w parapsychologicznym eterze panowała niepokojąca cisza, mimo że obecność Harry'ego zawsze była mile widziana.

Po prostu wyglądało to tak: chociaż jak na razie Ogromna Większość nie unikała Nekroskopa ostentacyjnie, nie wykazywała także szczególnej ochoty wyjścia naprzeciw.

- *No właśnie* - powiedział Erik, który znał myśli Harry'ego, pomimo anonimowego zagłuszenia mowy umarłych.

- To wszystko? - powiedział Harry. - Sądysz, że mam problem, ponieważ czasami nawet zmarli potrzebują odrobinę prywatności i wolą trzymać się razem? - Była to czysta sofistyka i nikogo nie zdołała oszukać.

- *Ha! To coś znacznie więcej i dobrze o tym wiesz!* - oświadczył Wiking. - *A zresztą jeszcze niczego ci nie powiedziałem. Poza tym nie wiadomo, dlaczego miałbym to uczynić! Jesteś bardzo niewdzięcznym człowiekiem, Nekroskopie, i mam ochotę zatrzymać to, co wiem, dla siebie!*

- Więc dlaczego tego nie zrobisz? - warknął Harry i natychmiast zamilkł. To było nie w jego stylu: zachowywać się wobec zmarłych szorstko czy okrutnie. Uznawał zasadę oko za oko, ale Erik nie uczynił mu żadnej krzywdy, a wyglądało na to, że Wiking rzeczywiście chciał go ostrzec przed jakimś dostrzeżonym przez siebie niebezpieczeństwem.

- Słuchaj, przepraszam - powiedział Nekroskop gwałtownie. - Wczoraj nie zaczęliśmy najlepiej, byłem w kiepskim nastroju. A jeśli chodzi o ciebie... no cóż, spójrzmy prawdzie w oczy: leżysz głęboko pod wodą i co z ciebie jeszcze tam zostało? - Ale w tej samej chwili, zrozumiawszy, jak niezręcznie musiało to zabrzmieć, Harry ugryzł się w język.

Jednak gruboskórny Wiking nie zwrócił na to uwagi - a w każdym razie postanowił zignorować popełnioną przez Harry'ego gafę - i powiedział:

- *No więc może mimo wszystko będziemy mogli zostać przyjaciółmi? Albo przynajmniej znajomymi?*

- Oczywiście, bardzo chętnie! - powiedział Harry z ulgą. - Więc co jeszcze chcesz mi powiedzieć? Ale jeśli można cię prosić, mów szybko, bo mam coś ważnego do załatwienia i zaraz będę musiał iść.

- *Więc masz ochotę odejść, tak?* - powiedział z nutką wyrachowania.

Wtedy psychiczny gwar znów urósł niby ściana dźwięków, celowo utrudniając rozmowę Harry'ego z Wikingiem. Zaskoczony i zły, Nekroskop pamiętał jednak, żeby włączyć „tryb” mowy umarłych - zanim krzyknął w psychiczny eter.

- *Co to wszystko znaczy, do diabła? Jeśli chcecie, możecie wyłączyć mnie, a także tego wikinga, ale nie mieszajcie się do moich spraw! Jeżeli zrobiłem coś, czego nie akceptujecie, powiedzcie mi o tym - jeśli zdecydujecie się znów ze mną rozmawiać - ale do tego czasu odczepcie się ode mnie i zamknijcie się, do licha!*

Wrzawa niemal natychmiast ucichła, a w bezcielesnym głosie Erika Haroldsona zabrzmiał podziw, gdy powiedział:

- *Tak jest dużo lepiej! Nawet moja zrzędliva załoga zamilkła!*

Nekroskop uspokoił się i powracając do rozmowy w normalnym trybie, powiedział:

- Teraz może mi powiesz, o co chodzi?

- *Mogę ci powiedzieć tylko to, co mnie powiedziano* - odparł tamten. - *A było to dawno temu.* - I po chwili milczenia: - *Czy wiesz - czy zdajesz sobie sprawę, Harry - jak twardzi są w większości ludzie wybrzeża? No więc tacy są i byli zawsze.*

Harry westchnął niecierpliwie; naprawdę nie rozumiał, do czego to wszystko zmierza; teraz, gdy owo brzęczenie ustało, chciał usłyszeć zakończenie historii ekspirata, a był z dala od starego cmentarza już od jakiegoś czasu. Ale w końcu odpowiedział Wikingowi, mówiąc:

- Mieszkałem tutaj, tu chodziłem do szkoły, stykałem się z twardymi dziećmiakami. Doskonale wiem, jak twardzi są tutejsi ludzie, którzy są solą tej ziemi. I dotyczy to także tych, którzy są już w ziemi! Nawiasem mówiąc, wszyscy, którzy mnie znają, mogą ci powiedzieć, że nie jestem mięczakiem. Ale co z tego wynika? O co tu chodzi?

- *Za moich czasów* - powiedział Erik - *żyli wyjątkowo twardzi ludzie, ale były to trudne czasy. Wiem, że mówiłem, że ludzie umykali przed nami, ale nie zawsze. Wtedy, gdy zatopili nasz statek, czekali na nas, chcieli nas zmusić, żebyśmy zapłacili za inne nasze napady, za nasze kradzieże, nasze podpalenia i nasze napaści na ich kobiety. I tak się stało. Patrząc wstecz, przypuszczam, że zasłużyliśmy na to. Byliśmy piratami nie mniej niż wasze nowsze odmiany, tylko że my byliśmy jednymi z pierwszych w tej branży; rzeczywiście „Yaryargi” byli o całe siedem stuleci wcześniejsi niż ten, któremu teraz poświęcasz czas! Ale tak jak z nami rozprawili się dzielni obrońcy tego kraju - nawet jeśli to byli zwykli rybacy - tak samo rozprawiono się z żyjącymi później... w tym jak sądzę, z tym, który spoczywa na starym cmentarzu i który opowiada ci tę historię spod swego nagrobka. Możliwe, że wiem także to i owo na temat tego nagrobka.*

Słabnące stopniowo zainteresowanie Nekrokopa od razu odżyło.

- Co? Masz na myśli Billy'ego Browena? I jego pozbawiony tabliczki nagrobek?

- *Tak się nazywał? Niezliczeni zmarli wzniesli taką barierę, że jestem w stanie pochwycić jedynie strzępy ich rozmów. Ale mimo to, jeśli dobrze pamiętam po upływie tylu lat, tak rzeczywiście brzmiało jego nazwisko, kiedy je ostatnio słyszałem.*

Harry, teraz ogromnie zaciekawiony, zapytał:

- Kiedy to było i w związku z czym je wymieniono?

- *To całkiem inna historia, Nekroskopie, historia, którą usłyszałem od jednego z towarzyszy Billy 'ego - młodego mężczyzny nazwiskiem Will Moffat - który zawisł na szubienicy obok Billy 'ego tutaj, na tym wale nadmorskim. To było... och, bardzo dawno, całe trzysta lat temu!*

- Sądzeni jako piraci, uznani za winnych i powieszani za swe zbrodnie. I Will, i Billy. - Harry wolno pokiwał głową. - To wyjaśnia, dlaczego grób Billy'ego na starym cmentarzu jest nieoznakowany... ale przynajmniej został pochowany w poświęconej ziemi! Jednak gdzie jest Will?

- *Zgnił na szubienicy - powiedział Erik. - Co jak mówią niektórzy, samo w sobie było zbrodnią, nie tylko ze względu na jego młody wiek, lecz także z tego powodu, że nie był zdrow na umyśle. Uderzono go w głowę tak mocno, że doznał wstrząsu mózgu i pozostała mu blizna, która mogłaby dorównać mojej! Ale jeśli ja zachowałem rozum, to Will go utracił. Jednak po śmierci mu powrócił i wtedy usłyszałem jego historię. Obaj byliśmy ulepieni z tej samej gliny, mogliśmy przynajmniej obcować ze sobą, choć nie z innymi. Ale zrozumiesz to wszystko o wiele lepiej, Nekroskopie, jeśli pozwolisz mi to opowiedzieć, tak jak mnie to opowiedziano.*

Jeszcze jedna historia? Harry był rozdarty; przyzywał go stary cmentarz i Nekroskop zastanawiał się, czy ma na to czas. A mimo to jakiś instynkt mówił mu, że to, co wiedział ów wiking o losach Willa Moffata, może mieć wielkie znaczenie, że może nawet stanowić klucz do całej otaczającej te wydarzenia tajemnicy.

- Dlaczego, Will, sam nie może opowiedzieć swojej historii? - spytał.

- *Ponieważ Willa już tu nie ma - powiedział Wiking. - Ponieważ wyniósł się stąd wiele lat temu. Przypuszczam, że może to stanowić miarę, wedle której przeżył swe życie. Siłą zwerbowany na statek jeszcze jako szczeniak, przymusowo został praktykantem. W końcu stał się piratem, bo tylko to potrafił. Ale ktoś gdzieś znalazł powód, aby mu przebaczyć, i teraz już go tu nie ma. Może pewnego dnia ja i moi ludzie także stąd odejdziemy. Chyba są w Yalhalli miejsca nawet dla takich jak my? W każdym razie taką mamy nadzieję.*

Czyżby to było sumienie? U tego otwartego i chełpliwego wikinga? Mile zaskoczony Harry skinął głową z aprobatą.

- Jestem pewien, że w końcu tam traficie - powiedział. - Ale zanim to się stanie, może powinienem usłyszeć historię Willa.

- *Chętnie ją powtórzę - powiedział Erik. - Ale najpierw... słuchaj!* - Kiedy tak nagle w dramatyczny sposób przerwał, Harry prawie sobie wyobraził, jak przekrzywia głowę, próbując się skupić. - *A teraz mi powiedz - podjął po chwili Erik - co o tym sądzisz?*

Harry słuchał, zmarszczył brwi i w końcu odparł kwaśno:

- To jest Ogromna Większość. Nie wiem, co zamierzają - to wszystko jest dla mnie bardzo dziwne - ale wygląda na to, że wznoszą kolejny mur.

- *Istotnie!* - potwierdził Wiking. - *Ale mur, który teraz wznoszą, to nie jest mur między tobą a mną, Nekroskopie. To jest mur między nami a pewnym starym cmentarzem! Jak myślisz, dlaczego tak jest?*

Harry przez chwilę milczał...

...Po czym zmienił temat:

- Już znam część historii Willa - powiedział, kiedy Wiking szykował się, aby zacząć. - Jeżeli jest to ta sama historia, wysłuchałem jej do miejsca, w którym Will i kobieta imieniem Zhadia założyli coś w rodzaju schronienia na porośniętej dżunglą wyspie, w którym piraci wszelkiej maści mogli się czuć względnie zabezpieczeni przed atakiem ze strony organów sprawiedliwości. Wiem także, że kapitan Jake Johnson - noszący przydomek Czarny Jake - postanowił znaleźć Willa, wyrzucić na nim zemstę i odebrać Zhadie, którą młodzieniec mu wykradł. I w tej historii jest także mowa o szalu czy pelerynie z połyskującej złocistej tkaniny, która spadła z nieba.

- *A zatem* — powiedział bezcielesny rozbójnik - *to z pewnością ta sama historia! Oto jej dalszy ciąg.*

- Will Moffat wiedział, że prędzej czy później Czarny Jake dowie się o jego wyprawie na tropikalną wyspę, jego gnieździe rozpusty i zacznie go szukać, tak jak poprzednio, gdy Will i Zhadia ukrywali się w dżungli; z tego powodu przebiegły młodzieniec miał szpiegów wśród lokalnej ludności w nadbrzeżnych miastach i portach, a nawet w odległych zatokach, gdzie załogi statków miały w zwyczaju schodzić na ląd, czasem jawnie, a czasem potajemnie, zależnie od sytuacji. Szpiegów, których Will wykorzystywał, opłacano pieniędzmi, rumem i obietnicami, to wystarczało, by byli zainteresowani jego bezpieczeństwem.

Kiedy więc Jake zawinął swym statkiem do takiej odległej zatoki i poddał torturom kilku miejscowych, by wyciągnąć z nich informacje, Will dowiedział się, że jego dawny pan, ten brutalny pirat, przybył po niego. I wtedy przygotował się, jak potrafił, wiedział bowiem, że tym razem Czarny Jake na pewno go znajdzie. Faktycznie Will pogodził się z faktem, że bez względu na to, ile czasu to Jake'owi zabierze, w końcu go odnajdzie, ponieważ nie leżało w jego naturze pozostawienie bez odpowiedzi zniewagi, jakiej doznał.

Kiedy Czarny Jake zawinął do tej zatoki, wyciągnął statek na brzeg i zapędził załogę do pracy przy skrobaniu i łataniu jego dna, po czym przebrał się, najlepiej jak potrafił, i wraz z Billym Brownem oraz dwoma innymi ludźmi zabrali całą broń, jaką mogli znaleźć i ruszyli do dżungli, aby złożyć Willowi wizytę.

Tymczasem interes Willa i Zhadii kwitł - przynajmniej jeśli chodzi o finanse, bo w innych dziedzinach było zupełnie inaczej, więcej powiem o tym później, kiedy historia się rozwinie - więc ich schronienie u stóp porośniętego dżunglą wzgórza przekształciło się z rozpadającej się rojącej się od moskitów meliny, w zbiorowisko chałup, z centralną budowlą która w tym czasie musiała się wydawać prawdziwym pałacem. Była tak duża, a nawet większa niż największa sala zebrania wikingów, w której piłem; była dwupoziomowa i przylegała do stromej zbocza, przy czym całe górne piętro należało do Willa i Zhadii.

Mówiłem o przygotowaniach młodego Willa, które były raczej skromne. Zawiadomił kilku swoich klientów - szóstkę dawnych członków załogi *Sea Witch* - o spodziewanym rychłym przybyciu Czarnego Jake'a i wyznaczył nagrodę za jego głowę. Każdy z tej szóstki miał pistolet, broń zupełnie nieznaną w czasach wikingów, który wyrzucał małe metalowe kulki z taką szybkością, że mogły ugodzić człowieka w serce i pozbawić go życia! I oczywiście wszyscy mieli noże i miecze. Sam Will był uzbrojony w podobny sposób.

Wszystko to bardzo pięknie, ale Czarny Jake, oprócz broni, miał reputację brutalnego okrutnika, a przede wszystkim był zdumiewająco długowieczny! Uprawiał bowiem piractwo „na siedmiu morzach”, jak zwykł był nazywać to Will, oceanach nieznanymi w czasach wikingów. Brał udział w mnóstwie bitew, nie tylko z przedstawicielami prawa i żołnierzami na lądzie i morzu, lecz także z innymi piratami.

Pogłębił wiele załóg, a sam wyszedł bez najmniejszego szwanku! I dlatego ci twardziele, którzy udali się wraz z nim do schronienia Willa i Zhadii, nie odczuwali lęku przed tym, co mogło ich czekać; śmiałość, niezwykle szczęście i umiejętności bojowe ich wodza - nie wspominając o ich własnej waleczności - z pewnością zapewnią im bezpieczeństwo.

Co do Billy'ego Browena, możliwe, że miał jakieś własne plany - nie żeby wypadki potoczyły się po jego myśli - ale nie chcę wyprzedzać wydarzeń, bo ta historia powinna rozwijać się własnym rytmem...

Tak więc wraz z porą deszczową która właśnie nadeszła, Jake i jego ludzie wędrowali przez dżunglę, a ponieważ szpiedzy Willa schronili się przed deszczem, nie zauważyli kapitana *Sea Witch* i jego towarzyszy, aż cała czwórka znalazła się u stóp schodów wiodących do wejścia do centralnej budowli. I wtedy Jake stanął oko w oko z dwoma z owej szóstki, która zbiegła ze statku, jeden z nich zapłacił za dezercję jednym pchnięciem miecza, a drugi ostrym jak brzytwa nożem, który przeciął mu tchawicę.

Wówczas z deszczu wyłonił się Czarny Jake i jego ludzie i wpadli do sali gier. Przebrani i ociekający wodą rozproszywszy się po wielkiej zadymionej sali, szybko wmieszali się w tłum hazardzistów, prostytutek i nasiąkniętych rumem opojów, wśród których szybko odnaleźli i załatwili, najciszej jak potrafili, trzech dawnych członków załogi *Sea Witch*. Jedyny dezertor, który przeżył - zdając sobie sprawę, co się dzieje, że jego dawni towarzysze, a teraz wrogowie, przeniknęli do ukrytej w dżungli meliny i wpadli w szal zabijania - wszczął spóźniony alarm i uciekł co sił w nogach.

- Wtedy, zaraz po odkryciu ich obecności, Czarny Jake i jego mściciele zebrali się ponownie u stóp szerokich schodów wiodących na wysoki balkon z zasłoną z koralików, górujący nad całą salą pełną graczy i hulaków. Na schodach napastnicy stanęli twarzą w twarz z dwójką grubych eunuchów uzbrojonych w zakrzywione miecze, które jednak okazały się zupełnie bezużyteczne wobec pistoletów, ale w tym momencie ostrożność już przestała mieć znaczenie.

Zastrzeleni Arabowie legli na schodach, a ich krew spłynęła w dół, podczas gdy Jake i jego ludzie rzucili się na górę. I tam, u szczytu schodów, natknęli się następnymi dwoma eunuchów, których potraktowali pistoletami, mieczami i nożami.

W międzyczasie większość pijanych gości w wielkiej sali zdała sobie sprawę z inwazji, a ponieważ Jake i jego ludzie pozbyli się przebrania, ryczący kapitan piratów i jego kamraci w końcu ukazali swoje prawdziwe oblicze ludzi budzących powszechny postrach. Na dole - gdy karty i kości rozsypały się, stoły poprzewracano, a rum rozlano - ciżba trzeźwych i kompletnie pijanych ludzi oraz wrzeszczących dziwek ruszyła w panice w kierunku zatłoczonego wąskiego wyjścia.

Ale pistoletowe strzały i krzyki - oraz ogólna wrzawa - w końcu ostrzegły innych znajdujących się w pomieszczeniach na górze, i na balkonie stanęła postać odziana w niezwykle złotą szatę. Oczywiście była to Zhadia, której twarz była piękna jak zawsze, choć wydawała się dziwnie nieobecna. A koło niej pojawił się - któż, jak nie młody Will Moffat, który mimo bogatych szat wydawał się podobnie apatyczny i nieobecny - a może zrezygnowany? - z zapadniętymi oczyma w ziemistej twarzy.

Przez chwilę - przez jedną krótką chwilę - trwał ten żywy obraz... po czym z wysoko uniesionym krótkim mieczem i gorejącymi oczyma, zgrzytając zębami, Czarny Jake runął na parę kochanków. Młody Will stanął między swym dawnym panem a Zhadią próbując wyszarpnąć pistolet spod jedwabnej szarfy, ale ten wypadł mu z drżącej dłoni! Zupełnie nie do wiary, bo mógł być jednym pociągnięciem palca położyć trupem Czarnego Jake'a! Ale dłonie Willa nie były już takie jak niegdyś!

Wtedy Jake skoczył na niego, z głośnym okrzykiem uniósł miecz i opuszczył go na głowę Willa. Ciął go głęboko i przygwoździł do podłogi, po czym stanął nad nim okrakiem i jeszcze raz uniósł miecz. I wtedy...

...Stało się coś dziwnego! Bo oto Billy Browen odepchnął Czarnego Jake'a ramieniem od ogłuszonego młodzieńca i wyciągnął swój miecz, który zderzył się z opadającym mieczem kapitana, aż posypały się iskry, a Jake zaklął z wściekłości! Ale zanim zaskoczony wybuchnął gniewem, Billy zawołał:

- Zaczekaj! - szybko cofając się, aby znaleźć się poza zasięgiem wpatrującego się weń Czarnego Jake'a. - Kapitanie - mówił dalej - Will to tylko chłopak! Nie zabijaj go, Jake! Bo nic w ten sposób nie zyskasz - żadnej sławy czy chwały - tylko wstyd, gdy się rozniesie, że zabiłeś zwykłego młokosa, i to tylko dlatego, żeby zrobić na złość podstępnej kobiecie!

Wszystko to usłyszałem z ust młodego Willa Moffata, który mi to powtórzył, kiedy wisiał gnijąc na szubienicy, zapamiętał bowiem prośby Billy'ego, aby kapitan go oszczędził, kiedy leżał ogłuszony na podłodze, zwijając się z bólu.

A Zhadia przez cały czas stała, blada jak duch, patrząc obojętnie to tu, to tam, z twarzą zupełnie bez wyrazu, musiała być w szoku, a Czarny Jake i jego ludzie chyba uwierzyli, że tak jest rzeczywiście. I teraz gniew rogowca - zdradzonego kapitana - zwrócił się przeciwko niej.

Zbliżył się, żeby ją ciąć mieczem, ale w ostatniej chwili powstrzymał uderzenie i prawie się zakrztusił, nazywając ją dziwką! Złapał skraj złotej szaty, który okrywał jej ramię, i warknął:

- Cała okryta złotem, tak? A twoje ciało jest tak bardzo cenne, że zwykły chłopak może czerpać z niego rozkosz, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota? A te wszystkie przesiąknięte rumem typy tam na dole?... Ilu z nich widziało, co się kryje pod tą mieniącą się szmatą? Ty podstępna dziwko!

I mówiąc to, szarpnął niebieską tkaninę, żeby ją z niej zerwać. Ale zamiast pęknąć tkanina odwinęła się z jej ciała, jakby z własnej woli, a Zhadia wskutek szarpnięcia zaczęła się obracać, a potem zachwiała się na nogach i przewróciła, naga jak nowo narodzone dziecko, ale wcale nie tak nieskazitelna jak połyskująca szata, która już jej nie okrywała. Biedna istota była naga... biedna zagubiona dusza, uwięziona w ciele, *które nie było już piękne, lecz straszliwie odmienione!*

Will, który to tracił, to odzyskiwał przytomność, zobaczył ją i zdał sobie sprawę, że to, co podejrzewał od pierwszej chwili, gdy Zhadia zawładnęła szatą - albo gdy szata zawładnęła nią! - jest rzeczywistością Czarny Jake także to zobaczył; szarpnął dłonią w tył, desperacko próbując się uwolnić od tej dziwnej sieci, która paliła go jak ogień! Chciał ją odciąć ostrym brzeszczotem swego miecza, ale tkanina nie dawała się przeciąć! Klnąc, zataczając się i tupiąc, mocno pociągnął, wskutek czego leniwie unosząca się tkanina nagle zaczęła się poruszać szybciej i w następnej chwili owinęła się wokół Czarnego Jake'a, niczym pokryta łuskami skóra węża morskiego!

Jake zachwiał się na nogach, a oczy wyszły mu na wierzch, gdy spod złotej szaty, która teraz okrywała go całego, opadły dymiące szczątki jego garderoby: kawałki skórzanej kurtki, spodni z płótna żaglowego, jedwabnej koszuli i szarfy. A także broni; wszystko to potoczyło się po podłodze, szerniało i tłące się, jakby pokryte gorącą smołą!

Kapitan zataczał się, najwyraźniej z bólu, ale Czarny Jake był tak silny, że nie upadł! I zanim stracił przytomność, zdołał wypowiedzieć tylko te słowa - które Will dokładnie zapamiętał:

- Zaopiekuj się mną mister. I tym młodym sukinsynem... - I kopnął Willa w żebra. - Bo jeszcze z nim nie skończyłem. Uch! - Po czym jego oczy zaszklily się, usta zwiotczały, a ból zniknął, ale wraz z nim opuścił go rozum. I to było wszystko, czego

Will Moffat był świadkiem. Zanim stracił przytomność, jeszcze raz spojrzął na Zhadie, która leżała na podłodze, i zobaczył, kim naprawdę się opiekował, od chwili gdy Zhadia po raz pierwszy przywdziała niebieską tkaninę.

Od szyi w górę była taka sama, jak zawsze i podobnie od kolan w dół, ale jej postać, kiedy była okryta złotą szatą stanowiła jakby przebranie; szata nadawała jej sztuczny wygląd, taki jak sama chciała wyglądać! Albowiem teraz była jak wiedźma! Zniknęła urocza Zhadia, nie było już jej zachwycającego ciała, została tylko stara, bardzo stara kobieta, prawdziwa wiedźma! Jej piersi przypominały zwiędłe, obszarpane worki, zwisające na żebrach, z których kilka było widać tam, gdzie wyschła skóra je odsłoniła. Brzuch miała cały w plamach, szerniały i pomarszczony, jak wysuszona skóra, która zbyt długo leżała wystawiona na działanie słońca. A z kiedyś pełnych, jędrnych ud i krągłego tyłeczka teraz została tylko skóra i kości, a w wielu miejscach nie było już nawet skóry!

Młody Will Moffat zobaczył ją taką i wiedział, że jego najgorsze obawy sprawdziły się. Bo przez te wszystkie miesiące, od kiedy po raz pierwszy przywdziała tę szatę - to coś, cokolwiek to było - nigdy nie zdołał jej dotknąć. Och, próbował wiele razy i to tłumaczyło jego zniszczone łapy, które miał teraz zamiast dłoni! Wiedział także, że jest to akt miłosierdzia, gdy Billy Browen, krzyknąwszy z przerażenia i odrazy, uczynił to, co powinien był uczynić kapitan: swym lśniącem mieczem odciął jej głowę...

Nekroskop był rozdarty. Teraz, gdy Erik Haroldson pozbył się w znacznym stopniu swojej fanfaronady, jego sposób wyrażania się i dobór słów wyraźnie zyskały i nie można było wątpić, że wie, jak opowiadać tę historię. Zresztą nie pozostało już wiele do opowiedzenia - czy to o młodym Willu Moffacie, czy też o Billym Browenie - a mimo to Harry czuł nieodpartą chęć, palącą potrzebę powrotu na stary cmentarz i skontaktowania się z tamtym ekspiratem.

Takie myśli przelatywały Nekroskopowi przez głowę podczas krótkiej przerwy w relacji Erika, gdy ten zastanawiał się, jak ma kontynuować swoją opowieść; były to oczywiście myśli „nieosłonięte”, które przenikały do psychicznego eteru w postaci mowy umarłych, więc bezcielesny Wiking był ich świadom. I coś, co usłyszał, natychmiast sprowokowało go do pytania:

- *Co? Naprawdę tak jest, Nekroskopie?*

Mała promenada koło portu i wał nadmorski były wyludnione, co zachęciło Harry'ego do używania zwykłej mowy. Otrząsnąwszy się, odparł:

- *Co? O co chodzi?*

- *Chodzi o to, że czujesz nieodpartą chęć powrotu na ten stary cmentarz! Jeżeli tak, proszę cię, abyś się tak bardzo nie śpieszył. Obawiam się, że kryje się w tym jakieś niebezpieczeństwo, a pozostała część tej historii może to częściowo wyjaśnić.*

Harry westchnął ze zniecierpliwieniem, zmienił pozycję na zimnym kamiennym murze i powiedział:

- *No dobrze, ale jestem całkiem pewien, że Billy Browen pomyśli, że to z naszej strony nie w porządku. W końcu to on zaczął opowiadać tę historię, ty ją kontynuujesz... a on chyba powinien zakończyć! Nie sądzisz?*

- *Sądzę* - odparł Wiking - *że powinieneś wysłuchać mnie do końca. A przynajmniej posłuchać dalej, abyś mógł się na coś zdecydować.*

Teraz Harry musiał zadać pytanie:

- *Ale na co się zdecydować?*

- *Ach, gdybym tylko to wiedział na pewno!* - powiedział tamten w taki sposób, że Nekroskop wyczuł, jak poirytowany Wiking potrząsnął głową.

I zanim Harry zdążył zmienić zdanie, Wiking mówił dalej...

- Grupa napastników została teraz zredukowana do Billy'ego Browena i dwóch innych marynarzy z *Sea Witch*, więc w jaki sposób udało im się przetransportować rannego Willa Moffata i leżącego bez zmysłów Czarnego Jake'a przez tropikalną dżunglę, a potem na statek, jest dla mnie nie do pojęcia. Młody Will - kiedy jako tako doszedł do siebie i znalazł się na pokładzie *Sea Witch*, którą teraz dowodził Billy Browen - nic z tego nie pamiętał, co tłumaczy moją własną niepewność.

Jednak odtąd dziwne wydarzenia przybrały na sile. Coraz mocniej zaczęła się objawiać zła moc zaklęta w złocistej tkaninie. W ciągu dnia obłąkany i bełkoczący bez sensu Czarny Jake - teraz blady Jake o nieobecnym spojrzeniu - pozostawał w zamkniętym pomieszczeniu tuż nad zębą ale w nocy... któż może wiedzieć? Jeśli się wydostawał, a trzeba założyć, że tak było, wnosząc z tego, co się wydarzyło, to w jaki sposób? Może ktoś go wypuszczał, ale po co? A może ta dziwna niebieska tkanina po prostu sama odwijala się i wymykała na zewnątrz? Młody Will nawet nie próbował zgadywać i ja też nie. Ale na pewno coś się wymykało - Jake albo złota tkanina, jedno z dwojga - i oto, co się wydarzyło.

Na początku nazywali to „plagą” — śmiertelna odmiana szkorbutu, której przedtem byli świadkiem tylko raz, ale teraz mieli wątpliwości. A kiedy czterech członków załogi zachorowało w ciągu kolejnych nocy, uznali, że ich wątpliwości są uzasadnione. Tak, czytam to w twoim umyśle, Nekroskopie, że już o tym wiesz, niewątpliwie od Billy'ego Browena, prawda? Plaga? Jakaś odmiana szkorbutu? Ta wysuszająca okropność, która przemieniała silnych ludzi w samą skórę i kości, zabijając ich w ciągu jednej nocy...

Ale Billy Browen był teraz czujny i obserwował, jak rozwija się sytuacja, widząc, jak członkowie załogi jeden za drugim wymykają się na dół, pod pokład, jak gdyby tam zwabieni, aby patrzeć jak urzeczeni przez dziury i szczeliny w deskach, przyglądając się swemu dawnemu kapitanowi w jego złocistej szacie. A może nie tyle jemu samemu, co owej niebieskiej tkaninie.

Natomiast co się tyczy samego Billy'ego, jak dotąd wykonał wszystko, co mu przykazał jego „drogi” kapitan: opiekował się nim samym i młodym Willem, kiedy nie byli w stanie radzić sobie sami. Teraz jednak - mimo że stopniowo powracający do zdrowia i mający coraz częstsze przebłyski świadomości młodzieniec pokazał Billy'emu swe szerniałe, zniszczone dłonie - „mister” Browen coraz częściej ginął pod pokładem, podobnie jak reszta załogi, żeby wpatrywać się w Czarnego Jake'a o szklistych oczach, w świecącej zimnym blaskiem szacie... czy raczej po to, żeby patrzeć na to, co miał na sobie Jake, tak jak kiedyś Zhadia...

Wtedy, pewnego ranka odkryto, że czterech członków załogi, prawdopodobnie obdarzonych najsilniejszą wolą, coś zobaczyło i tak się przeraziło tym, co ujrzeli, że porwali niedawno odzyskaną łódź wiosłową i uciekli ze statku; wówczas całą resztę załogi - garstkę tych, którzy jeszcze pozostali — ogarnęła owa straszna apatia, tak że przestali wypełniać swe obowiązki, nieustannie wymykając się pod pokład, by patrzeć na mężczyznę w złocistej szacie.

Tak miały się sprawy, gdy statek marynarki wojennej, niepostrzeżenie podpłynąwszy pewnej nocy do *Sea Witch*, wybił dziurę w jej kadłubie tuż poniżej linii wodnej i w ten sposób załatwił ją na dobre.

Will Moffat, choć już nigdy nie miał wrócić całkowicie do zdrowia, tej nocy miał przynajmniej tyle rozumu, że kiedy statek zaczął pogrążyć się w wodzie, poszedł za Billem pod pokład, żeby go ostrzec przed tym, co jak sądził, tamten zamierza uczynić. Bo Billy był już tak otumaniony, tak zakochany w tej niebieskiej tkaninie, że nie miał zamiaru pozwolić jej zatonać razem z *Sea Witch*, podczas gdy Will - choć był

tylko chłopcem - opierał się przyciąganiu tej tkaniny tak długo, że teraz był na nią praktycznie uodporniony. Ale wiedział, co może uczynić innym... a Billy Browen był jedynym człowiekiem na świecie, który kiedykolwiek darzył go prawdziwą przyjaźnią.

Kiedy więc Billy pobiegł do celi Jake'a, w wodzie, która już sięgała do kolan, młody Will go dogonił. Obaj patrzyli na Jake'a stojącego z odbezpieczonym pistoletem, który przystawił sobie do głowy; kto wie, skąd miał tę broń. Może ukradł podczas jednej ze swoich wypraw.

Billy wybił klin z drzwi, otworzył je jednym szarpnięciem i sięgnął, aby chwycić róg złocistej tkaniny. Will wychrypiął:

- Panie Browen, niech pan tego nie robi! Niech pan to zostawi!

A Czarny Jake krzyknął:

- Mister, jestem załatwiony, więc do diabła z tobą i wszystkimi innymi! — Z tymi słowy pociągnął za spust, odstrzelił sobie ucho, a w jego głowie ukazała się wielka dziura.

Billy, wstrząśnięty do głębi, bełkocząc ze strachu, zaczął się gramolić na przechylający się coraz bardziej pokład, ale zanim tam dotarł, niebieska tkanina, unosząc się w powietrzu, ruszyła za nim. Opuściwszy Jake'a, owinęła się jak całun wokół Billy'ego, który oszołomiony bólem rozpoczynającej się przemiany, zajączał.

Co do młodego Willa Moffata, kiedy zobaczył, jak Billy się zatacza, potyka i wypada za burtę, po prostu położył się we wzbierającej wciąż wodzie i zaczął się modlić o lekką śmierć...

...Ale nie było mu to sądzone.

Will i Billy - jedyni ocaleni z *Sea Witch* - zostali wyciągnięci z morskiej toni i ciśnięci na pokład brygu, a następnie oddani w ręce sprawiedliwości w Hartlepool, kiedy podczas sztormu statek zmierzający do Londynu został zepchnięty z kursu. Ponieważ obaj byli oszołomieni i nie mieli pieniędzy, nie mogli się bronić ani wynająć adwokata; zresztą i tak byli piratami z cieszącego się złą sławą statku, jedynymi ocalonymi z *Sea Witch* Jake'a Johnsona, a za głowę Billy'ego wyznaczono nagrodę już prawie dziesięć lat wcześniej. Wszystkie te informacje pochodzą od Willa Moffata i jestem pewien, że zrozumiesz je daleko lepiej niż ja sam.

To już prawie koniec tej historii. Obaj zostali powieszani dokładnie tutaj, na tym nadmorskim wale, młody Will w metalowej „marynarce”, żeby uniemożliwić wypadanie kawałków jego ciała na zewnątrz, ale na tyle luźnej, że mewy i wrony mogły się na nim pożywić, a Billy Browen w swej złotej szacie, prawdopodobnie dlatego, że parzyła dłonie wszystkich, którzy chcieli go od niej uwolnić...

I to już wszystko, Nekroskopie. Tyle Will Moffat zapamiętał ze swego życia do chwili, gdy on i Billy Browen zawiśli na tym wale. Ale mimo całej przeszłości Willa jako pirata cierpienia młodzieńca musiały zostać zaliczone na jego korzyść; musiało w nim być wiele dobroci, Walkirie bowiem zabrały go stąd tak szybko, podczas gdy ja i moi ludzie tkwimy tutaj już setki lat.

Powiedziałem już naprawdę wszystko, co wiem. I może...

...Może teraz zrozumiesz, co mnie tak zaniepokoiło, gdy zobaczyłem, jak cię ciągnie do tego starego cmentarza. Bo tam do dziś dnia spoczywa Billy Browen, Harry, i kto wie, jaki całun okrywa jego stare kości...

Rzeczywiście, kto wie... - pomyślał Nekroskop.

I chociaż ta wewnętrzna nagłaca potrzeba nadal się utrzymywała, chociaż wciąż czuł, że powinien jak najszybciej wrócić na cmentarz, ostatnie słowa Erika, pełne niekłamanego niepokoju, skłoniły Harry'ego do zastanowienia się, czy jego ruchy nie są za szybkie, gdy zszedł z nadmorskiego wału, rozprostował nogi, oparł się o mur i

popatrzył na wodę. Stał tam przez kilka minut, zastanawiając się nad tym wszystkim i analizując swoje położenie.

Ostatnie wydarzenia zaczęły nabierać coraz większego sensu i nie bardzo mu się to podobało. Jeżeli na starym cmentarzu w Hartlepool rzeczywiście czaiło się niebezpieczeństwo, Ogromna Większość chyba musiała o tym wiedzieć. A jeśli wiedziała, dlaczego go nie ostrzeżono? Było przecież mnóstwo okazji. Ci, którzy spoczywali w pewnej odległości od cmentarza, mogli być tego nieświadomi, ale niezliczeni zmarli, którzy faktycznie zaludniali - nie, to nie jest właściwe słowo; a więc zamieszkiwali? to jeszcze gorzej, bo oznacza życie - którzy byli tam ulokowani, z pewnością musieli o tym wiedzieć.

I jeszcze ten mur gwaru i zakłóceń, który wzniesli między Nekroskopem i Erikiem a starym cmentarzem. Jeżeli nie chcieli, aby podsłuchiowano rozmowę Harry'ego i Wikinga, dlaczego po prostu nie zwrócili uwagi Harry'ego na owo niebezpieczeństwo - czymkolwiek było - co pozwoliłoby mu zastosować ekran i tym samym ochronić swoją prywatność? A może na tym cmentarzu było coś, czego się panicznie bali? Możliwe. Ale czy to oznaczało, że i on powinien się obawiać?

Och, tak, zdecydowanie!

Ponieważ niezliczeni zmarli, martwi - którym nie mogła się stać już żadna krzywda - powinni mieć naprawdę niewiele powodów, by się bać czegokolwiek. Jednakże Nekroskop wiedział o rzeczach, których lękała się nawet Ogromna Większość... takich rzeczy musiał unikać za wszelką cenę! Tylko że będąc Nekroskopem, był zarazem wiernym strażnikiem zmarłych.

Z tego powodu odsunął się od muru i poszukał schronienia, po czym ukryty, choć na krótko, przed ludzkim wzrokiem wywołał Kontinuum Möbiusa i wrócił na stary cmentarz. Ale teraz, kiedy szedł między starymi grobami, był czujny bardziej niż kiedykolwiek, wchłaniając wszystko, co widzi, słyszy i czuje, uważnie obserwując całe otoczenie.

W pewnej chwili Nekroskop zdał sobie sprawę, że źródłem napięcia, które odczuwa, jest coraz głośniejsze brzęczenie, dudnienie, pulsowanie energii, które wydawały się wypływać... z niego samego! Harry stanowił jakby psychiczne „dynamo”, mechanizm przetwarzający energię w wibrujący prąd, który z niego emanował! Ale kto czy co wpływało na umysł Harry'ego, „wstrzykując” do niego obcą energię i wykorzystując go jako wzmacniacz? Do jakiego dziwnego odbiornika ten mimowolny sygnał był przesyłany i jaką niósł informację? Kompletna niewiadoma. Nekroskop mógł zaryzykować rozsądne przypuszczenie, które stanowiło odpowiedź co najmniej na jedno z tych pytań, mianowicie pierwsze, ale nie miał ostatecznej odpowiedzi na pozostałe - jeszcze nie.

Wzdrygnąwszy się pod wpływem nieznośnego bólu głowy, który pojawił się znikąd równocześnie z jego nowymi pomysłami i który obniżył jego wrażliwość na otoczenie, zbliżył się do grobu Billy'ego Browena. Ale kiedy potknął się o jeden z poprzednio zauważonych częściowo zapadniętych nagrobków, macając dłonią, którą wyciągnął, by odzyskać równowagę, dotknął zniszczonej tabliczki z reliefem trupiej czaszki. Nazwiska, daty i pozostałe napisy dawno się zatarły, zarosły mchem i były zupełnie nieczytelne, ale ów relief zdawał się opowiadać swą własną, choć pozbawioną słów, historię.

Ten makabryczny znak, stosowany niemal powszechnie od niepamiętnych czasów jako symbol śmierci, był także symbolem piratów i ich „zawodu”. A teraz, gdy Harry przyjrzał się okolicznym nagrobkom dokładniej, zobaczył, że pochylone, a czasami popękane płyty tych wszystkich grobów mają na sobie ten sam makabryczny znak. Co więcej, te częściowo zapadnięte groby otaczały nieregularnym półkolem grób Billy'ego Browena, jak gdyby odgradzając go od cmentarnego muru...

Harry był pewien, że to musi coś znaczyć. Gdyby nie to przekłete brzęczenie i dudnienie w głowie i błyski przed oczami, wierzył, że nawet byłby w stanie wyczuć duchy dawnych piratów, którzy byli tu pogrzebani i wstrzymywali oddech! Ale chociaż wydawało się, że oni sami nie chcieli z nim rozmawiać, co najmniej jeden „stary pirat” chciał.

- *Harry? Czy to ty?* - nadeszło pytanie zadane „głosem”, który można było uznać za mowę umarłych - tylko że teraz Harry zorientował się, że nie jest to mowa umarłych, lecz jej doskonała imitacja, rodzaj telepatii - i w żadnym razie nie pochodząca od istoty zmarłej, ale od kogoś czy czegoś zdecydowanie żywego, co wydobywało się z grobu, który przyciągał go nieodparcie. - *Ależ oczywiście!* - ciągnął głos, teraz śmieje, a nawet kpiąco, już bez jakiegokolwiek śladu poprzedniego pirackiego języka. - *Oczywiście to Nekroskop, Harry Keogh we własnej osobie! Któżby inny! Kto inny ma umysł wystarczająco potężny, aby sięgnąć do gwiazd, a może i dalej? Mroczny, a zarazem tak niewinny, niedoskonały i omylny. Tak nieźnośnie zarozumiała, że napotkawszy i pokonawszy najnikczemniejszych ludzi i najstraszliwsze potwory, wierzy, że jest niezwyciężony. Kto nie lęka się siły przyciągania tego, który spadł z nieba i został okaleczony. Stopniowo zdołałem się uleczyć, zachować energię przez długie dziesięciolecia, a nawet stulecia, aż do pojawienia się wybawcy - ciebie, Harry!*

- Okaleczony? Uleczony? - wymamrotał Nekroskop, ściskając skronie, po czym opadł na kolana, na sypką ziemię grobu Billy'ego i kogoś (czegoś?) jeszcze. Ale nawet teraz, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, wciąż czuł potężne przyciąganie, fascynację tym czymś ukrytym pod ziemią, był zahipnotyzowany, niemal sparaliżowany przez potęgę, która - jako że była w stanie wywierać na niego taki wpływ, z zamiarem jak dotąd nieznanym - musiała być co najmniej równa jego własnej.

- *Tak, zdołałem się ocalić* - ciągnęła istota spadła z nieba - *zachowałem swoją energię, uleczyłem się wykorzystując żywe istoty i substancje usuwane przez obcy gatunek - twój gatunek, Harry - nieustannie mając nadzieję, że umysł taki jak twój pewnego dnia znajdzie się w zasięgu mojego przyciągania. Ale kiedy w końcu nadeszła ta chwila, wciąż byłem zbyt słaby, zbyt załęczony twoją potęgą, żeby się do ciebie zbliżyć. Posiadłszy umysł Billy'ego Browena, słyszałem, jak rozmawiasz z innymi, którzy zostali tutaj pochowani i kiedy czekałem, próbowałem się nauczyć języka mego gospodarza, opanować jego głos i nawyki. Nie było to trudne: jego umysł jest teraz moim! Ale wszystko to działo się kilka lat temu, a teraz oczekiwanie dobiegło końca, teraz, gdy upewniłem się, że mogę cię pokonać... czyli dzisiaj, gdy do mnie wróciłeś i zdałem sobie sprawę, że już nie możesz się oprzeć mojemu przyciąganiu.*

Kłęcząc obok nagrobka, chwiejąc się jak pijak, z głową pękającą z bólu, Nekroskop prawie nie był w stanie kontrolować swoich myśli, kiedy bezgłośnie wyjąkał:

- Ale kim... czym ty jesteś?

- *Ocalonym!* - nadeszła odpowiedź. - *Przeżyłem wojnę tam, wśród gwiazd. Kiedy mój statek został zniszczony i spadłem na ziemię, czy raczej do oceanu, woda osłabiła moje siły, ale promienie waszego słońca przywróciły mi do życia, wzmocniły, ale nie wystarczająco. Istoty, które mnie żywiły - którym zawdzięczam substancje odżywcze, energię ich umysłów i ciała - zginęły wraz z moim statkiem, ale odkryłem alternatywny sposób utrzymania się przy życiu, dzięki ludziom, którzy mnie wydobyli z morza... ale o tym, jak sądzę, opowiedział ci Billy Brown. W rzeczy samej!*

Zatoczywszy się pod wpływem śmiechu istoty z kosmosu, Harry powiedział:

- Najpierw Zhadia, potem Czarny Jake i załoga... załoga *Sea Witch*... a w końcu Billy. Nie, w końcu ja sam! - Zakołysał się, ściskając głowę, gdy łomot w jego mózgu stał się nie do wytrzymania. - I nigdy naprawdę nie spotkałem... nigdy nie rozmawiałem... z prawdziwym Billym! Ale co... co ty właściwie robisz... mnie? I dlaczego... dlaczego to robisz?

Kiedy Nekroskop walczył, aby się podnieść, nagle poczuł, że ziemia się pod nim porusza - delikatne drgania gruntu, które napełniły go nieokreślonym lękiem. Wiedział, że musi się podnieść i uciekać, ale magnetyczne przyciąganie tej istoty w grobie Billy'ego Browena nie pozwalało mu się ruszyć, a straszliwy ból głowy odebrał mu wszystkie siły. Zdołał się jedynie wyprostować, podczas gdy ziemia pod jego nogami zaczęła się zachowywać jak ruchome piaski.

A pod spodem istota z gwiazd mozolnie posuwała się w stronę powierzchni, rozpychając ziemię na boki, wytrwale zmierzając ku światłu. Kiedy odpowiadała na pytanie Harry'ego, jej „głos” był pełen napięcia.

- Twój umysł ma moc, którą mój utracił. Teraz, gdy wywieram na ciebie przyciąganie, mogę zmusić twój umysł do jeszcze większego wysiłku, oczywiście ten wysiłek cię zabije... nawet teraz ciśnienie w twoim mózgu rośnie i umrzesz, aby dać mi życie. Musisz pocierpieć jeszcze przez chwilę, ale tylko przez naprawdę krótką chwilę. Bo w tym momencie na sygnał wysyłany przez nasze połączone umysły do gwiazd właśnie nadchodzi odpowiedź... i czuję, że moi pobratymcy już są w drodze, aby mnie uratować.

Harry dyszał, zaczął się dusić i próbował uczynić to, co powinien był uczynić, jak tylko zaczęły się kłopoty: wywołać drzwi do Kontinuum Möbiusa tuż obok grobu i wpaść do środka. Ale metafizyczna matematyka opierała się; zamiast ezoterycznych równań, fantastycznych wzorów ekran umysłu Nekroskopa wyemitował w niebo, w przestrzeń kosmiczną niewidzialną wiązkę. Poruszała się wprawdzie nie z prędkością światła, lecz z prędkością myśli, i w rzeczywistości wcale się nie „poruszała”, tylko po prostu „trwała”. A obce istoty pędziły do jej źródła, w stronę Ziemi, do tego cmentarza i istoty z gwiazd, która właśnie wydobywała się na powierzchnię z grobu Billy'ego Browena.

Wrzawa innych głosów - ale tym razem prawdziwej mowy umarłych z licznych grobów, które dotąd milczały - nagle wybuchła w umyśle Nekroskopa.

- Ruszaj, Harry, uciekaj! Teraz, gdy wiemy, czym jest ta istota i że wkrótce odleci, ratuj się! Wykorzystaj swoją moc, aby się oddalić tak daleko, że jej przyciąganie już cię nie dosięgnie!

Przywołując tę resztkę świadomości, jaka mu jeszcze pozostała, Harry odpowiedział:

- Teraz mówicie do mnie, kiedy jest już... za późno. Czym więc byłem? Kozłem ofiarnym? Moje równania Möbiusa gdzieś znikły, zagłuszone energią, którą ta istota przekazuje za moim pośrednictwem! Ja nie mogę... nie mogę się poruszyć!

Na cmentarzu nie było żadnych istot żywych z wyjątkiem Nekroskopa... żadnej możliwości pomocy ze strony ludzi. Obok Harry'ego ziemia wyrzuszała się; coś nijakiego, brązowego koloru, rozpychało ziemię pod marmurową płytą, która przechyliła się. Niegdyś złocista istota z gwiazd, teraz prawie pozbawiona energii, podobnie jak Harry - jej siła przyciągania wprawdzie słabła, ale wciąż była na tyle silna, że nie pozwalała mu się ruszyć i wciąż fascynowała go, tak jak kiedyś zafascynowała Zhadie i całą załogę *Sea Witch* - wydobywała się na światło dzienne!

Brzeg wrażliwej, brązowej tkaniny zawinął się, dotknął ramienia Harry'ego, na chwilę znieruchomiał... po czym zadrżał i przylgnał do niego niczym klej! I natychmiast odzyskał połysk, szafranowe lśnienie, które przesunęło się szybko od punktu styczności do reszty istoty, która jeszcze tkwiła w ziemi.

Nekroskop krzyknął, uniósł drżącą dłoń i jak przysłowiowy tonący, który chwyta się brzytwy, chwycił krawędź marmurowej płyty i naparł na nią. Była to ostatnia, rozpaczliwa próba odparcia przyciągającej siły istoty z gwiazd.

Częściowo przechylona płyta przewróciła się, odsłaniając spód. Oczywiście, którymi prawie nic nie widział wskutek potwornego bólu głowy, Harry wreszcie zobaczył i przeczytał napis - niedbale wyryty dwuwiersz, napisany nierównymi literami, przesłoniętymi warstwą ziemi - który dotychczas był ukryty:

Tu spoczywają szczątki Billy'ego Browena
I niech ten kamień skrywa go po wieczne czasy.

Harry czuł chłód w całym ramieniu... ale było to dziwne zimno, które zaczynało palić. Równocześnie brzeg płynnego metalu, który wydawał się stapać z jego ramieniem, przekształcił się w coś w rodzaju ssawki, lśniącej złocistym blaskiem i wysysając z Nekroskopa energię.

Harry znów krzyknął, ale nie w proteście przeciwko temu, co odczuwał w ramieniu - choć był to palący ból - lecz z powodu eksplozji ognia, który wydawał się topić jego umysł, przejmującego bólu, który go zabijał.

I jego krzyki nie pozostały bez echa.

Ze znajdujących się wokół grobów, których kamienie nagrobne otaczały półkolem niby strażnicy miejsce, gdzie klęczał Harry, uniósł się pył. Był to pył zapomnianych ludzi - ludzi dawno zmarłych! Pył będący mieszaniną pokruszonych kości i ziemi, które skruszył czas i działania grabarzy. Pył wyschniętych na wiór ciał, wydobyty na powierzchnię niedbalymi uderzeniami łopat. Ta wirująca burza pyłowa - nagle obdarzona czuciem - runęła na Harry'ego jak gdyby chcąc go przykryć.

Ale to nie Nekroskop był jej celem.

Ziemia z grobu Billy'ego Browena uniosła się w górę, gdy istota z gwiazd całkowicie wydobyła się na powierzchnię. Kiedy uniosła się nad grobem i zakołysała w powietrzu, wydawała się prawie pozbawiona ciężaru, a mimo to dzwignęła Harry'ego, którego oczy zmętniały i zaszklily się...

...I wtedy wirujący kłęb uderzył!

Trzasnął w falującą istotę z gwiazd, wniknął na cal w kłębiący się kształt, który zakołysał się, próbując odepchnąć atakujący pył, ale zamiast tego uwolnił Nekroskopa. W tym momencie rozległ się kolejny eteryczny głos - głos, którego Harry nigdy przedtem nie słyszał - który dotarł do niego poprzez psychiczny zgiełk wypełniający cały cmentarz. Był wyraźny, ponieważ jego źródło znajdowało się w pobliżu, pochodził mianowicie z grobu, z którego pył - to, co pozostało z istoty niegdyś będącej człowiekiem - uniósł się na początku, a teraz przyłgnał do ogarniętej paniką istoty z gwiazd.

- *Istoty niegdyś będącej człowiekiem?* - powiedział nieproszony duch. - *Tak, Nekroskopie, a przy tym piratem!*

Rozciągnięty na ziemi, cofając się na czworakach przed oszalałą istotą z gwiazd i na koniec niepewnie podnosząc się na nogi, Harry otrząsnął się i wymamrotał:

- Kim ty jesteś? Zresztą to nieważne, kim jesteś, wielkie dzięki!

Dzięki także dla owej nieznanej siły, która przerwała telepatyczne, hipnotyczne połączenie między nim a tą istotą uwalniając metafizyczny umysł Harry'ego od niewiarygodnego ciśnienia. I zanim ów nieznany dobroczyńca zdążył odpowiedzieć, gdy Harry znów odzyskał zdolność przytomnego myślenia - oraz w znacznym stopniu uwolnił się od bólu - zaryzykował przypuszczenie i odpowiedział na postawione przez siebie pytanie.

- Ty i ci inni otaczający grób Billy'ego: jesteście tymi, którzy uciekli ze statku, zabierając łódź, kiedy reszta załogi uległa sile przyciągania tej istoty. Umówiliście się, że zostanieie tutaj pochowani, może mając nadzieję, że utworzycie barierę między światem żyjących a tą pełną zła, pasożytniczą inteligencją z gwiazd. Mam rację?

Istota, o której mówił, jęczała teraz w jego umyśle:

- *Ooch, Nekroskopie! Chcesz mnie zamordować, ale za późno. Przybywają po mnie z gwiazd. Czuję, że są już blisko. A kiedy mnie zabiorą - kiedy znów będę dowodzić statkiem - ty i ten świat, gdzie marniałam tak długo, wy wszyscy poznacie prawdziwe cierpienie, a ja doznam satysfakcji!*

Istota próbowała poszybować w stronę Harry'ego, ale obciążona pyłem opadła. Nie pozostało w niej nic z dawnego blasku; przylegające do niej szczątki dawno zmarłych ludzi przesłaniały naturalny blask słońca. Jej barwa w kilku miejscach, gdzie konwulsje sprawiły, że odpadły skrzepliny pyłu, była ziemistoszara, ale po chwili szczątki organiczne przywarły do niej znowu.

A nieznany ekspirat odpowiedział Harry'emu:

- *Jeśli chodzi o twoje pierwsze pytanie, kim jestem czy byłem, to nie ma znaczenia; już nie istnieję. Jeśli chodzi o drugie pytanie, ci czterech, którzy leżeli najbliżej grobu Billy 'ego - zresztą już ich tam nie ma, zostali przeniesieni dawno temu - to istotnie ta czwórka, która uciekła ze statku w ostatnich godzinach jego istnienia i zgodnie z twoim przypuszczeniem, poczyniła przygotowania, żeby tu spocząć po śmierci. Twój domysł, że postanowili utworzyć barierę, żeby odgrodzić tę istotę, jest myślą szlachetną lecz błędną. Byliśmy piratami, Harry, których na ogół nic nie obchodzili tak zwani „bliźni”! Tych czterech przywiodła tutaj siła przyciągania tej istoty, odczuwali ją do końca swych dni, a kiedy wypełnił się ich czas, przyszli tutaj umrzeć, żeby być jak najbliżej niej! I ja także, jak to się mówi, „jechałem na tym samym wózku”. Ale żyłem najdłużej i nie było już miejsca na grób bliżej tego wampira... tej okropności, tej cudownej, złocistej, istoty z nieba...*

- Podziwiałeś ją, nawet pragnąłeś, tak? - Wciąż cofając się przed istotą z gwiazd, Harry pokręcił głową z niedowierzaniem.

- *Nie bardziej niż ty sam, Harry. Nie, nie pragnąłem jej, ale czułem jej potęgę, jej wabiącą siłę, nawet kiedy byłem daleko. Znałem ją zbyt długo; poznałem, kiedy ją wyciągaliśmy z morza, potem na pokładzie Sea Witch i na koniec w tej kryjówce Willa Moffata w dżungli, gdzie zniewoliła Zhadię, wykorzystując i niszcząc jej ciało.*

W końcu Nekroskop pojał, do kogo należy ten głos.

- Jesteś jedynym ocalonym spośród tej szóstki, która opuściła Czarnego Jake'a podczas poszukiwań Willa Moffata, który porwał Zhadię i uciekł!

- *Domysliłeś się - odparł tamten, a Harry wyczuł, że jego głos słabnie i wydaje się dochodzić z jakiegoś nieokreślonego, dalekiego miejsca. - Najpierw opuściłem Sea Witch, a potem uciekłem podczas szturmu tego diabelskiego Jake'a na schronienie młodego Willa. Tak, byłem jedynym, który ocalał, ale nie potrafiłem uciec wystarczająco daleko... przed siłą przyciągania tej złocistej istoty! Na szczęście kiedy osłabła, mój grób znalazł się poza jej zasięgiem, jednak mimo to pragnąłem być bliżej! Odgaduję twoje następne pytanie i znowu masz rację: ta istota wyciągnęła swoje ssawki w stronę czwórki, która była pochowana najbliżej - mimo że ich ciała znajdowały się już w stadium zaawansowanego rozkładu - wysysając z nich substancje odżywcze przez te wszystkie lata!*

- Puste groby! - wykrztusił Harry, zaszokowany, mimo że odgadł prawidłowo. Chciał zadać jeszcze kilka pytań, ale...

- *Czuję się jakoś dziwnie - powiedział tamten, a jego głos dochodził teraz z wielkiej odległości. - Myślę, że chyba nadszedł czas, żebym się stąd wyniósł! Ale dzięki tobie przynajmniej dotknąłem tego wampira, trzymałem go, otaczałem, choć*

jako nieożywiony pył. Wydaje się możliwe, że tam, dokąd się udaję, moja dusza już nie będzie za nim tęsknić! Mam taką nadzieję...

Po czym jego głos całkiem ucichł.

Tymczasem ziemistoszara istota uwolniła się od pyłu i zbierając resztki sił i energii, rzuciła się na Nekroskopa. Teraz jednak matematyka Möbiusa zadziałała bez zarzutu, Harry wywołał niewidzialne drzwi...

...Ale ich nie użył. Znowu znieruchomiał, znalazłszy się w mocy paralizującej siły i kołysał się na boki, starając się zachować równowagę. Jednak tym razem to nie ten pasożyt z kosmosu miał nad nim władzę, lecz inne, jeszcze potężniejsze istoty, a istota z kosmosu została unieruchomiona tak samo jak Harry.

Wtedy z pokrytego ciemnymi chmurami nieba wytrysnęła wiązka światła, niby promień słońca, która całkowicie pokonała siłę przyciągania. Niegdyś złocista istota uniosła się w górę, poruszając się coraz szybciej i szybciej, a Harry słyszał jej słabnący z każdą chwilą pisk, którego powód wyjaśnił się niemal natychmiast, gdy odezwał się kolejny telepatyczny głos.

- Nie lękaj się, bo nie chcemy zrobić ci krzywdy. Ale bardzo długo poszukiwaliśmy tej złej istoty. Ona i jej pobratymcy wszczęli z nami wojnę - faktycznie ze wszystkimi rasami zaludniającymi wszechświat - i dawno temu przegrały. Ta istota jest ostatnim przedstawicielem jej gatunku; wszystkich pozostałych zatrzymano i uwięziono. I podobnie jak oni ta istota zostanie wprowadzona w stan hipostazy, zostanie pozbawiona wszelkiego fizycznego i psychicznego kontaktu ze światem, wszelkiego pożywienia, dopóki jej energia nie ulegnie degeneracji, a materia nie zostanie wchłonięta przez nieskończoną pustkę. Nie zabijemy tego, kogo inaczej nie można uśmiercić; uczyni to za nas czas.

- Jeśli zaś chodzi o ciebie, chcemy cię ostrzec! Wykorzystuj roztropnie swoją moc, która jest potężna, używaj jej jedynie dla dobra innych, unikając podszeptów wszystkich złych istot - takich jak ta - które, wykorzystując cię, mogą tylko wyrządzić innym wielką krzywdę!

- Oto nasza rada. Jesteś wybrańcem, ale wedle kryteriów Wyższego Umysłu wciąż niedojrzałym. A teraz żegnaj...

A kiedy błada, lecz potężna wiązka zgasła, pod Nekroskopem ugięły się kolana i usiadł, oparłszy się o pochylony nagrobek...

Potem Harry odbył rozmowę z „rzecznikiem” cmentarza.

- Dlaczego mnie nie ostrzeżliście? Wasze milczenie było ogłuszające!

- *Nas samych ostrzeżono* - powiedział rzecznik. - *Ale nie wiedzieliśmy, z czym mamy do czynienia, czy raczej co ma z nami do czynienia! Podejrzewaliśmy, że to jakiś rodzaj wampira, który pożera zmarłych, nie zaś żywych. A jeśli chodzi o wampiry, ty, Harry, pokazałeś, że jesteś niezwyciężony.*

Harry zmarszczył brwi.

- Ostrzeżono was? Ale kto to uczynił?

- *Sama istota! „Tylko wspomnijcie o mnie Nekroskopowi”... powiedziała, „tylko uprzedźcie go o niebezpieczeństwie, a wysłę do was moje ssawki!”.*

Harry pokręcił głową.

- Błefowała. Nie miała tyle siły.

- *Tego nie wiedzieliśmy, za to wiedzieliśmy, że jesteś niezwyciężony!*

- Nie - Harry znowu pokręcił głową. - Nie jestem i ta istota omal tego nie dowiodła!

- No cóż... bardzo nam przykro. Bardzo żałujemy. - Rzecznik był wyraźnie przybity, spokorniały i gdyby miał oczy, pewnie by zapłakał.

Ale Harry, ustępując, powiedział:

- Ponieważ wiele wycierpieliście, zwykle „przepraszam” wystarczy. Wystarczy, że opuściliście świat żywych i teraz doświadczacie tylko zimna i ciemności w rozpadających się trumnach, gdzie nic wam nie zagraża.

- *Mimo wszystko popełniliśmy błąd i przepraszamy.*

- Nie trzeba. - Nekroskop potrząsnął głową i nie powiedział już nic więcej...

Za pośrednictwem Kontinuum Möbiusa przeniósł się do starego portu w Hartlepool, tam oparł się o zniszczony kamienny mur i popatrzył na rozciągające się przed nim morze. Było idealnie spokojne, chmary mew unosiły się na powierzchni wody w blasku migocącego światła słonecznego i cały świat wydawał się naprawdę piękny.

Po dłuższej chwili milczenia Harry przemówił do Erika Haroldsona, by mu podziękować za ostrzeżenie, ale nie otrzymał odpowiedzi. Lecz powodem nie było to, że Ogromna Większość miała mu coś za złe. Nigdy tak nie było i nie będzie.

Nie, powodem był fakt, że Erika już tam nie było; ani jego, ani jego załogi. Ich kości wciąż leżały tam, na dnie, ale jeśli chodzi o ich dusze...

... W końcu Erik zyskał prawo do przeniesienia się.

Do Valhali? Właściwie dlaczego nie? Słuchając uważnie, Nekroskopowi wydało się, że słyszy wołania Walkirii. Oczywiście to były tylko mewy, ale Harry udawał, że jest inaczej...

Starzec z kosą

To był Edynburg i było lato, ale to mogło być równie dobrze dowolne inne miejsce i każda pora roku.

Starzec z kosą, długą, zakrzywioną, ostrą kosą rozglądał się, jak zwykle, za świeżą - a może nie tak świeżą - ofiarą. W końcu i tak do tego dochodziło, ale sposób, w jaki to robiły, i to często sobie samym!... Ofiary własnej głupoty... ale równocześnie własnych genów, bo najczęściej tak to się zaczynało.

Weźmy na przykład tego staruszka w wózku inwalidzkim, pchanym przez jego wymizerowaną żonę. Klasyczny przypadek tego, kto będzie pierwszy: on ze swoją chorobą Alzheimera - wskutek której wtykał palce w gniazdko, bo nie pamiętał, do czego służy - czy ona, zmęczona brzemieniem nieustannej opieki nad nim; problem tkwił w genach odziedziczonych po ojcu, który z kolei odziedziczył go po swoim ojcu... i tak dalej. Ale w końcu oboje musieli umrzeć.

Zakrzywiona kosa starca zadrzała, jak gdyby żyła własnym życiem; jego właściciel czuł, jak pragnie życia innych - nawet tej nieszkodliwej dwójki - ale jeszcze nie teraz. Kiedy minęli go na chodniku, pochylił się w ich stronę, węszył, aby się upewnić, że się nie mylił. Nie mylił się, co na swój sposób było przykre; lepiej oni niż jakaś młoda para. Ale z drugiej strony nie on miał wybierać.

Ulica była pusta; tego ranka, w niedzielę, ludzie byli przeważnie jeszcze w łóżkach albo właśnie wstawali. Ale oczywiście byli też tacy, którzy już byli na nogach. Jak ten mężczyzna w średnim wieku, który właśnie wyszedł ze sklepu tytoniowego, otwierając paczkę papierosów i drżącą dłonią sięgając do kieszeni po zapalniczkę.

Starzec z błyszczącą kosą podszedł bliżej, poczuł dym z pierwszego, długiego sztacha, usłyszał westchnienie ulgi... a także kaszel narastający w chorych płucach, z czego palacz jeszcze nie zdawał sobie sprawy. Ale to nastąpi, och, nastąpi niebawem! I zakrzywiona kosa znowu zadrzała, teraz nieco wyraźniej, a starzec pokiwał głową myśląc: *Damy mu jeszcze rok, przyjacielu, a może trochę mniej.* I poklepał długą rączkę kosy.

Nieco dalej brodaty włóczęga owinięty poszarpanym kocem mamrotał do siebie, leżąc w drzwiach sklepu. Wysysając z brązowej butelki ostatnie krople wina, klapnął w ciemnym kącie i w powitalnym geście pomachał ręką w przestrzeń. Na jego gołych stopach z widocznymi niebieskimi żyłami, zastygła skorupa szarych wymiocin.

- Ach! - powiedział starzec z drżącą kosą do nikogo w szczególności. I zdjawszy ją z ramienia, podszedł do sklepowych drzwi i dotknął brudnej szyi włóczęgi. Mając zamknięte oczy i cały zdrętwiały, tramp nie zobaczył, ani nie poczuł nic... ale i tak nic by nie poczuł. - Następnej zimy - powiedział starzec, odchodząc ulicą. - Zobaczymy się następnej zimy.

Choroba, narkotyki, pijaństwo, a od czasu do czasu wypadki. I naturalnie bezlitosne żniwo wojny. I zawsze ten starzec z błyszczącą kosą. Oczywiście to Śmierć. Ruszył dalej.

Teraz miasto zaczynało się budzić, światło dzienne stawało się coraz jaśniejsze. Starzec raczej nie lubił światła dziennego, tolerował je, ale nie pasowało do wizerunku kogoś, kto wolał, by wszystko rozgrywało się w mroku nocy. Jednakże - przypomnijmy to jeszcze raz - nie on miał wybierać...

Zbliżał się teraz do osobliwej winiarni z ozdobną mahoniową fasadą nieprzejrzystymi, małymi, wypukłymi oknami i wiszącym nad łukowatymi,

podwójnymi drzwiami napisem, który głosił: „U B J.”. Kiedy starzec z kosą zrównał się z drzwiami lokalu, te otworzyły się i piękna dziewczyna o cygańskiej urodzie i oczach, które zalśniły w mroku, wyprowadziła młodego człowieka na zewnątrz, pochyliła się, żeby go pocałować, zostawiła na ulicy i zamknęła drzwi za sobą.

W tym młodym człowieku było coś dziwnego. Zamrugał oślepiiony światłem poranka i uniósł dłoń, zasłaniając bladą twarz; spojrzenie miał nieobecne, zdeorientowane. Starzec pomyślał, że zna to spojrzenie, widział podobne już przedtem; widział je na twarzach ludzi, którzy byli zagubieni albo mieli zamiar popełnić samobójstwo!

A mimo to... w tym młodym człowieku było jeszcze coś, więc starzec z kosą podszedł bliżej, próbując wywęszyć jego pochodzenie, naturę, przeznaczenie. Ale stała się rzecz dziwna, przez chwilę myślał, że widzi, jak dalekie spojrzenie młodzieńca skupia się na nim! I co więcej, wydawało się, że go zna, jak gdyby byli starymi przyjaciółmi!

Faktycznie *byli* starymi przyjaciółmi!

Kosa już nie drżała, a jej pan, najstarszy człowiek na świecie, zadygotał i odskoczył, przyśpieszając kroku i oddalając się wciąż pustą ulicą. Znał go, pamiętał go w związku z wszystkimi pracami, jakie dla niego wykonał, wiedział także, że nigdy nie będzie potrzebny, żeby się nim zająć. Jego czas też się w końcu wypełni - prawdopodobnie - ale nie teraz i nie w tym świecie. Nie było to jego przeznaczeniem. Ale byli inni starcy z kosami, było ich wielu, we wszystkich światach, gdzie istniało życie.

I jeden z nich zajmie się nim - tym Nekroskopem, tym Harrym Keoghem - kiedyś. Śmierć pogłaskała swą kosę, żeby ją uspokoić, po czym zatrzymała się, by rzucić okiem na prawie pustą ulicę. I pokiwała głową.

Jeśli bowiem nie liczyć małej burzy pyłowej, która opadła na ziemię koło wejścia do winiarni, i brudnej gołej stopy wystającej z drzwi sklepu, ulica rzeczywiście była pusta.

Starzec ruszył dalej...

Tytuł oryginału: *Harry and the Pirates*

Copyright © by Brian Lumley, 2009

Copyright© for this edition by vis-à-vis/Etiuda, 2009

Tłumaczenie: Stefan Baranowski

Projekt okładki: Marcin Wojciechowski

Redakcja techniczna i łamanie: Anna Atanaziewicz
Korekta: Humbert Muh

Wydawnictwo vis-à-vis/Etiuda
30-549 Kraków, ul. Traugutta 16b/9
tel. 012 423 52 74, kom. 600 442 702
e-mail: visavis_etiuda@interia.pl, biuro@etiuda.net
www.etiuda.net

Druk: Drukarnia GS sp. z o.o.
Kraków, ul. Zabłocie 43

ISBN: 978-83-61516-29-3

ZAJRZYJ NA TE STRONY:

www.brianlumley.com

www.carpnoctem.pl